



Charles Dickens

MALEŃKA DORRIT





Charles

Dickens

ing

MALEŃKA DORRIT

Charles
Dickens
MALENKA DORRIT

Tłumaczenie:
Cecylia Niewiadomska



CZĘŚĆ I W NĘDZY

ROZDZIAŁ I

POWRÓT DO DOMU

Mglisty, pochmurny wieczór jesiennej niedzieli w Londynie. Dzwony w kościołach biją bez ustanku, na ulicach cisza i pustka świąteczna; zmrok posępny obejmuje panowanie.

W oknie kawiarni przy jednej ze starych ulic Londynu siedział Arthur Clennam i patrzył w zamyśleniu na milczące domy, szare niebo i błoto zalegające środek ulicy. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i smutek. Nie wyglądał jak człowiek, który wita rodzinne miasto po kilkunastu latach niewidzenia.

A jednak tak było. Jako dwudziestoletni młodzieniec opuścił Anglię, aby połączyć się z ojcem, który reprezentował dom handlowy w Chinach, i dopiero po jego śmierci udał się w drogę powrotną, a parę godzin temu wysiadł z dyliżansu kursującego między Londynem i Dover.

Był to zatem mężczyzna już blisko czterdziestoletni, wysoki, dosyć szczupły, o twarzy bladej i spokojnej, łagodnych oczach i smutnym spojrzeniu.

Siedząc teraz w kawiarni i słuchając dzwonów, mimo woli przeniósł się w lata dzieciństwa i przeżywał wspomnienia wielu takich niedziel, dżdżystych, posępnych, chłodnych, w starym i ponurym domu, dokąd – zdawało się – nigdy nie przenikał najmniejszy promyk słońca i gdzie nikt nie słyszał serdecznego słowa.

– Proszę pana – odezwał się usługujący – czy pan zostanie na noc? Możemy zaraz przygotować pokój.

– Dobrze – odpowiedział Arthur machinalnie.

– Chłopcie! – zawołał służący – zabierz walizkę pana do pokoju numer siedem.

Arthur ocknął się nagle.

– Przepraszam – rzekł żywo. – Odpowiedziałem bezmyślnie. Nie będę tu nocować, idę zaraz do domu.

Nie podnosił się jednak, widocznie nie było mu pilno.

A może był zmęczony daleką podróżą i dlatego nie miał ochoty wychodzić na ulicę, gdzie deszcz zaczął padać. Nieliczni przechodnie otwierali spieszenie parasole

lub chronili się w bramy domów. Zapalono latarnie i słabe ich światło w mgłę i deszczu tworzyło jasne duże plamy.

Arthur Clennam podniósł się wreszcie, zapiął surduta na wszystkie guziki, wziął kapelusz, parasol, który otworzył na progu, i skierował się w stronę kościoła Świętego Pawła.

Szedł dość długo przez puste, błotniste ulice, mijając zamknięte sklepy i zmierzając ku rzece. Szedł krokiem pewnym, drogą dobrze znaną, choć nieuczęszczaną od lat tyłu.

Na koniec zatrzymał się przed bardzo starym domem, otoczonym żelaznymi sztachetami. Zatrzymał się i objął go uważnie wzrokiem. O zmroku mury domu zdawały się czarne, na dziedzińcu za kratą konały dwa drzewa, murawa na trawniku była tak nędzna i żółta, że barwą nie różniła się od rdzy na kratkach. W grubych murach ciemniały wąskie i głębokie okna, które nie mogły dawać wiele światła. Dom ze starości pochylił się na jedną stronę, więc go podparto ciężkimi belkami, pokrytymi dziś pleśnią i szarym porostem.

Arthur pomimo deszczu stał na chodniku i dość długo wpatrywał się w starą ruderę. W końcu westchnął głęboko.

– Nic się nie zmieniło – szepnął półgłosem – ciemny, ponury i nędzny ten mój dom, jak dawniej... W oknach matki słabe, blade światło, jak zawsze. Nic, nic się nie zmieniło.

Zbliżył się wreszcie i zastukał w drzwi, potem czekał cierpliwie.

W domu panowała głucha cisza, wreszcie usłyszał ciężkie kroki w ciemnej sieni, klucz obrócił się w zamku, drzwi się otworzyły i na progu ze świecą w ręku ukazał się starzec niski, krępy, z szarą twarzą i błyszczącymi oczyma.

– A, pan Arthur – rzekł obojętnie. – Nareszcie pan przyjechał.

Clennam wszedł do sieni i zamknął za sobą drzwi.

– Jak się miewa matka? – zapytał spokojnie, zdejmując wilgotną odzież.

– Jak zawsze. W swoim pokoju. Przez piętnaście ostatnich lat nie wychodziła z niego nawet pięć razy.

Weszli do jadalni, która tonęła w mroku, licha świeczka nie mogła rozproszyć ciemności. Stary człowiek postawił ją na stole i zapalił drugą, aby poświecić gościowi.

– Matka pana nie będzie rada, że podróżowałaś w niedzielę, panie Arthurze – rzekł, potrząsając głową.

– Trudno, żebym się wrócił – odpowiedział Clennam.

– Wiem, wiem. Niech pan zaczeka, pójdę ją zawiadomić.

I z zapaloną świecą skierował się ku drzwiom.

Starzec szedł ciężkim krokiem. Był ubrany w ciemny tużurek i aksamitne spodnie. Głowę trzymał przechyloną dziwnie na bok i posuwał się także jakby jedną stroną, z drugiej strony szyi sterczały mu końce chustki, co sprawiało takie wrażenie, jakby urwał się z szubienicy i zostały mu na szyi końce sznura, na którym był powieszony.

Kiedy zniknął za drzwiami, Arthur obejrzał się wkoło. Twarz jego miała wyraz niewymownie smutny.

– Jakiż jestem słaby – szepnął drżącymi ustami – miałbym ochotę płakać. I dlaczego? Czyż nie przywykłem? Czyż mogłem się spodziewać innego przyjęcia? A jednak... tyle lat...

Wyjął chustkę i szybko otarł łzy, które wbrew woli spływały mu po twarzy. Usiłował zapanować nad wzruszeniem, wziął ze stołu świecznik z zapaloną świecą i zaczął się rozglądać po pokoju. Wszystko, jak było przedtem: stare sprzęty, na ścianach poczerniałe obrazy z Pisma Świętego, stary zegar, jak dawniej, uśmiechał się złośliwie, wskazując mu, że spóźni się do szkoły.

Stary człowiek ze świecą znowu stanął we drzwiach.

– Poświecę panu – odezwał się sucho i zaczął wstępować na schody.

Pokój matki Arthura był długi i ciemny, podłoga pochyliła się jakoś ukośnie i kominek, na którym płonął mały ogień – płonął od lat piętnastu – kominek ten wpadł jakby w rodzaj zagłębienia. Tuż przy nim stała ciemna i długa kanapa, cokolwiek podobna do trumny i założona twardymi poduszkami. Na niej stara kobieta w czarnym czepcu wdowy, oparta o poręcz, siedziała prosto i sztywno.

Była to pani Clennam.

Arthur zbliżył się do niej z pewną nieśmiałością, lekko, prawie w powietrzu dotknął ustami bandaża, który spowijał jej rękę, i na milczący znak skinieniem oczu usiadł naprzeciwko po drugiej stronie stolika.

Na twarzy starej kobiety nie malowało się żadne wzruszenie.

– Wszystko tutaj, jak było – odezwał się Arthur, obejmując ciemną komnatę spojrzeniem – tylko twe czynne życie zmieniło się, matko.

– Taka wola Boża – odparła mu sucho. – Reumatyzm odjął mi nogi i nie wychodzę z pokoju. Od ilu już lat, Affery? – zwróciła się przez ramię poza siebie.

– Dwanaście lat na Boże Narodzenie się skończyło – odparł z ciemnej głębi pokoju głos drżący i stłumiony.

– To ty, Affery? – zawołał Arthur z lekkim odcieniem radości, zwracając się w tę stronę.

– Jestem, panie Arthurze – powtórzył ten sam głos, jakby zdradzając wzruszenie, i z ciemności wysunęła się zgarbiona postać o zalęknionej twarzy i niespokojnym wzroku. Znalazłszy się w obrębie światła, posłała Arthurowi ręką pocałunek i cofnęła się znowu.

– Dzięki Bogu, mogę jeszcze zajmować się interesami – przemówiła znów pani Clennam. – Jest to wielkie dobrodziejstwo i łaska Opatrzności. Ale dosyć o interesach przy świętym dniu. Musi być okropna pogoda?

– Tak, matko.

– Śnieg pada?

– Śnieg? Przecież to dopiero wrzesień.

Stara kobieta lekko wzruszyła ramionami.

– Dla mnie w tym pokoju nie ma pór roku – rzekła. – Tak się podobało Bogu.

Arthur objął spojrzeniem leżące na stole przedmioty: parę książek, chustkę od nosa, okulary i duży złoty zegarek w podwójnej kopercie, wyraźnie bardzo stary.

Jego oczy dłużej zatrzymały się na tym przedmiocie.

– Widzę, że moja przesyłka szczęśliwie do Ciebie dotarła, matko – odezwał się.

– Jak widzisz.

– Ojciec troszczył się o to bardzo w ostatniej chwili. To było jego ostatnie życzenie, ostatni rozkaz. Już nie mógł prawie mówić, kiedy położył jeszcze rękę na tym zegarku i powiedział: „Matce... odeślij...”, potem chciał go otworzyć i patrzył tak wymownie, iż nie mogłem wątpić, że wróciła mu przytomność.

– Więc wcześniej był nieprzytomny? – spytała pani Clennam z nagłym błyskiem oczu.

– Tak, wcześniej tak – potwierdził cicho Arthur.

– Spełniłem jego życzenie bez zwłoki – zaczął znowu po chwili – lecz nie zdziwisz się, matko, że otworzyłem kopertę. Zdawało mi się, że mogę znaleźć tu coś ważnego. Ojciec w ostatnich chwilach chciał mi coś powiedzieć i... już nie mógł. Lecz nie było nic więcej, prócz krążka jedwabiu, na którym może sama wyhaftowałaś te parę wyrazów. Zapewne jest tam dotąd?

Pani Clennam skinęła głową.

– Dość dziś o interesach – przerwała jednocześnie. – Affery, dziewięta!

Na to krótkie wezwanie z ciemnej głębi pokoju zgarbiona staruszka podbiegła szybko do stolika, sprzątnęła z niego wszystkie rzeczy, wyszła i powróciła po chwili,

niosąc na tacy kilka biskwitów i kawałeczek masła, starannie i systematycznie ułożone. Jednocześnie na drugiej tacy stary człowiek z głową na bok przekrzywioną wniósł wino, cukier, cytrynę. Na ogniu gotowała się już woda. Starzec nalał jej do szklanki, dodał wina, cukru, cytryny, uważnie, jakby według przepisanej miary, zamieszał i postawił przed matką Arthura.

Pani Clennam maczała biskwity w napoju, inne Affery podawała smarowane masłem, a skoro zjadła określoną ilość, sprzątnięto obie tace; książki, chustka i okulary znalazły się na swoim miejscu.

Pani Clennam sięgnęła po nie, otworzyła książkę i głosem silnym, stanowczym i twardym odczytała ustęp z Pisma Świętego. Stary człowiek, Affery i Arthur, stojąc, słuchali w milczeniu. Zamknąwszy wreszcie książkę, jeszcze przez czas jakiś wdowa nie poruszała się, jak gdyby zatopiona w rozmyślaniu. W końcu podniosła głowę.

– Dobranoc, Arthurze – powiedziała obojętnie. – Affery zajmie się wszystkim, czego potrzebujesz. Ostrożnie! Nie trąć mojej ręki, to boli.

Arthur delikatnie dotknął owiniętej ręki.

– Dobranoc, matko – rzekł stłumionym głosem.

Panował już nad sobą i był zupełnie spokojny, ale w oczach miał taki nieskończony smutek, jakby wśród ciemnej nocy zgasała ostatnia gwiazdeczka...

Kiedy znalazł się znowu w jadalni, Affery zapytała go, co ma podać na wieczerzę.

– Nie będę nic jadł, Affery, nie myśl o tym.

Stara kobieta szybko rzuciła okiem dokoła i na palcach przybliżyła się do niego.

– Czego pan się boi? – szepnęła mu prawie do ucha. – Przecież pan już odebrał swoją część majątku?

Blady uśmiech przemknął po ustach Arthura.

– Moja dobra Affery – rzekł miękko i łagodnie – nie boję się i rozporządzam już swoim majątkiem, bądź spokojna. Zawsze troszczysz się o mnie.

Stara potrząsnęła głową.

– Ja myślałam – zaczęła. – Tak czekałam, aż pan przyjedzie! Bo tu strasznie, okropnie! Oni robią wszystko, co im się podoba. Ona jest bardzo mądra, bardzo mądra, chytra, ale Jeremiah gorszy. O, daleko gorszy! To dopiero obłudnik i mądrała! Żeby pan wiedział, co on z nią wyrabia! Słyszę nieraz, jak mówi do niej, i drzę cała.

– Do mojej matki?

– Tst! Tst! Już idzie. On się nikogo nie boi. Straszny człowiek, panie Arthurze, o, straszny! To mój mąż!

Ciężkie kroki zatrzymały się za drzwiami, Jeremiaś dotknął klamki i stanął na progu. Bystre oczy zanurzył w półciemnym pokoju.

– No, stara, wieczerza dla pana Arthura.

– Nie będę jadł – rzekł Arthur, zwracając się ku niemu.

– W takim razie przygotuj łóżko. Czegóż stoisz jak kołek?

Affery podreptała pośpiesznie do szafy i zaczęła wyjmować bieliznę pościelową.

– Będzie pan miał jutro przeprawę z matką, panie Arthurze – odezwał się Jeremiaś. – Wycofać się z interesu, piękna sprawa!

– Dotychczas wycofałem się z życia dla interesu – zauważył Arthur. – Czas to zmienić.

– Pańska wola, jak pan sobie postanowi. Tylko niech pan nie myśli, że będę pośredniczył między wami. Miałem tego dosyć za życia nieboszczyka pana.

– Nie prosiłem cię o to, Jeremiahu – spokojnie zwrócił mu uwagę Arthur.

– Tym lepiej. Bardzo dobrze. No, nie wzięłaś tam jeszcze wszystkiego?

– Już, już – odpowiedziała szybko Affery, podnosząc sporą paczkę, którą ułożyła obok. Arthur schylił się także, pomógł jej zabrać bieliznę, powiedział spokojnie:

– Dobranoc, Jeremiahu. – I udał się za starą po schodach w głąb domu.

Mijali korytarze, szli ciemnymi schodami w dusznym i nieodświeżonym powietrzu, na koniec znaleźli się na poddaszu w obszernym i niskim pokoju, który niegdyś Arthur zajmował.

Zapach wilgoci, stęchlizny i kurzu unosił się w powietrzu, pokój był zastawiony starymi gratami, które nie mogły dłużej pełnić swoich obowiązków. Affery postawiła świecę na kominku, czarnym i okopconym, jak wygasły krater, a Arthur otworzył okno, wychodzące na cały las kominów, odcinających się dumnie i groźnie na ciemnym i pochmurnym niebie.

Stał przez chwilę, patrząc przed siebie, wreszcie odwrócił oczy od tego widoku, zbliżył się do Affery i usiadł obok łóżka.

– Jak to się stało – zaczął – że pobraliście się z Jeremiahem? Nie śniło ci się o tym, kiedy wyjeżdżałem.

– Jak to się stało? – powtórzyła stara, wzruszając ramionami i potrząsając mocno poduszkę, którą powlekała. – Bardzo bym chciała wiedzieć, jak się to stało, panie. Cóż ja mogę? Kazali i pożenili nas. Cóż ja poradzę na to? To mądrale, panie, mądrale! A, chytry!

– Przecież nie mogli cię zmusić?

– Zmusić? Co to znaczy zmusić? Ja przecież muszę robić to wszystko, co każą.

Każą i koniec. Czy pan ich się wcale nie boi? Czy pan myśli, że jeśli oni coś uradzą, to pan może nie zrobić?

– Jeżeli mi się nie podoba, Affery, to na pewno nie zrobię, i dlatego jestem ciekaw, w jaki sposób bez własnej woli zostałaś żoną Jeremiaha Flintwincha.

Staruszka energicznie rozciągnęła czyste prześcieradło na starym materacu i zaczęła powlekać kołdrę.

– To się stało zupełnie prosto – rzekła wreszcie. – On mi powiedział: Affery, jak ci się podoba nazwisko Flintwinch? Nie wytrzeszczaj oczu, bo za tydzień będzie już twoim. Tak postanowiliśmy. Ona jest coraz słabsza i musi mieć kogoś przy sobie bezustannie, więc uznałem, że będzie najwygodniej, abyś została moją żoną. Żona musi być posłuszna mężowi, ponieważ stanowi z nim jedno.

Strzepnęła mocno kołdrę i zaczęła ją zapinać na guziki.

– I cóż dalej? – zapytał Arthur.

– A cóż mogło być dalej? W niedzielę ona powiedziała: Już wyszły trzecie zapowiedzi, idź do kościoła, Affery, zostaniesz żoną Jeremiaha. On czekał na mnie i poszliśmy razem. Cóż mogłam poradzić na to?

Arthur pochylił głowę i pogrążył się w zamyśleniu. Zastanawiał się nad tym, jak małżeństwo oddziało na usposobienie Affery: czy ta najlepsza jego przyjaciółka oddała rzeczywiście swoją wolę narzuconemu mężowi?

– Affery – zapytał nagle – co to za młoda dziewczyna była w pokoju matki? Widziałem ją tam w głębi obok ciebie.

Staruszka wydeła usta i wzruszyła ramionami.

– To maleńka Dorrit – rzekła. – Przychodzi do szycia. Dobra nawet dziewczyna. Ot, taki sobie nowy kaprys pani... a on jakoś pozwala...

Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i Affery nagle umilkła. Szybko położyła czystą bieliznę na kołdrze i, szepnąwszy cicho: dobranoc, śpiesznie opuściła pokój.

Arthur został sam. Stanął w otwartym oknie i patrzył w mrok nocy, na ciemny las kominów rysujących się na tle nieba. Patrzył na nie tak samo jak w ciągu długich lat dzieciństwa, i dalekie wspomnienia budziły się w jego duszy.

Affery tymczasem szybkim i nieśmiałym krokiem podążyła z powrotem do pokoju pani Clennam, ażeby się upewnić, czy jej nie potrzebuje.

Załatwiwszy tu wszystko, wyszła tylnymi drzwiami o kilka schodków niżej do swego pokoju. Jeremiaha jeszcze nie było, ale nie troszcząc się o to, spokojnie położyła się do łóżka.

Obudziła się nagle. Wydawało jej się, że spała już kilka godzin. Wypalona świeca

potwierdzała to przypuszczenie, noc musiała być głęboka. Lecz Jeremiaha koło niej nie było.

Zadziwiona i prawie niespokojna wstała, narzuciła spódnicę i chustkę i zaczęła schodzić po ciemku schodami.

A może mi się to śni? – przyszło jej na myśl.

Ale nie, szła przytomnie, trzymając się mocno poręczy i skradając się cichutko z powodu obawy.

Znalazłszy się na dole, zobaczyła, iż z małego pokoiku tuż przy wejściu wpada do sieni słaba smuga światła. Więc tam był jej mąż. Może zemdał, może – nie żyje...

Zebrawszy całą odwagę, cichutko przysunęła się do drzwi bosymi nogami po kamiennej posadzce i skulona, z wyciągniętą do przodu szyją, zapuściła ciekawe, badawcze spojrzenie w głąb słabo oświetlonej izdebki.

I prawie skamieniała. Na stole dopalała się świeca w lichtarzu, z jednej strony siedział jej Jeremiah przed dobrze już napoczętą butelką i wysuszoną szklanką, a naprzeciwko niego – siedział Jeremiah drugi i spał, oparłszy głowę o poręcz wysokiego krzesła.

– Wielki Boże... – szepnęła drżącym głosem Affery.

Jej mąż, jak gdyby usłyszał te słowa, obejrzał się dokoła z zsuniętymi brwiami, potem błyszczące oczy utkwił w sobowtórze, wreszcie sięgnął po szczypcę i pchnął nimi śpiącego z całej siły.

– Co to? – zawołał, budząc się, drugi Jeremiah.

– Tst! – syknął groźnie pierwszy. – Czas na ciebie. Spałeś przeszło dwie godziny. Dostyc tego. Wpół do trzeciej. No, ubieraj się, prędko.

– Miałem na pożegnanie dostać szklankę wina.

– Pij – rzekł Jeremiah, nalewając mu z butelki. – A spraw się dobrze. Napisz natychmiast, jak będziesz na miejscu. Szkatułkę złożysz w banku na swoje nazwisko, jak cię uczyłem. Byłeś zawsze dobrym współnikiem, więc rachuję na twoją głowę. To może być kopalnia pieniędzy. Ostatnia chwila usunięcia tego z domu. Znam niby ich oboje, ale trudno przewidzieć, co może nastąpić. Tak będziemy bezpieczni. Więc pamiętasz wszystko?

– Bądź spokojny. Znasz mnie chyba dostatecznie.

Jednocześnie Jeremiah pierwszy pomagał Jeremiahowi drugiemu ubrać się w szeroki płaszcz i umieścić pod nim dość dużą szkatułkę, okutą żelazem i zapewne ciężką. Gdy zbliżał się do drzwi, Affery cofnęła się szybko i bez szelestu znalazła się

znowu na schodach. Stąd widziała, jak cicho otworzyły się drzwi wyjściowe, poczuła chłodny powiew czarnej nocy, potem drzwi się zamknęły.

Miała dość czasu, aby powrócić do łóżka, lecz nie mogła ruszyć się z miejsca. Nogi tak jej ciążyły, jakby wrosły w schody, nie była zdolna ani podnieść głowy, ani poruszyć ręką. Toteż Jeremiaś idący ze świecą w ręku natknął się prosto na nią.

Zatrzymał się, lecz nie przemówił ani słowa, tylko utkwiał w jej oczach błyszczące spojrzenie, przed którym cofnęła się mimo woli. I ruszył prosto na nią, popychając ją przed sobą wzrokiem, a Affery półprzytomna cofała się ciągle.

Takim sposobem weszli do swego pokoju. Jeremiaś cicho zamknął drzwi za sobą i pochwyił żonę za gardło.

– Ha! – szeptał groźnie – zbudź się! Jesteś lunaticzką. Chodzisz we śnie. Obudź się!

– Jeremiaś! Jeremiaś! – bełkotała przestraszona kobieta. – Mnie się zdawało...

– Co ci się zdawało, to mnie nic nie obchodzi. Zasnąłem na dole, a kiedy chciałem wrócić do pokoju, spotkałem cię na schodach śpiącą. Zbudziłaś się? Pamiętaj, że jeśli się to powtórzy, zastosuję lekarstwo, które cię wyleczy na pewno, pamiętaj!

Affery, drżąc cała, wsunęła się cicho do łóżka.

ROZDZIAŁ II

RODZINNE SPRAWY

Nazajutrz o dziewiątej rano Jeremiah Flintwinch wtoczył fotel pani Clennam do znanego nam już pokoju i umieścił go przed zamkniętym biurkiem.

Wówczas wdowa wyjęła klucz z woreczka, otworzyła biurko, opuściła klapę i wysunęła z głębi parę ksiąg.

Jeremiah zniknął, lecz wkrótce ukazał się Arthur Clennam.

– Dzień dobry, matko. Jakże dzisiaj zdrowie?

– Możesz nie pytać o to – odpowiedziała sucho. – Nie mogę być zdrowsza i nigdy nie będę, ale znoszę wolę Boga z rezygnacją. Nie ma co o tym mówić.

Oparła na biurku obie owinięte bandażami ręce i patrzyła na syna, jak gdyby czekała, aż powie jakieś słowa ważne i potrzebne.

– Czy mogę, matko, mówić dziś o interesach? – zapytał wreszcie Arthur.

– Dziwne pytanie – rzekła. – Ojciec twój umarł przed rokiem, więc chyba wielki już czas mówić o interesach, które nam pozostawił.

– Sądzę, że ten rok zwłoki nie miał żadnego wpływu na ich przebieg – zauważył Arthur spokojnie. – Zresztą tam na miejscu, zanim wyjechałem, musiałem uporządkować wiele rzeczy. Potem chciałem odpocząć, więc podróżowałem trochę dla rozrywki.

Spojrzenie pani Clennam wyrażało surowe zdumienie.

– Chciałeś odpocząć i podróżować dla rozrywki! – powtórzyła, rozglądając się po pokoju, jakby wzywała wszystkie sprzęty na świadectwo, że ona nie zaznała tutaj odpoczynku i nie rozumie wyrazu „rozrywka”.

– Moja obecność nie była potrzebna – mówił spokojnie Arthur. – Byłaś, matko, egzekutorką testamentu i miałaś pełną możność urządzić wszystkie sprawy wyłącznie podług swej woli.

– Czy chcesz przejrzeć rachunki?

– Nie, matko. I po cóż? Wycofałem mój udział z interesu i nie mam zamiaru wiązać się z nim więcej. Wiedziałaś o tym, teraz tylko to potwierdzam. Gdybym miał wpływ na ciebie, gdybym ci śmiało radzić, powiedziałbym: uczynić to samo. Nasz dom handlowy dzisiaj nie ma żadnego znaczenia, a twoje siły, matko, znajdują lepsze pole do pracy.

– Nie prosiłam cię dotąd o radę, Arthurze.

– Przebacz, matko. Chodziło mi przecież o ciebie, lecz skoro nakazujesz mi milczenie, nie poruszę już tego przedmiotu. Pozwól tylko przypomnieć sobie, że dotąd – a dobiegam już lat czterdziestu – byłem zawsze posłuszny twojej woli, nie zadając sobie pytania, czy to zgadza się z moją chęcią.

– Czy chcesz mi coś więcej powiedzieć, Arthurze? – przerwała pani Clennam lodowato.

– Tak, matko. Chcę ci powiedzieć coś więcej. Coś trudniejszego jeszcze. A jednak mówić muszę. Od śmierci ojca nie mam godziny spokoju, dzień i noc o tym myślę i ty jedna, matko, możesz mi w tym pomóc, jeśli zechcesz.

– Czekam i słucham, chociaż nie rozumiem, do czego dążysz.

– Przebacz, że muszę zacząć od przeszłości. Nie pytam, co rozdzieliło cię z ojcem. Wiem, że wyjechał do Chin, bo taka była twoja wola. Wiem, że ty postanowiłaś, abym do lat dwudziestu został z tobą, a od lat dwudziestu połączył się z ojcem. Nie badałem przyczyny. Ale ostatnie chwile, ale ostatnia choroba... niektóre słowa, matko... On chciał mi coś powiedzieć... On chciał, zdaje mi się, coś powiedzieć tobie... i już nie mógł.

„Matka”, „przypomnij”, „krzywda”... tak matko, był ten wyraz i dlatego nie mam spokoju. Dlatego otwierałem ten zegarek, myśląc, że może znajdę w nim wskazówkę. Tam na jedwabnym krążku są wyrazy: „Nie zapomnij”. Czy to ma związek? Daruj mi, matko, że cię o to pytam, może nie wiesz, o co mi chodzi, ale jeżeli zechcesz, ty jedna, tylko ty możesz mi pomóc... odnaleźć ową „krzywdę”, wynagrodzić, oczyścić pamięć ojca, jeśli tego potrzebuje. Nie mówię materialnie, bo tę stronę wzięlbym na siebie, ale... ale... czy sądzisz, matko, że w przeszłości jest coś takiego, co powinniśmy odszukać i zgodnie z wolą ojca, której wyrazić nie zdołał...

Umilkł pod jej spojrzeniem twardym, zimnym i surowym. Cofnęła się z fotelem, jakby chciała być dalej od niego, jej zaciśnięte usta miały wyraz wzgardy.

– Matko – szepnął – ja mówię to tylko do ciebie. Może pierwszy raz w życiu mówię tak otwarcie, ale gdybyś widziała, matko, jak się męczył. Gdy już nie mógł wymówić, chciał napisać, lecz sztywniejące ręce kreśliły zygzaki. W imię Boga, błagam cię, matko, pomóż mi rozwiązać tę zagadkę, naprawić zło, jeśli zostało spełnione!

Pani Clennam wciąż jeszcze patrzyła na niego z wyrazem surowości i zdumienia, jej zacięte usta milczały.

Nagle ruchem nogi odwróciła fotel ku ścianie, gdzie zwieszał się sznur dzwonka. Pociągnęła go gwałtownie.

Do pokoju wbiegła dziewczynka, którą Arthur widział już wczoraj.

– Przyślij mi Jeremiaha!

Chwilę potem starzec z przekrzywioną głową i sterzczącymi końcami chustki ukazał się na progu.

– Jeremiahu! – zawołała pani Clennam – spójrz na mego syna. Wczoraj wszedł do tego domu, a dziś żąda ode mnie, abym z nim szpiegowała przeszłość ojca, którego podejrzewa o tajemnicze krzywdy i bezprawia, domagające się wynagrodzenia.

– Matko! – zawołał Arthur, boleśnie dotknięty.

– Wynagrodzenia! – powtórzyła gorzko, spoglądając dokoła siebie. – Bawi się, podróżuje, odpoczywa i łaskawie rozmyśla o ojcowskich grzechach. Mój rachunek z Bogiem inaczej wygląda. Ja z rezygnacją cierpię, co mi przeznaczono, i sędzę, że Bóg przyjmie to za moje grzechy.

– A teraz – przemówiła podniesionym głosem – tu wobec świadka i w obliczu Boga zabraniam ci raz na zawsze w mojej obecności mówić o winach ojca i w jakikolwiek sposób dotykać tego przedmiotu. A gdybyś się powążył złamać mój zakaz, mam jeszcze moc i prawo zamknąć przed tobą drzwi mojego domu i pod klątwą zabronić ci tu wstępu.

– O, matko – jęknął Arthur z najwyższą boleścią.

– Pozwól mi skończyć – przemówiła pani Clennam zwykłym głosem, twardym i suchym. – Jeremiahu, syn mój powrócił, aby powiedzieć stanowczo, że zrzeka się udziału w interesie, zamiast podtrzymać go swymi siłami. Byłam na to przygotowana. Kapitan okrętu opuszcza swoje stanowisko, ale my, Jeremiahu, zostaniemy i popłyniemy dalej pod naszą starą flagą. Od dziś jesteś moim współnikiem, w twoje ręce wkładam załatwienie wszelkich formalności.

Oczy Jeremiaha zamigotały blaskiem chciwości i dumy, lecz natychmiast pokornie zgiął swą grubą postać i w uniżonych słowach dziękował za zaszczyt, którego nie spodziewał się zupełnie.

Zegar zaczął bić jedenastą i w tej chwili przypomniał sobie, że to godzina śniadania. Nie potrzebował wołać, gdyż prawie jednocześnie małe Dorrit wniosła na tacy symetrycznie ułożonych osiem ostryg, kawałek chleba z masłem i szklanek wina z ocukrzoną wodą.

Lecz pani Clennam jeść dzisiaj nie chciała. Odsunęła ostrygi, ale spojrzała łagodniej i uprzejmie, choć krótko, przemówiła do dziewczynki.

Arthur spojrzał na nią uważnie. „Nowy kaprys” matki. Co to miało znaczyć? Skąd pochodził ten nowy kaprys?

Dziewczynka była najwyraźniej bardzo nieśmiała. Przesuwała się cicho, prawie bez szelestu, drobna, szczupła, małeńka, w wąskiej i krótkiej sukience, wyglądała na

dziecko, chociaż jej twarz poważna świadczyła, że wyrosła już z dzieciństwa. Nie była ładna, ale ciemne oczy, łagodne i myślące, miały wyraz słodczy, a cała postać mimo ubożego stroju uderzała szlachetnym wdziękiem i prostotą.

Kopciuszek – przemknęło przez głowę Arthura i zbudziła się w nim ciekawość.

Skąd się to dziecko wzięło koło jego matki? I co znaczy w oczach matki ta łagodność, kiedy przemawia do obcej dziewczynki? Ona, tak zimna, surowa dla syna?

Dziwne myśli zaczęły krążyć mu po głowie, lecz musiał milczeć. Jeżeli przeszłość kryła jakąś tajemnicę, po śmierci ojca matka zamknęła ją na klucz, i Arthur mógł być przekonany, że klucza tego mu nie odda. Więc – czy ma ulec matce, czy spełnić ostatnie pragnienie, wolę umierającego? Sumienie odpowiedziało mu wyraźnie: uznał za swój obowiązek iść drogą wskazaną przez ojca.

I w milczeniu uważnie obserwował małą, która wydała mu się pierwszą pajęczą niteczką wiodącą w ciemny, zawiły labirynt. Kim ona jest? Co tu robi? Skąd się wzięła?

Wiedział już, że przychodziła do szycia i pracowała pilnie od ósmej rano do ósmej wieczorem. Zjawiała się i znikwała punktualnie. Lecz gdzie się podziewała na drugie pół doby? Zdawało się, że o tym nikt nie wie w tym domu – on postanowił to zbadać.

Zaczął więc ją obserwować. Jak się później dowiedział, podczas obiadu wezwana nie chciała nigdy usiąść przy wspólnym stole. Zawsze miała wymówkę: coś wykończy, trudno porzucić robotę, tłumaczyła się nieśmiało, lecz rezultat był taki, że bardzo prędko jadła obiad w swoim kąciку i znowu w jej cienkich paluszkach szybko, zręcznie migała igiełka.

Na każde skinienie pani Clennam dziewczynka porzucała natychmiast robotę i stawała przy niej, aby spełnić polecenie. A wówczas głos staruszki zimny, obojętny miał jakiś niezwykły odcień, który ucho Arthura pochwyciło wyraźnie.

Czy można by przypuścić, że w tym zimnym sercu zbudziło się na koniec cieplejsze uczucie dla obcego zupełnie dziecka?

Pozostawiwszy matkę z Jeremiahem w nowej roli zaufanego współnika, Arthur przez cały ranek błąkał się po starym domu, długie chwile rozmyślań spędzając w posępnych komnatach, gdzie wszystko opowiadało o ruinie. Były one ciemne, posępne, wilgotne, nigdy nieprzewietrzane i wypełnione dziwnym zapachem. Sprzęty wszędzie zniszczone, obicia wyblakłe, nigdzie śladu barwy ani błysku słońca. W dalszych pokojach gruba warstwa kurzu pokryła wszystko swym brudnym

całunem, inne nosiły ślady pewnego porządku.

Niejednokrotnie w ciągu długiej podróży po niedalekich miejscach zwracał jego uwagę cichy, tajemniczy szelest, jak gdyby lekkich kroków, które go poprzedzały albo śledziły za nim, niczym cichy upadek zwiędłych liści, jakby tłumione szepty niewidzialnych istot.

Ale głos własnych myśli przemawiał wyraźniej i na te szmery Arthur nie zwracał uwagi.

Około drugiej w jadalnym pokoju podano skromny obiad, do którego zasiadł w towarzystwie małżonków Flintwinch. Dorrit, jak zwykle, pozostała w swoim kąciku, a kilka uwag Affery, rzuconych z tego powodu, zapoznało go z tym jej zwyczajem.

Jeremiah oznajmił, iż może po południu ukazać się znów matce, która uspokoiła się po rannym przejściu, uznał też za stosowne dodać od siebie radę, aby tego przedmiotu nie dotykać więcej.

Po obiedzie Jeremiah zakasał rękawy i wziął się do urządzania dla siebie małego gabinetu przyjęć, gdyż na niego spadał teraz obowiązek rozmowy z klientami, o ile osobiście zgłoszą się do biura.

– Słuchaj, stara – zwrócił się zarazem do żony – pokój pana Arthura dotąd niesprzątnięty, pójdiesz tam zaraz i przygotujesz wszystko.

Arthur oświadczył jednak, że nie zamieszka w domu. Miał od początku ten zamiar, przyjeżdżając do Londynu, i dlatego rzeczy zostawił na poczcie. Skoro się ulokuje, przyniesie swój adres.

Jeremiah wyraził mu swoje uznanie, Affery spojrzała ukosem, lecz nie śmiała się odezwać: może jeszcze w tej chwili słabym głosem odezwała się jej dawna miłość do tego dziecka, które wyniańczyła. Ale Affery nie wolno było dziś mieć zdania.

Pani Clennam przyjęła wieść o wyprowadzeniu się syna obojętnie, jako rzecz naturalną i przewidywaną, i zajęta z Flintwinchem sprawdzaniem rachunków w starych księgach z daleka pożegnała lekkim skinieniem głowy wychodzącego z pokoju Arthura.

On jednakże był blady i wychodził ze ściśniętym sercem.

ROZDZIAŁ III

OJCIEC MARSHALSEA

Przed wielu, wielu laty w okolicy kościoła Świętego Pawła znajdował się posepny i brzydki budynek, otoczony murem i żelaznymi kratami – było to Marshalsea, więzienie dla niewypłacalnych dłużników.

Zajmowało ono przestrzeń dość obszerną, zabudowaną małymi domkami. Otaczały one ciasne, brukowane podwórze. Mało miejsca, mało powietrza, żadnego śladu roślinności. Dłużnicy mieli prawo zajmować pojedyncze łące pokoiki, w których mieścili się zwykle z rodziną, a na ciasnym, brzydkim podwórzu pełno było dzieci i krzyku.

Na dwadzieścia trzy lata przed powrotem Arthura Clennama do Londynu przywieziono do więzienia Marshalsea nowego dłużnika.

Był to człowiek około lat trzydziestu, wytwornie ubrany, o twarzy delikatnej, bladej i nieśmiałej otoczonej wijącymi się puklami jasnych włosów. Spojrzenie miał niepewne i strwożone, usta drgały mu jakimś dziwnym grymasem, i co chwila nerwowym ruchem podnosił do nich rękę białą, wypieszczoną, ozdobioną kosztownymi pierścionkami według ówczesnej mody.

Nie chciał rozpakować swojego tłumoczka, gdyż był pewien, że uwolni go nazajutrz, a w najgorszym razie za parę dni, ponieważ każdy nowy więzień jest pewny uwolnienia w krótkim czasie. Odźwierny i dozorca w jednej osobie namawiał go do urządzenia się „wygodnie”, nie usiłując jednak rozwiązać miłych nadziei.

Więzień był niespokojny i co chwila podnosił do ust białą rękę, wyrażając obawę, jak sobie poradzi jego żona, żeby tu trafić.

– Ludzie pokażą drogę – uspokajał go odźwierny.

– Nie wiem – mówił więzień – jakże ona spyta i zaczepi przecież obcego? I jeszcze w takiej kwestii...

– Może przyjechać dorożką.

– Hm, dorożką, nie wiem... ona nie wychodziła sama na ulicę... jakże jej to przyjdzie do głowy...

– To ją ktoś przyprowadzi, brat czy krewny.

– Hm, nie ma brata... Nie ma krewnych... Pewno przyprowadzi dzieci.

– Dzieci? – spytał dozorca. – Będzie was więcej! A dużo pan ma dzieci?

– Dwoje – odparł mężczyzna z miną wielce zakłopotaną.

– Wybrał pan sobie pokój?

– Wszystko jedno, to nie na długo.

– W każdym razie niech pan weźmie ten na pierwszym piętrze, gdzie w tej chwili okno otwarte. Jeden z najlepszych pokoi w Marshalsea.

– Bardzo, bardzo dziękuję.

– Pańska żona zostanie z panem?

– Tak, hm, nie chcemy się rozłączać... chociaż to na czas krótki.

– Tak, tak – potwierdził uprzejmie odźwierny, choć dla siebie miał zupełnie inne zdanie.

Od wielu lat pełnił urząd w Marshalsea i jednym spojrzeniem oceniał swoich pensjonarzy. Na pana Dorrit wruszał ramionami i potrząsał głową znacząco.

Rzeczywiście interesy tego pana były w dziwny sposób splątane. A co najgorsze, że on sam nie wiedział nic o swoich pieniądzach i nie umiał nic wytłumaczyć. Był bogaty. Był współnikiem jakiegoś domu handlowego, lecz sam interesami nigdy się nie zajmował. Od tego są bankierzy, adwokaci. On brał tylko pieniądze i wydawał. Ale swoje. Od nikogo nigdy nie pożyczał. A tymczasem w jakiś niepojęty sposób kapitały towarzystwa znikły. Gdzie się mogły podziać, tego przecież pan Dorrit nie wie. I dlaczego on ma za to siedzieć w więzieniu? I dlaczego źli ludzie żądają od niego zwrotu pieniędzy, których od nich nie brał? Zapewne wszystko to samo się wkrótce wyjaśni.

Starzy więźniowie zwykle schodzili się do odźwiernego, ażeby coś usłyszeć o nowo przybyłym. I tym razem ciekawie zadawali mu pytania, na które nie znajdował jakoś odpowiedzi.

– Mnie się zdaje, że ten nigdy stąd nie wyjdzie – odezwał się na koniec.

To proroctwo świadczyło o jego znajomości ludzi. W pierwszych miesiącach uwięzienia pana Dorrit bardzo często zajeżdżali przed Marshalsea prawnicy i prokuratorzy, ażeby za pomocą jego zeznań rozjaśnić zakłętą sprawę, lecz po kilku miesiącach zupełnie ustały te budzące nadzieję odwiedziny, przekonali się bowiem, że od więźnia nic się dowiedzieć nie mogą.

Nazajutrz po przybyciu pana Dorrit zjawiała się jego żona z dwojgiem dzieci: trzyletnią dziewczynką i dwuletnim chłopcem. Kilka miesięcy potem przyszło na świat trzecie dziecko, mała dziewczynka Amy, urodzona i wychowana w więzieniu,

którą poznaliśmy w domu pani Clennam.

Małeńka Dorrit, jak ją zwykle nazywano, była zatem dzieckiem Marshalsea. Znała tu każdy kącik, każdy kamień, ją też wszyscy znali i wszyscy lubili ciche „dziecko więzienia”.

Kiedy miała lat osiem, została sierotą. Pani Dorrit, wątłego zdrowia, źle znosiła życie więzienne i nie mogła się nigdy oswoić z nowym położeniem. Ponieważ z każdym rokiem była słabsza, wyjechała na wieś podczas lata, do swojej mamki, i już nie wróciła.

Na wieść o śmierci żony pan Dorrit zamknął się w swoim pokoju i przez trzy dni nikt go nie widział. Kiedy na koniec ukazał się znowu, zauważono, że mu włosy posiwiały, a ręka podnosiła się częściej nerwowym ruchem do ust, drgających i dziwnie skrzywionych.

Towarzysze niedoli współczuli mu szczerze i po naradzie w tak zwanej kawiarni, to jest małej izdebce, gdzie się gromadzili na wspólne pogawędki i skromne zakąski, postanowili ofiarować mu zbiorowo pięknie napisany na wielkim arkuszu dyplom, zawierający wyrazy życzliwości, współczucia i uznania, podpisany przez wszystkich.

Pan Dorrit stopniowo przyzwyczał się i pogodził ze swym losem. Prawda, w Marshalsea było trochę ciasno, ale za to spokojnie. Nie wolno było stąd wychodzić na świat, ale za to ze świata nie wkraczały tu żadne troski; spokój wynagradzał w części brak swobody.

Stary odźwierny, który w pierwszych chwilach lekcewał nowego więźnia, z czasem zaczął być z niego dumny.

– Jesteś pan najdawniejszym więźniem w Marshalsea – rzekł mu razu jednego. – Brakowało by nam pana, gdybyś stąd kiedy wyszedł.

Chwalił się nim też chętnie wobec nowo przybyłych.

– Oto dżentelmen – mówił – dobrze wychowany. Bez obrazy, drugiego takiego nie ma w Marshalsea. A co za edukacja! Sam dyrektor go prosił, żeby wypróbował nowy fortepian. I proszę posłuchać, jak zagrał. Niczym organy w kościele. A języki! Z Francuzem mówi po francusku, i lepiej od Francuza! A kiedy mieliśmy tu Włocha, to on tylko z nim się rozmawiał, i trzeba było słyszeć!

Toteż mieszkańcy Marshalsea z pewnego rodzaju szacunkiem spoglądali na poważnego dżentelmena o siwych włosach, uprzejmym obejściu i pełnej godności postawie.

Zanim jednakże pan Dorrit posiwiiał, odźwierny zestarzał się zupełnie. Nogi mu odmawiały posłuszeństwa, brakowało oddechu i często nie miał siły iść z kluczem

do furki, aby otworzyć lub zamknąć więzienie.

Wtedy pan Dorrit wyręczał chętnie przyjaciela.

– My dwaj jesteśmy najstarsi w Marshalsea – mówił starzec pewnego wieczoru, kiedy śnieg padał białymi płatami, a w niewielkiej jego izdebce zgromadziło się kilku więźniów na życzliwą koleżeńską pogawędkę. – Siedem lat tylko zamieszkałem tu wcześniej od pana. I czuję, że niedługo już będę pełnił służbę. A gdy się wyprowadzę, to pan, panie Dorrit, zostaniesz „ojcem Marshalsea”.

„Wyprowadził” się już nazajutrz. Wtedy przypomniano sobie jego słowa, powtarzano je i zaczęto tytułować pana Dorrit coraz częściej mianem „ojca Marshalsea”.

Przyjął to spokojnie, jako hołd należny, i powoli zaczął się szczyścić tytułem, widział w nim jakąś godność, na którą w pełni zasłużył.

Każdy nowo przybyły więzień był mu teraz prezentowany z pewnym ceremoniałem, i pan Dorrit przywiązywał do tego znaczenie. Przyjmował wtedy gości u siebie w pokoju ze skromną dostojnością i powagą, przemawiał do nowicjusza, malując w słowach – hm, umiarkowanych – przywileje i słabe strony tego ziemskiego schronienia.

Wychodzący z więzienia uważali za obowiązek pożegnać ojca Marshalsea i weszło w zwyczaj, że podsuwali mu szparą pod drzwiami listy pożegnalne, zawierające zwykle jakiś datek, wedle możliwości.

Ojciec Marshalsea przyjmował te dary, widząc w nich hołd należny i daninę, jaką poddani winni swemu władcy. Nie lubił tylko listów pisanych tonem żartobliwym.

Z czasem jednak sprzykrzyło się ludziom pisywać: zawsze to duży kłopot, a nieraz wysiłek układać jakieś zdania, żeby było tak, jak trzeba. Toteż urządzano sprawę prościej. Ojciec Marshalsea odprowadzał uwolnionego do furki, tam po raz ostatni ściskali się za ręce, a wtedy odchodzący – jakby sobie coś przypomniał – starał się wsunąć w rękę starszego kolegi jakąś monetę zawiniętą w papier.

– Zapomniałem panu doręczyć – mawiał zwykle.

– Dziękuję – odpowiadał z prostotą ojciec Marshalsea, wsuwając papier do kieszeni.

Pewnego razu pośród kilku uwolnionych był ubogi robotnik, który przebył tu tylko tydzień za jakiś niewielki dług. Szedł teraz z żoną, dumny i szczęśliwy z odzyskanej wolności, i uśmiechał się do ludzi i do nieba.

– Bóg z panem – rzekł serdecznie, mijając ojca Marshalsea.

– I z tobą, bracie – odparł uprzejmie pan Dorrit.

– Panie, panie! – zawołał nagle, zawracając biedak – ubogi jestem, ale proszę przyjąć to z dobrego serca.

I wsunął w białą rękę dżentelmena kilka sztuk drobnej monety miedzianej.

Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby ojcu Marshalsea taką złożono daninę.

Wprawdzie dzieci ojca Marshalsea nieraz otrzymywały w podarunku miedziaki i składały je na wspólne potrzeby: kawałek mięsa czy szklaneczkę piwa, z której chętnie korzystał – ale tak, wprost do ręki, od człowieka w bluzie, patrzącego mu prosto w oczy...

– Jak pan śmiesz? – odezwał się też drżącym głosem i zarazem wybuchnął łzami.

Człowiek w bluzie bardzo delikatnym ruchem odwrócił go twarzą do ściany, aby zabezpieczyć od ciekawych spojrzeń, i zaczął go przeproszać głosem tak serdecznym, że zatarł wszelkie uczucie goryczy. Pan Dorrit odczuł, że skromna danina nie była miarą życzliwości i szacunku dającego.

– Wiem, wiem – wyszeptał znowu. – Nie gniewam się na pana. Zrobiłeś to z dobrego serca. Dajmy temu pokój.

– Dziękuję panu bardzo – rzekł robotnik – tak jest rzeczywiście. I chcę pana o tym przekonać. Zobacz pan, że jestem lepszym przyjacielem niż oni wszyscy.

– Cóż chcesz zrobić? – spytał pan Dorrit ciekawie.

– Będę pana odwiedzał.

Pan Dorrit spojrział nań zdziwionym wzrokiem.

– Daj mi pan te miedziaki – odezwał się żywo z jakimś ciepłym błyskiem w spojrzeniu – schowam je na pamiątkę i nie wydam. Dziękuję ci, dziękuję! Więc przyjdiesz mnie odwiedzić?

– Będę za tydzień, jeżeli dożyję.

Raz jeszcze uścisnęli się mocno za rękę.

Taki był początek przyjaźni z Plornishem. Lecz mieszkańcy Marshalsea, zebrani wieczorem w kawiarni, długo szeptali, kiwając głowami i dziwiąc się, że pan Dorrit tak późno sam jeden, dziwnie smutny i zamyślony, przechadza się dziś po dziedzińcu.

ROZDZIAŁ IV

DZIECKO MARSHALSEA

Maleńka Dorrit od pierwszej chwili swego życia stała się jakby własnością ogółu, zamkniętego w obrębie murów więzienia Marshalsea. Wiedzieli o niej wszyscy i każdy pragnął ją zobaczyć, kobiety i mężczyźni nosili ją na rękach, nadając jej, jak gdyby za wspólną umową, jedno imię – Maleńka!

Tak była mała i cichutka.

– Powinna zostać moją chrzestną córką – odezwał się odźwierny, patrząc na maleństwo jakimś ojcowskim wzrokiem.

Pan Dorrit spojrział na niego niepewny.

– Trzymałbyś ją pan do chrztu? – spytał wreszcie.

– Bardzo chętnie – zawołał dozorca z widocznym zadowoleniem.

Ochrzczono zatem dziewczynkę w najbliższym kościele w niedzielę po południu, kiedy odźwierny miał wolne, i chrzestny ojciec z dumą niósł ją z powrotem do domu, zapewniając, że całym sercem wyrzekł się w jej imieniu wszelkich spraw szatana.

Odtąd miał pewne prawa do Maleńkiej i korzystał z nich chętnie. Skoro zaczęła chodzić i mówić cokolwiek, kupił dla niej wysokie drewniane krzeselko i stawiał je obok swego przed kominkiem, na którym płonął zwykle słaby ogień. Maleńka polubiła izbę odźwiernego, jej kominek i ciepło, swój wysoki stołek i tanie cacka, jakie na nim znajdowała. Przywiązała się do chrzestnego ojca i często można było widzieć jej drobną postać pokonującą z trudem kilka schodków, ażeby dostać się do jego stancji.

Zdarzało się, że zasypiała przed kominkiem na wysokim swoim stołeczku, wówczas odźwierny lekko i ostrożnie zarzucał jej na głowę swoją dużą chustkę od nosa. Jeśli nie spała, ubierała lalki, rozmawiając dziecinnym językiem o częściach garderoby swoich dzieci.

Ona sama prawdopodobnie nie umiałaby określić, kiedy zauważyła, że furtka żelazna, otwierająca się z czasem dla każdego z mieszkańców, jedynie dla jej ojca była zawsze zamknięta. Wtedy też po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że tam za murem jest jakiś inny świat, bez furtki, klucza i dozorczy. Może myślała o nim, kiedy odsuwając się od zabawy z dziećmi, stawała przy kracie lub przez okno patrzyła na

błękitne niebo i nieznaną jej przestrzeń, z murami obcych, nieznanych jej domów.

– Myślisz zapewne o zielonej łące? – zapytał raz odźwierny, który od pewnego czasu zauważył ciche zadumy Maleńkiej.

– O zielonej łące... – powtórzyła z wielką rozważą. – Co to znaczy zielona łąka?

– To... to jest takie pole – odpowiedział cokolwiek zakłopotany, kręcąc kluczem między palcami i mimo woli wyciągając rękę w stronę miasta.

– A czy ją także zamykają na klucz? – zapytała dziewczynka.

– Na klucz? – powtórzył zdziwiony dozorca. – Nie, zwykle nie, jakże to?

– A czy tam ładnie, Bob?

Nazywała go Bobem nieśmiało i delikatnie zarazem, ponieważ bardzo prosił o tę poufałość.

– Ślicznie – zawołał. – O, wręcz prześlicznie! Trawa, kwiaty, żółte, niebieskie, różowe, wszystko wesołe, piękne, bardzo piękne.

– Tam przyjemnie jest chodzić, prawda?

– Spodziewam się! – zapewnił starzec.

– A ojciec był tam kiedy?

– Ojciec? Hm, zdaje mi się, hm, myślę, że dawniej chodził.

– To jemu bardzo smutno, że teraz iść nie może?

– N... nie... nie bardzo, moja mała – wyjąkał zakłopotany.

– I im wszystkim – mówiła Amy, spoglądając na drepczące po bruku gromadki.

Bob był mocno zmieszany, więc wyjął z szuflady kawałek owsianego cukru i ofiarował z uśmiechem gościowi. Był to najlepszy środek przerwania rozmowy, skoro wkraczała na tory drażliwe, i odźwierny umiejętnie go stosował.

Od tego czasu jednak zaczęły się dla małej mniej więcej co dwa tygodnie wycieczki za miasto. Bob miał wtedy wolne popołudnie, więc jeśli tylko pogoda sprzyjała, brał Maleńką za rękę i z wolna, poważnie kroczyli przez ulice aż het, het, daleko na jakąś łąkę lub pomiędzy drzewa, na miejsce starannie wybrane zawczasu, gdzie dziewczynka biegła i zrywała kwiatki, a on spokojnie palił swą fajeczkę. Zwiedzali w ten sposób publiczne ogrody, kupował jej ciastko, cukierek, krewetki, a jeśli się zmęczyła, niósł ją z powrotem na rękę i często oddawał rodzicom uśpioną.

Sam oddalał się zamyślony, gdyż w tym czasie zaczęła go już dręczyć troska, jakim sposobem mógłby zostawić dla Amy swe skromne oszczędności, ale tak, żeby nikt nie mógł odebrać jej tego majątku. Radził się w tej sprawie najmądrzejszych ludzi, jakich spotykał w swoim otoczeniu, lecz nie znalazł środka i śmierć

zaskoczyła go niespodziewanie bez testamentu i jakichkolwiek rozporządzeń.

Małeńka Dorrit miała wtedy lat szesnaście, ale już od ośmiu, to jest od śmierci matki, zmieniła się jej rola względem własnej rodziny.

Pan Dorrit mocno odczuł stratę żony. Gdy po kilku dniach samotności ukazał się znów dzieciom, Amy zauważyła z przerażeniem jego zbielełą głowę i poblakłe oczy. Jej serduszek ścisnęło się wtedy boleśnie i po raz pierwszy uczuła pragnienie okazania w jakiś użyteczny sposób swego przywiązania do ojca.

Cóż jednak może zrobić ośmioletnie dziecko? Duch miłości i poświęcenia nasunął jej jedyną metodę: wyrzec się tak przyjemnych wycieczek i gawęd w izdebce odźwiernego, aby być więcej z ojcem.

I pozostała przy nim. Jeśli był sam w pokoju, ona nie wychodziła także, zawsze umiała sobie znaleźć jakieś zajęcie, i mężczyzna prędko przywykł do jej obecności. Skoro wyszła, natychmiast mu jej brakowało.

Więc spędzała długie milczące godziny, rozmyślając o wszystkim, co ją otaczało, o ojcu, siostrze, bracie, o świecie za kratą, o tym życiu w zamknięciu i pod kluczem, i w jej niewinnej i dziecięcej duszy wytwarzać się zaczęły jakieś pojęcia o rzeczach, których nie znała wcale i zrozumieć jeszcze nie mogła.

Jedynym jej nauczycielem na tej drodze była prosta, głęboka miłość. Kochała ojca, kochała rodzeństwo i pragnęła im służyć. Ale jak im służyć? Co dla nich zrobić może?

W trzynastym roku umiała już czytać i pisać, i ona prowadziła domowe rachunki. Do czytania nie miała odpowiednich książek, a pisanie ograniczało się do tego, że umiała nakreślić nazwę, ilość, cenę przedmiotów pierwszej potrzeby. Od czasu do czasu z dużymi przerwami uczęszczała do szkółki elementarnej, do której zaprowadził ją chrzestny ojciec. Naturalnie nie było nawet mowy o jakiejś systematycznej nauce, ale zawsze zdobyła trochę wiadomości, kilka drobniejszych ziarenek, które potem z wolna kiełkowały w jej myśli i często wydawały owoc.

Pierwszym owocem było gorące pragnienie, aby Fanny i Edward, zwany w domu Tipem, mogli także chodzić do szkoły. Spełnienie tego marzenia to był jej pierwszy triumf, a przy tym nieświadome, ale rzeczywiste objęcie stanowiska głowy i opiekunki rodziny.

Fanny i Edward nie mieli bynajmniej wielkiego zamiłowania do nauki, lecz szkoła stanowiła w ich jednostajnym życiu pewne urozmaicenie, zadowalała próżność. Nauki naturalnie było mało, dużo zbijania bąków i opuszczania, ale ponieważ trwało to lat kilka, musiało pozostawić pewne ślady.

Przezorna Amy widziała tymczasem, że Fanny jest już duża, i zastanawiała się, co będzie potem, gdy do szkoły chodzić przestanie? Czyż można, nic nie robiąc, kręcić się tylko ciągle po dziedzińcu?

W zmiennej fali, przepływającej przez Marshalsea, różnych widziała ludzi, większość tam poza kratą miała zwykle jakieś zajęcie, które dawało dochód. A pieniądze tak potrzebny. Tyle rzeczy kupić by można. Tyle rzeczy potrzebowali ojciec, brat i siostra.

Tylko jakim sposobem i jakie wynaleźć dla rodzeństwa zajęcie?

Pewnego dnia pomiędzy innymi więźniami znalazł się także nauczyciel tańca. Amy natychmiast błysnął wielki pomysł.

Fanny miała wrodzone zdolności do tańca i ogromne zamiłowanie. Nie mając żadnych wskazówek i wzorów, wiecznie wirowała po więziennym bruku, wzbudzając podziw i zachwyt. Dlaczegoż by więc taniec nie miał stać się dla niej korzystnym zajęciem?

Nazajutrz trzynastoletnia dziewczynka z małym woreczkiem w rękę zapukała do celi baletnika.

– Przepraszam pana, ja się tutaj urodziłam.

– Aha! Więc to ty jesteś! – zawołał wesoło, obejmując spojrzeniem drobną postać.

– Tak, proszę pana, i chciałam pana prosić – mówiła coraz ciszej i bardzo nieśmiało – czyby pan nie chciał przez ten czas, co pan tu będzie, uczyć tańca moją siostrę... po niedrogiej cenie...

– Moje dziecko, najchętniej – zawołał nauczyciel – ale bez żadnej ceny.

I zamknął jej mały woreczek.

Tegoż dnia jeszcze rozpoczęła się nauka, a Fanny okazała niepospolite zdolności. Nauczyciel i uczennica byli sobą nawzajem zachwyceni, nie żałowali czasu ani pracy, a postępy budziły podziw widzów i rozweselały całe zgromadzenie.

Nauczyciel tańca krótko zabawił w Marshalsea, ale przyrzekł odwiedzać swoją uczennicę i nie zapomnieć o niej. Słowa dotrzymał i obiecywał teraz – rozumie się bez wiedzy pana Dorrit – że zrobi z Fanny wyborną tancerkę i otworzy jej wstęp do teatru.

Amy była zadowolona, a ponieważ nie mogła jeszcze wymyślić nic dla Tipa, zaczęła myśleć poważnie o sobie. Doświadczenie nauczyło ją, że w domu bardzo jest potrzebne szycie, i zapragnęła się wydoskonalić w tej umiejętności.

Ale znów trzeba było czekać szczęśliwej okazji.

Wreszcie i modystka zjawiała się w Marshalsea.

Nazajutrz Amy zapukała do jej pokoju.

– Przepraszam panią bardzo, ja się tutaj urodziłam.

– Ach, to ty dziecko! Bardzo cię żałuję. I przykro mi, że nie mam nic dla ciebie.

Modystka zapłakała.

– Nie po to przyszedłam tutaj, proszę pani, tylko... czyby pani nie chciała nauczyć mnie krawiectwa?... za niedrogą cenę.

– Moje dziecko – rzekła modystka – widzisz, do czego doszłam na tej drodze.

– Bardzo pani żałuję, ale chciałabym nauczyć się szycia. Ja tak mało wymagam i to byłoby dla mnie wielkim skarbem.

– Jesteś mała i wątpła, moje dziecko – zaczęła dość niechętnie smutna mistrzyni igły.

– Tak, jestem bardzo mała – szepnęła Amy, tłumiąc łzy w obawie, że jej prośba zostanie odrzucona – jestem mała, ale jednak dosyć silna, pracowałam szczerze, bo... tak pragnę...

Nie mogła mówić więcej i załkała cicho.

To wzruszyło biedną kobietę, przygnębioną własnymi kłopotami, przytuliła dziecko do piersi i zajęła się nią serdecznie.

Tym sposobem obydwie siostry miały w ręku kawałek chleba, ale żeby z niego korzystać, trzeba znów było użyć dyplomacji.

Pan Dorrit czuł się zawsze zrujnowanym panem i choć łaskawie przyjmował daniny, należne mu w tym miejscu od poddanych, rozpląkał się na pierwszą wzmiankę, że córki jego mają pracować dla chleba. Nie, na to nie pozwoli, póki żyje!

Więc jakże zrobić? Trzeba go przecież oszczędzać. Dosyć smutne ma życie w tym zamknięciu.

Amy myślała i o tym.

Pan Dorrit miał rodzonego brata, który pozostał na wolności, ale często odwiedzał go w Marshalsea. Majątek obu braci zginął jednocześnie w zawitych interesach ojca Amy, który jednak sam tylko był odpowiedzialny za pozostałe długi, jako wspólnik firmy. Stryj Frederick, skromny i cichy, na wieść o ubóstwie pochylił się ku ziemi, jakby pod wielkim ciężarem, i nie głosząc skarg żadnych, stał się człowiekiem złamanym. Niegdyś z amatorstwa uprawiał muzykę, teraz dostał miejsce w orkiestrze jakiegoś drugorzędowego teatru i skromny dochód wystarczał mu na

utrzymanie. Zajmował na poddaszu ubogą izdebkę, chodził zaniedbany w starej zniszczonej odzieży, miał wstręt do zimnej wody i mycia, mało się troszczył o to, czym głód zaspokajał.

Z ojcem Marshalsea stanowił przeciwieństwo tak pod względem powierzchowności, jak usposobienia, pomimo to bracia kochali się bardzo.

Tego to właśnie stryja Fredericka wybrała teraz Amy na opiekuna swej starszej siostry. Jako tancerka Fanny nie mogła mieszkać w więzieniu, które o godzinie ósmej zamykano, trzeba było zyskać pozwolenie ojca, aby zamieszkała ze stryjem.

Oświadczyła więc ojcu, że stryj potrzebuje opieki, że Fanny będzie mu bardzo użyteczna, a dla niej także lepiej, że czasem wieczorem będzie mogła zabawić się w teatrze.

Sama rzadko wychodziła na miasto dla zarobku, nie miała stosunków i była nieśmiała, niekiedy dostawała trochę roboty do domu od swojej nauczycielki lub ukradkiem pomagała jej w pracowni. Lecz teraz główną troską stał się dla niej los brata.

Tip nie miał chęci do niczego, przede wszystkim nie chciał pracować. Pocziwy Bob, mając o nim wyrobione zdanie, z którego się nie zwierzał swojej chrestnej córce, namawiał go do wojska lub do służby na okręcie, ale chłopiec odrzucił obie propozycje. Z wielkim trudem udało się na koniec Amy namówić go do przyjęcia miejsca woźnego w sądzie, które mu przy pomocy dobrych ludzi wyrobiła. Ale w kilka dni wrócił, oświadczając, że jest zmęczony.

Umieściła go potem w składzie chmielu, w browarze, w owocarni, w fabryce kapeluszy, w dokach, lecz każda próba trwała bardzo krótko.

Wreszcie po niezliczonych najrozmaitszych próbach zjawił się dnia któregoś z oznajmieniem, że znalazł sobie miejsce i nie będzie już dla niej kłopotem. Była to jakaś spółka podejrzanych handlarzy końmi. Tip brał w niej udział przez kilka miesięcy, opowiadano o nim, że ma dużo pieniędzy, w Marshalsea nie pokazywał się zupełnie.

Ale pewnego razu zjawił się niespodziewanie – jako więzień. Za marne czterdzieści gwinei¹.

Na tę wieść biedna Amy wybuchnęła płaczem. Nade wszystko lękała się o pana Dorrit – i błagała brata, aby fakt ten ukrył przed ojcem.

Tip nie mógł jej zrozumieć. Wielkie rzeczy! Zgodził się wreszcie zachować przed ojcem w tajemnicy powód swojego powrotu. Jemu to w gruncie rzeczy wszystko jedno.

W takich warunkach i okolicznościach upłynęło dzieciństwo i młodość małej Dorrit. W chwili powrotu Arthura Clennama do Londynu miała rok dwudziesty trzeci. Pracowała na mieście i zarabiała igłą na potrzeby ojca i brata. Kryjąc się ze swą pracą i nieśmiało, lękliwie przemykając się wieczorem i rano przez furtkę więzienia. Swoim pracodawcom nie mówiła nigdy, skąd przychodzi, gdzie mieszka, i ta tajemnica jeszcze bardziej czyniła ją nieśmiałą.

Stosunek z ojcem zawsze pozostał serdeczny, otaczała go troskliwą opieką, czuwała jak nad dzieckiem. Musiała go opuszczać często na dzień cały, bo skądże by czerpała na jego potrzeby? Wiedziała, że zostaje wśród życzliwych. Nigdy jednak nie mówiła, dokąd idzie, i on jej nie pytał. Nie chciał wiedzieć o niczym. Tak było daleko wygodniej.

Spotkanie z Arthurem w domu pani Clennam zbudziło w dziewczynie pewien niepokój: zauważyła jego ciekawe spojrzenia, zauważyła, że podczas bytności u matki bacznie śledzi ją wzrokiem, a ponieważ w ciągu pierwszych paru tygodni bywał prawie codziennie w sprawach swego wycofania się ze spółki, mała Dorrit uznała za najbezpieczniejsze poprosić panią Clennam o kilkudniowy urlop.

Wtedy Arthur zdecydował się wykryć miejsce jej schronienia i poznać bliżej przeszłość tajemniczego dziewczęcia.

¹ Gwinea – dawna moneta angielska.

ROZDZIAŁ V

ZAMKNIĘTA FURTKA

Przed ósmą Arthur zaczął się przechadzać po przeciwnej stronie ulicy, rzucając badawcze spojrzenia na słabo oświetlone okna pokoju matki.

Wkrótce furтка skrzypnęła i drobna postać Dorrit szybko przemknęła w mroku. Arthur podążył za nią.

Szła prędko, widać dobrze znaną drogą, skręcając to na prawo, to na lewo, nagle – zniknęła za żelazną kratą posępnego budynku, otoczonego murem.

Arthur postąpił w jego kierunku. Wczesny wieczór październikowy nie pozwalał mu objąć wzrokiem zabudowania, które nie wyglądało na zwykły dom. Obejrzał się dokoła, ulica była dość pusta, nie miał kogo zapytać.

Wtem do furtki zbliżył się zgarbiony stary człowiek w lichym płaszczu i pomiętym kapeluszu. Pod pachą niósł jakiś instrument muzyczny, owinięty w ciemny pokrowiec.

Arthur podszedł i lekko dotknął jego ramienia.

– Przepraszam pana – rzekł bardzo uprzejmie – chciałbym zapytać, co to za budynek?

Mężczyzna patrzył na niego wyblakłymi oczami, z trudem zbierając myśli.

– Aha, budynek... To?... To Marshalsea – odezwał się wreszcie.

– Marshalsea? Więzienie za długi?

– Tak, panie.

– Przepraszam pana, że jeszcze zapytam, czy każdy tu może wejść?

– Wejść?... tak – odpowiedział mężczyzna.

– W takim razie, przepraszam bardzo, że pana zatrzymuję, ale to nie ciekawość z mojej strony. Pan, zdaje się, zna to miejsce, czy nie słyszał pan kiedyś nazwiska Dorrit?

– Mojego nazwiska? – spytał nieznajomy ze szczerym zadziwieniem.

Arthur zdjął kapelusz i złożył mu ukłon.

– Jestem Clennam – rzekł żywo. – Przed paru tygodniami wróciłem do Anglii po długiej i dalekiej podróży. W domu matki spotkałem młodą dziewczynę, która zarabia u niej szyciem. Nazywają ją Dorrit. Obchodzi mnie to dziecko w sposób

bardzo poważny, muszę zasięgnąć o niej pewnych wiadomości i właśnie dziś przed chwilą widziałem, jak weszła w tę furtkę.

– Hm... hm... – powtarzał starszy pan. – Mała Dorrit. Wiem, że pan mówi prawdę. Amy mówiła mi o pani Clennam. Skoro się pan poważnie nią interesuje, to... to proszę.

Postąpił ku furtce i znów się zatrzymał.

– Widzi pan – zaczął znowu – to jest córka mojego brata, Williama. Jestem Frederick Dorrit. Brat zamknięty tutaj od lat bardzo wielu, bardzo wielu. Za długi. Jakie długi? Mniejsza o to. O wielu rzeczach nie wie. Nie można mówić przy nim o tym, co się dzieje za kratą. Nie wie, że jego córka zarabia szcieniem. Nie wie. Więc bądź pan ostrożny i mów tylko o tym, o czym inni rozmawiać będą.

Na końcu długiej sieni odźwierny otworzył furtkę i puścił obu, nie pytając, dokąd idą. Znaleźli się na ciemnym i ciasnym podwórzu, w oknach dokoła jaśniały światełka. Frederick skierował się do dobrze znanych drzwi i wstępując na schody, odwrócił się do towarzysza.

– Schody strome i ciemno, ale droga prosta – rzekł uspokajająco.

Zatrzymał się na górze jeszcze chwilę, czekając na Arthura, na koniec, kiedy ten znalazł się tuż za nim, pchnął przed sobą niewielkie drzwiczki.

I oto Arthur zrozumiał natychmiast, dlaczego mała Dorrit nie chciała jeść razem obiadu.

Kłęcząca w tej chwili przed niskim kominkiem i na małej patelni podgrzewała kotlet, który przyniosła z sobą. Tymczasem przy stoliku siedział w szlafroku jej ojciec, oczekując z apetytem na wieczerzę. Stół był nakryty czyściutką serwetą, przy talerzu na podstawce leżał nóż i widelec, a dalej stała szklanka i butelka piwa, solniczka i pieprzniczka, chleb pokrajany starannie – zastawa sprawiała przyjemne wrażenie.

Mała Dorrit na widok gościa szeroko otworzyła oczy, twarz jej oblała się nagle rumieńcem, a potem zbladła bardzo. Arthur starał się uspokoić ją gestem i spojrzeniem.

– Williamie – zaczął Frederick, zbliżając się do stołu – pan Clennam, przyjaciel Amy, pragnął cię odwiedzić i poznać.

– Miło mi złożyć uszanowanie ojcu panny Dorrit, którą miałem przyjemność poznać – odezwał się Arthur.

– Bardzo mi przyjemnie, witam pana, panie Clennam – mówił gospodarz tego miejsca tonem ojcowskim. – Fredericku, krzesło. Proszę, niech pan spocznie.

Arthur dziękował, nie bardzo wiedząc, o czym mówić.

– Witam pana uprzejmie – powtórzył pan Dorrit z uroczystą powagą szanowanego ojca rodziny. – Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju odwiedzin, bo... może Amy mówiła panu, że jestem ojcem Marshalsea?

– Słyszałem o tym – odparł Arthur w przekonaniu, że sprawia mówiącemu przyjemność.

– Wiesz pan także zapewne, że Amy się tu urodziła? Dobre dziecko, bardzo dobra córka, cała moja pociecha. Amy, kochanie, podaj talerz i dla pana. Pan wybaczy, że posiłek nasz jest skromny, panie Clennam.

– Dziękuję bardzo, jestem po kolacji.

Amy podała kotlet, przysunęła ojcu talerz z chlebem, nalała mu piwa i usiadła spokojnie obok niego, niby jedząc kawałek chleba, choć Arthur widział, że była zanadto wzruszona, aby przełknąć cokolwiek. Nie rozumiał on dobrze tej rodzinnej sceny, lecz widział jej kochające spojrzenie, które z wyrazem najwyższej miłości i serdecznego żalu ogarniało poważną postać ojca.

– Co robi dzisiaj Fanny? – zapytał pan Dorrit, zwracając się do brata.

– Wybiera się na miasto z Tipem. Zaraz pójdziemy razem.

– Tip i Fanny to także moje dzieci – zwrócił się do Arthura. – Pan tutaj po raz pierwszy?

– Tak, po raz pierwszy.

– Rozumie się, byłbym pana widział. Nie bywa nikt w Marshalsea, żeby mi się nie przedstawił. I tak powinno być. Odwiedza mnie czasem po pięćdziesiąt osób, w niedzielę zwłaszcza. Prawdziwa audyencja.

– Pan ma dużo przyjaciół.

– Jestem ojcem Marshalsea, panie. Każdy uważa sobie za honor i obowiązek złożyć mi uszanowanie i... i... Amy, jak się nazywał ten dżentelmen, który... który w sam dzień Bożego Narodzenia...

– Nie pamiętam, ojciec – odparła z niespokojnym błyskiem w oczach.

– Nie pamiętasz? Ta pelargonie, taka piękna? To był prawdziwie szlachetny postępek, piękny czyn, panie Clennam. Muszę panu to opowiedzieć.

– Po co, ojciec? – szepnęła nagle Amy, kładąc mu delikatnie rękę na ramieniu i oblewając się znowu rumieńcem.

Arthur widział, że ręka jej leciuchno drżała, a spuszczone powieki zasłaniały oczy, ukrywając wstyd i smutek.

– Czyn tak piękny powinienem opowiedzieć... hm... właściwie nie ma powodu go taić. Rzecz wiadoma, że odwiedzający Marshalsea życzą sobie zazwyczaj złożyć mi uszanowanie i, hm... pozostawić... hm... upominek, w dowód życzliwości. Rozmaicie się zdarza – mówił dalej, jedząc i popijając piwem. – Przynoszą cygara, jakiś owoc, czasem... hm, trochę pieniędzy. Sądzę zresztą, że to forma najwłaściwsza. Lecz ów dżentelmen przyniósł mi doniczkę kwitnącej pelargonii, bardzo pięknej barwy. Na złożonym papierze, którym była owinięta, znajdował się napis: „Dla Ojca Marshalsea”, a w papierze znalazłem, hm, dwie gwinee.

Arthur szukał w myśli, co by odpowiedzieć, kiedy rozległ się dzwonek, a jednocześnie w sieni dały się słyszeć kroki, drzwi się otworzyły i na progu stanęła piękna, wysoka dziewczyna w towarzystwie młodego człowieka.

– Fanny, pan Clennam, mój syn. Dzwonek ten zapowiada, że zamykają bramę, więc dzieci przyszły się ze mną pożegnać, ponieważ wychodzą na miasto. Załatwajcie, dzieci, swoje interesy. Pan Clennam wybaczy. Mamy tylko jeden pokój.

– Moja biała suknia, Amy.

– Moje ubranie. Czy zreperowane?

Mała Amy otworzyła coś w rodzaju komody, co było zarazem łóżkiem, i podała rodzeństwu dwa przygotowane pakiety. Stryj Frederick podniósł się także i umieścił pod pachą swój instrument.

– Pójdźmy, zamykają – rzekł do pana Clennama.

Lecz Arthur pragnął jeszcze załatwić dwie rzeczy. Po pierwsze, zostawić panu Dorrit upominek w taki sposób, żeby córka nie widziała, a po wtóre – pomówić z Amy.

– Odprowadzę pana – rzekł, podnosząc się, ojciec Marshalsea.

– Za nic w świecie – zawołał Clennam i spostrzegłszy, że Amy pobiegła za rodzeństwem, wsunął w rękę jej ojca parę monet.

– Bardzo... bardzo... – zaczął pan Dorrit, ale Arthur żegnał go śpiesznie i wybiegł za innymi.

W sieni nie spotkał Amy, nie zauważył jej i na dziedzińcu i już przypuszczał, że się gdzieś ukryła, kiedy spostrzegł, że powracała do domu.

Podszedł do niej czym prędzej.

– Muszę panią bardzo przeprosić – rzekł serdecznie – że przyszedłem za nią aż tutaj. Pragnę być użyteczny pani i jej rodzinie. Bardzo proszę widzieć we mnie człowieka życzliwego. Pani widziała mój stosunek z matką, więc nie dziwi się chyba,

że tam nie zbliżałem się do niej. To, co widziałem dzisiaj, utrwaliło moje uczucia. Tym goręcej pragnę w tej chwili pozyskać pani zaufanie i stać się w jakiś sposób użyteczny.

W pierwszej chwili wyczytał przestrach na jej twarzy, lecz słuchając, co mówił, uspokajała się.

– Pan jest bardzo dobry – rzekła wreszcie. – Pan mówi szczerze, ale... bardzo mi jest przykro, że pan tu przyszedł za mną.

Zrozumiał, że chodziło jej o ojca.

– A przy tym – rzekła po chwili – tak wiele winna jestem pani Clennam... gdyby nie praca u niej, doprawdy, nie wiem czasem, co by było. Więc nie chciałabym za to być niewdzięczna, mieć przed nią tajemnic.

– Pozwól mi, nim odejdę, zadać sobie jedno pytanie. Czy dawno znasz moją matkę?

– Blisko dwa lata. Już przestali dzwonić, zamkną furtkę.

– Czy przysłała tutaj po ciebie? Jakim sposobem cię znalazła?

– Pani Clennam nie wie, gdzie mieszkam. Nigdy nie mówiłam jej tego. Bardzo potrzebowałam roboty, więc napisałam ogłoszenie i prosiłam jednego znajomego, bardzo dobrego przyjaciela ojca, żeby je bezpłatnie umieścił, gdzie można. Podałam jego adres. Pańska matka zgłosiła się do niego, on mnie zawiadomił i natychmiast poszłam. Niech się pan śpieszy, zamykają furtkę.

Szybko, życzliwie skinęła mu głową i pobiegła do ojca. Arthur jeszcze się wahał, jakby chciał dokończyć zaczęłą rozmowę, wreszcie z wymownym gestem skierował się ku wyjściu.

Ale furtka była zamknięta. Nie pomogły kilkakrotne uderzenia i wreszcie zaczął się obawiać, że spędzi noc pod gołym niebem, gdy usłyszał tuż za sobą głos:

– W pułapce, hm? To pan, panie Clennam?

– Ach, a to pan? Więc i pan został? – rzekł Arthur, poznając Tipa.

– Ja? To co innego. Jestem tutaj u siebie. Tylko Amy, nie wiem dlaczego, nie chce, żeby ojciec wiedział.

– W takim razie, jako gospodarz, może mi pan coś poradzi. Jest tu gdzie przenocować?

– Najlepiej zawołam Amy – rzekł Tip, przyzwyczajony do opieki siostry.

– Za nic w świecie! – zawołał Clennam. – Ostatecznie głupstwo. Noc prędko upłynie.

– Zwłaszcza że deszczyk kropi – żartował Tip złośliwie. – Patrz pan – mówił, wskazując okno – poszła teraz czytać ojcu. A za godzinę pobiegnie znowu do siebie. Mieszka w tym domku obok odźwiernego, na pierwszym piętrze, zaczawszy od nieba. Ale chodź pan, bo mokro! Ulokuję pana w kawiarni.

W jednym z domków więźniowie drogą składki opłacali mały i ciemny pokój, który stanowił dla nich klub, resursę, a nosił skromne miano: kawiarni Marshalsea.

Z kilku krzesel naprędce Tip i Clennam zrobili łóżko, niezbyt wygodne, ale lepsze od żadnego, i Arthur, podziękowawszy za pomoc, został wreszcie sam ze swymi myślami.

Leżał, lecz zasnąć nie mógł. W głowie krążyły mu tysiące wrażeń, wśród ciemności najfantastyczniejsze przypuszczenia wydawały się prawdopodobne.

Co zetknęło panią Clennam z maleńką Dorrit? Czy w istocie było to tylko ogłoszenie? Czy nie miała tego nazwiska wypisanego w duszy płonącymi wiecznie głoskami? A jeżeli tak było? Jeśli ten stary człowiek w jakikolwiek sposób jest ofiarą jego rodziców?

Biedny ojciec Marshalsea. Biedna maleńka! Jak wyświecić prawdę?

Na takich rozmyślaniach doczekał świtu. Zaledwie mógł rozróżnić otaczające go w zmroku przedmioty, gdy podniósł się i wyszedł na podwórze.

Słońce zapewne już wstało nad ziemią, ale tutaj panowała jeszcze prawie ciemność. Na szarym bruku rozróżniał rzucone papiery, odpadki, ogryzki, obok niewielkich kałuż po nocnym deszczu. Ciemne, zamknięte okna świadczyły wyraźnie, że mieszkańcy tego przybytku niedoli nie śpieszą rano witać dnia. Nie spotkał też nikogo, aż do chwili, kiedy na koniec klucz zaskrzypiał w zamku i furka znowu stanęła otworem.

Wyszedł na ulicę i zauważył zaraz snujący się tłum drobnych przekupniów, którzy zaspokajali potrzeby pozbawionych wolności biedaków.

Wtedy przyszło mu na myśl, że za parę godzin Amy będzie szła tędy do pracy i byłoby wygodnie dokończyć z nią rozmowę. Zwrócił się więc uprzejmie do jednego z ubogich przechodniów i zapytał, czy w pobliżu można zjeść śniadanie.

– Tutaj zaraz na rogu jest traktiernia – odparł mężczyzna – ja także idę w tę stronę.

Szli zatem obok siebie i Arthur zapytał, czy niezajomy częstym jest gościem w Marshalsea i czy zna pannę Dorrit.

– Są dwie panny Dorrit – odpowiedział tamten natychmiast. – Jedna taka maleńka, urodziła się w więzieniu. Ach, o tę panu chodzi. Bo tamta druga mieszka

u stryja na tej samej ulicy, kilka kroków stąd.

To objaśnienie zmieniło zamiary Arthura. Zamiast zaczepiać Amy na ulicy, wołał ją spotkać u stryja. Wstąpił więc do traktierni, napisał karteczkę i przez tegoż człowieka posłał ją maleńkiej, a sam według najdokładniejszych wskazówek skierował się do pana Fredericka.

Szczegółowe wskazówki były niezmiernej wagi, gdyż w ogromnej ruderze mieszkało tylu lokatorów, że mógł łatwo nie znaleźć, kogo szukał.

Trafił jednak po stromych, bardzo brudnych schodach, prowadzących prawie do nieba, i zapukał ostrożnie.

Stryj Frederick otworzył mu osobiście.

– Aha – zaczął powoli, jakby się budził ze snu – to pan wczoraj... zamknęli pana?

– Ośmieliłem się prosić pannę Amy, aby zechciała dzisiaj spotkać się ze mną u pana. Czy pozwoli pan?

– No tak... – zaczął znów pan Dorrit, jakby zbierał myśli – mój brat pana krępuje? Tak, tak, naturalnie.

Arthur usiadł ostrożnie na jedynym krześle, które na pierwszy rzut oka nie zdradzało poważniejszego kalectwa, i rozejrzał się po ciasnej izdebce. Była ciemna i brudna. Pomimo wysokiego piętra okno wychodziło na jakiś szary mur. Na sprzętach wszędzie wokół wałało się pełno rozrzuconych rzeczy, łóżko jeszcze nie zostało zasłane, a na stole stały dwie szklanki kawy i kilka bułek na jakimś papierze.

Stryj Frederick z wahaniem patrzył na swoje zaczęte śniadanie, mruknął coś niewyraźnie, że Fanny uciekła, i widocznie chciał ją sprowadzić, gdyż ostrożnie zbliżył się do drzwi przymkniętych od sąsiedniej izby, ale skoro tylko spróbował je otworzyć, zatrzasnęły się nagle i Arthur spostrzegł mimochodem parę nóżek kobiecych, brzeg krótkiej spódnicy i usłyszał niezbyt uprzejme:

– Stary głupcze!

Przestraszony Frederick Dorrit cofnął się śpiesznie do stołu, usiadł z miną niepewną, zacierając ręce.

– Co pan myśli o moim bracie? – spytał wreszcie, jak gdyby przypomniał sobie o gościu.

– Sądzę – odparł Arthur, dość zakłopotany – że cieszy się dobrym zdrowiem i nie został przygnębiony tym... nieszczęściem.

Odpowiedź ta była właściwie porównaniem obu braci i podkreśleniem różnicy, która tak uderzyła Arthura.

– A tak – powtórzył stary człowiek – nie został przygnębiony.

Znowu zapanowała długa chwila milczenia, podczas której pan Frederick zdawał się być myślą bardzo daleko.

– A Amy? – spytał nagle. – Co pan myśli o niej?

– Wzrusza mnie wszystko, co widziałem wczoraj i co wiem o niej – żywo odpowiedział Clennam.

– Tak, tak – powtórzył starzec. – Nie wiem, co by brat zrobił bez niej. Nie wiem, co zrobiliby wszyscy. Dobra dziewczyna. Uczciwie spełnia obowiązek.

Czy tylko obowiązek? – zastanowił się Arthur w milczeniu. – Czy ta drobna, najmłodsza z nich wszystkich istota, rzeczywiście ma obowiązek dźwigać ciężar całej rodziny, która przywykła do jej czujności i pracy? Czy to wymowne, choć ciche świadectwo jej miłości i poświęcenia nie maluje zarazem barwami kontrastu całej otaczającej ją rodziny?

Stryj Frederick bezmyślnie zajął się swoim śniadaniem, kiedy wreszcie na schodach dały się słyszeć kroki i Amy weszła do pokoju.

Najwidoczniej biegła prędko i była wzruszona, gdyż na bladej twarzyczce zakwitły rumieńce, a usta wpółotwarte chwytały przyśpieszony oddech. W prostej ciemnej sukience, której całą ozdobę stanowiła czystość, wyglądała skromnie i wdzięcznie, niby polny kwiatek, lekkomyślną ręką rzucony na bruk uliczny.

– Pan Clennam chciał cię widzieć – zaczął stryj Frederick.

– Bardzo panią przepraszam – tłumaczył się Arthur – pragnąłem skończyć wczorajszą rozmowę. Czy pani idzie dziś do mojej matki?

– Nie, panie, dziś nie idę.

– W takim razie pozwoli pani, że ją odprowadzę tam, gdzie pani idzie. Możemy rozmawiać po drodze, nie wyzyskując dłużej gościnności stryja.

– Jak pan sobie życzy – odparła nieśmiało, widocznie zakłopotana.

Gdy znaleźli się na ulicy, Arthur zapytał znowu:

– Jeżeli to dla pani wszystko jedno, chodźmy przez most wiszący. Unikniemy tym sposobem turkotu i gwaru.

– Jak pan sobie życzy – powtórzyła znowu, biernie stosując się do jego woli.

Po nocnym deszczu ulicę zalegało błoto, a silny wiatr przeszkadzał swobodnie iść. Arthur uprzejmie prosił, aby Amy przyjęła jego ramię.

– Będzie nam łatwiej rozmawiać – zapewniał.

– Przykro mi, że pan musiał nocować w Marshalsea – odezwała się wreszcie cicho.

– To doprawdy drobiazg. Było mi bardzo wygodnie.

– O tak! – odpowiedziała z przekonaniem – w kawiarni można dostać doskonałe łóżko.

Arthur nie odpowiedział, zdając sobie sprawę, że kawiarnia w oczach Amy była wspaniałym i wygodnym przybytkiem.

– Wiem, że wszystko jest bardzo drogie – odezwała się po chwili – ale ojciec mówi, że w kawiarni można mieć wyborny obiad i nawet dobre wino.

– Pani jada tam czasem?

– Ja? – spytała zdziwiona. – O, nie, nigdy tam nie chodzę.

– Jeszcze raz przepraszam panią – zaczął znowu Arthur – za wczorajszą wizytę bez jej pozwolenia. Pragnę wiedzieć dokładnie, jak się pani poznała z moją matką. Czy pani przedtem nigdy nie słyszała jej nazwiska?

– Nigdy, panie.

– Ojciec nie znał go także? Jest pani pewna?

– Jestem pewna – odpowiedziała ze zdziwieniem. – Ojciec mówi ze mną o wszystkim, lecz nie wspominał go nigdy.

Widział jej zadziwienie i niepokój, jaki budził mimo woli swymi pytaniami, i zdjęło go jakieś ojcowskie uczucie dla tej małej dziewczynki, która szła obok niego, niby dziecko, i zarazem pomyślał, że sądząc po jej zachowaniu się, on musi wydawać się jej jak gdyby ojcem.

Wiatr szarpał wściekle, więc zaproponował, żeby wsiedli w dorożkę, ale odmówiła mu prawie z przestachem. Nic nie robiła sobie z niepogody, przywykła chodzić po deszczu i słońcu.

Wiedział, że mówi prawdę, lecz to wzbudziło tym żywsze współczucie. Czuł ból w sercu, kiedy pomyślał, jak to maleństwo biegnie w nocy, wśród ciemności, przez deszcz i wicher, do ogniska domowego, które oglądał wczoraj.

– Wiem – zaczęła teraz Amy głosem drżącym – że pan wczoraj był dla ojca... bardzo dobry... ale... ale... – mówiła dalej, opanowawszy wzruszenie – przyszłam dzisiaj głównie dlatego, że... że nie chciałabym, ażeby pan mylnie sądził o moim ojcu. Nie można go tak oceniać jak człowieka wolnego. Od tylu lat zamknięty jest w więzieniu. Jestem pewna, że bardzo zmienił się od tego czasu.

– Bynajmniej nie sądzę ojca surowo... – chciał się tłumaczyć Arthur, ale przerwała mu żywo.

– On nie ma się czego wstydzić – rzekła z przekonaniem. – Mogę być dumna

z niego! Trzeba go tylko poznać. Żądam sprawiedliwości, nic więcej. Wszystko, co mówił wczoraj, jest zupełną prawdą: szanują go w Marshalsea. Każdy uważa za swój obowiązek przedstawić się mu, uznają jego zwierzchność wszyscy, bez wyjątku. Każdy powie, że jest prawdziwym dżentelmenem. Sama widzę, że nikt się z nim równać nie może. I dlatego ofiarowują mu podarki. Ubóstwo nie jest wstydem. Któż może się wzbogacić, siedząc ćwierć wieku w więzieniu?

– Ukrywam swój adres – zaczęła znów po chwili – nie dlatego, żebym się wstydziła Marshalsea. Nie mam się czego wstydzić. Tam są dobrzy ludzie, a nawet uczeni. A wszyscy wspomagają się nawzajem. Byłabym niewdzięczna, gdybym nie pamiętała, ile tam doznałam dobroci od ludzi, ile miłych spędziłam godzin jako dziecko. Tam nauczyłam się pracować, tam spokojnie śpię każdej nocy. Byłabym zła, bez serca, gdybym się nie przywiązała do tego smutnego miejsca.

Odetchnęła głęboko, wypowiedziawszy to wszystko z coraz większym zapałem i uczuciem – widocznie to zwierzenie sprawiło jej ulgę.

– Przepraszam pana, że tak dużo dziś mówiłam – zaczęła znów po chwili. – Nie miałam zamiaru nudzić pana tym wszystkim, tylko chodzi mi o to, żeby pan źle nie sądził tego, co widział wczoraj.

Zapewnił ją, że o nikim źle nie myśli, a tym bardziej o panu Dorrit, i zwracając rozmowę do przeszłości, starał się ją wybadać, co wie o wierzycielach swego ojca i przyczynach długoletniego więzienia.

Ale Dorrit wiedziała bardzo mało i zapewniała Arthura, że pan Dorrit również nic nie wie. Należał do jakiegoś domu handlowego, tam pieniądze zginęły, i on za to odpowiada, ale nie wie dlaczego. I już nikt się nie dowie, bo z samego początku starali się to zbadać bardzo uczeni prawnicy, ale wszystko na próżno.

– Jednakże – zaczął Arthur – mam ochotę spróbować jeszcze raz. Może się coś zmieniło w ciągu tylu lat. Nikt dzisiaj o to nie dba, a czyż nie byłoby dla ojca wielkim szczęściem odzyskać wolność?

Szła zawieszona u jego ręki i pogrążona w myślach. Wiatr szarpał bezlitośnie jej lekką sukienkę i Arthur zatrzymywał się niejednokrotnie, ażeby ją osłonić od najgwałtowniejszych porywów.

– Nie wiem – odezwała się na koniec cicho – czy to byłoby szczęściem. Nie mogę sobie teraz wyobrazić ojca poza murami Marshalsea. Jakim byłoby jego życie między ludźmi? Co by robił na świecie i czy byłby tak szanowany jak w więzieniu? Może inni ludzie byliby gorsi dla niego.

I łzy cicho popłynęły jej po twarzy.

– A czy chciałaby pani, żeby brat był wolny? – spytał Arthur po długiej chwili.

– Och – zawołała – byłabym szczęśliwa.

– Więc może się da zrobić coś dla niego. Kim jest ten przyjaciel, o którym wspominała pani wczoraj?

– Ach, to ubogi człowiek – rzekła Amy – mularz. Wyrabia też na sprzedaż różne przedmioty z gipsu. Ale cóż on pomoże? Nazywa się Plornish.

– Proszę mi podać jego adres.

– Mieszka w Rozdartym Sercu. To taka uboga dzielnica. Kilka domów. W ostatnim znajdzie pan jego znak. Ale cóż on pomoże?

– Zobaczmy. Pani wraca do Marshalsea. Nie wychodzi pani dzisiaj do pracy? W takim razie zawrócimy, odprowadzę panią. Tylko raz jeszcze proszę, proszę szczerze, by była pani przekonana o mej życzliwości i uważała mnie za przyjaciela. Czy dobrze?

– Wierzę panu – odparła. – Pan jest bardzo dobry.

Patrzył na nią z uśmiechem. Wyciągnął rękę i łagodnie uścisnął małą rączkę, którą położyła na jego dłoni z pełnym zaufaniem.

– Matusiu! Matusiu! – rozległ się nagle gruby głos o kilka kroków, a spojrzawszy w tę stronę, Arthur zobaczył jakąś kobietę biegnącą ku nim z krzykiem tak gwałtownie, że potknęła się i upadła w błoto, rozsypując z kosza kartofle.

– Ach, Maggie, Maggie! – zawołała Amy – jakaś ty niezgrabna.

Maggie podniosła się szybko ze śmiechem i przy pomocy Amy i Arthura zbierała rozsypane w błocie kartofle. Gdy skończyła tę pracę, miała twarz rozpromienioną, ale tak śmiesznie powalaną błotem, że oboje, spojrzawszy, wybuchnęli śmiechem.

Amy wyjęła chustkę i otarła oblicze tej dziwnej istoty. Arthur zaś pytał w duszy, co znaczy ta nowa zagadka.

– Matusia, matusia! – powtarzała Maggie, tęga, trzydziestoletnia dziewczyna o brzydkiej twarzy, rozjaśnionej tylko tym szczerym, miłym śmiechem.

– To Maggie – rzekła Amy, widząc znak zapytania w spojrzeniu towarzysza. – Wnuczka mojej mamki, która dawno temu umarła, a Maggie... Ile ty masz lat? – spytała, zwracając się do dziewczyny.

– Dziesięć, matusiu – odpowiedziała Maggie z miłym śmiechem.

Amy spojrzała wymownie.

– Ona jest bardzo dobra – zapewniła Arthura po chwili – bardzo uczciwa, bardzo przywiązana, umie kupić, jak każda inna, i pomaga w robocie, jak potrafi najlepiej.

Zarabia na życie. Zarabia na siebie uczciwie.

Maggie śmiała się ciągle, rozpromieniona pochwałą.

– Cóż to było za nieszczęście? Wypadek? – spytał Arthur półgłosem.

– Zapadła na jakąś gorączkę, kiedy miała dziesięć lat, i odtąd pozostała dziesięcioletnim dzieckiem.

– Byłam w szpitalu! – zawołała Maggie. – Jak tam pięknie! Ach, jakie łóżka! Jakie zupy! I wino! Pomarańcze! Ach, jak dobrze mieszkać w szpitalu!

– Potem nie wiedzieliśmy długo, co z nią zrobić – mówiła dalej Amy – ale powoli, powoli, Maggie, choć ma lat dziesięć, nauczyła się być posłuszna, robić wszystko, co jej kazano, i dzisiaj biedne dziecko sama daje sobie radę.

– Matusia! Matusia! – powtarzała, śmiejąc się, wielka dziewczyna i lekko, delikatnie głaskała rękę Amy.

Stanęli wreszcie przed furtką Marshalsea i Arthur pożegnał małą Dorrit silnym uściskiem ręki. Potem stał jeszcze chwilę i patrzył, jak szła obok wielkiej Maggie przez podwórze. Nigdy wcześniej nie wydała mu się tak maleńka.

ROZDZIAŁ VI

ROZDARTE SERCE

Rozdarte Serce, a może raczej Krwawiące Serce, leży przy starej drodze prowadzącej w stronę sławnego niegdyś przedmieścia Londynu, gdzie za czasów Williama Szekspira król miał domek myśliwski i urządzał często polowania. Dziś nie ma tam nie tylko domku ani lasu, myśliwych ani zwierzyny, ale żadnego śladu dawnych dziejów. Wśród ruin pozostało kilka wysokich kominów, kilka ciemnych i wielkich komnat w na pół rozwalonych domach, i nowe liche domki na gruzach starej świetności.

Łatwo zgadnąć, że tę miejscowość zamieszkują ludzie biedni, którzy jednak mają także wyobraźnię i usiłują w rozmaity sposób wytłumaczyć krwawą nazwę tego miejsca. Jest więc podanie o jakimś okropnym morderstwie, inne mówi o srogim ojcu, który zamordował córkę, ponieważ pokochała jego wroga. Nieszczęsne dziewczę śpiewało zza kraty do ostatniego tchnienia pieśń o rozdartym, krwawiącym sercu. Wprawdzie mądrzy historycy wymyślili, że to była po prostu nazwa herbu dawnego właściciela miejscowości, lecz naturalnie nikt by temu nie dał wiary.

Arthur Clennam odszukał Rozdarte Serce według wskazówek Amy i zatrzymał się przed ostatnim, może najlichszym domkiem, zaludnionym przez wielką liczbę lokatorów. Plornish jednak wynalazł sposób wskazania dokładnie swojego adresu. Tuż przy wejściu do sieni pod swoim nazwiskiem namalował rękę, której palec wskazujący jasno oznaczał kierunek.

Arthur właśnie zamierzał zgodnie z tym znakiem rozpocząć swe poszukiwania, gdy z pobliskiego domku wyszedł jakiś człowiek.

– Pan Meagles! – zawołał Arthur, zwracając się ku niemu z wyrazem zadowolenia i miłego zaskoczenia.

– A pan co tu porabia? – zdziwił się zapytany, mocno potrząsając podaną ręką.

– Zapewne kogoś poszukujemy? – odrzekł z uśmiechem Clennam, gdyż pan Meagles miał własny pałacyk w innej stronie Londynu i nie mógł być posadzony, że tu mieszka.

– Naturalnie, a oto jest przyczyna mojej tu obecności – rzekł, wskazując niemłodego człowieka, który zbliżał się do nich. – Daniel Doyce, mechanik-

wynalazca, niepospolicity umysł, który w swej ojczyźnie nie może znaleźć zasłużonego uznania.

Mężczyzna o lekko siwiejących włosach, choć młodej jeszcze twarzy, skłonił się ze smutnym uśmiechem. Arthur nawzajem oddał mu uprzejmy ukłon.

– Kiedy nas pan odwiedzi? – spytał pan Meagles żywo. – Stęskniliśmy się za panem. Mini gotowa się pogniewać.

Lekki rumieniec oblał twarz Arthura, chciał się usprawiedliwić, lecz pan Meagles machnął na to ręką.

– Mniejsza o to dlaczego, trzeba się poprawić. Przyjdź pan w niedzielę koniecznie. I pana się spodziewam, panie Doyce. Pomówimy o interesach.

Spojrzał na zegarek i oddalił się z panem Doyce'em. Arthur zaś wszedł do sionki, zgodnie ze wskazywaniem ręki.

Zapukał do drzwi, otworzyła mu młoda, przystojna kobieta z dzieckiem na rękę, drugie, cokolwiek starsze, stało obok.

– Czy zastałem pana Plornisha? – spytał Arthur.

– Prawdę mówiąc – odezwała się grzecznie kobieta – mąż mój wyszedł szukać roboty. Ale niedługo wróci. Może pan zaczeka?

– Chętnie – rzekł Arthur i wszedł do obszernej, lecz dosyć ciemnej izby, źle przewietrzanej i dusznej. Pani Plornish uprzejmie podała mu krzesło.

Usiadł, położył kapelusz na stole i przesunął ręką po twarzy, jakby chciał skupić myśli, oderwane od celu spotkaniem pana Meaglesa.

– Prawdę mówiąc – zaczęła znowu pani Plornish – bardzo jestem obowiązana panu za jego grzeczność.

Arthur spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc, co chciała powiedzieć.

Spostrzegła to widocznie i pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Bo panowie, prawdę mówiąc, kiedy wchodzą do mieszkania biednych ludzi, nie zdejmują zwykle kapelusza. A biedni ludzie także mają przecież swój honor.

– Dziwią mnie słowa pani – odezwał się Arthur. – Dla mnie wartość człowieka nie od majątku zależy.

I pochyliwszy się, pogłaskał starsze dziecko, które stało przed nim, patrząc na obcego wielkimi oczami.

– Ile ma lat? – zapytał.

– Prawdę mówiąc, dopiero cztery lata, panie. Ale jest duży i silny. Ten drugi, prawdę mówiąc, znacznie słabszy. Przepraszam pana, czy to może o jakąś robotę dla

męża?

Powiedziała to w taki sposób, że Arthur dałby wiele w tej chwili za możliwość dostarczenia mularzowi jakiegokolwiek roboty. Lecz było to niepodobieństwem, więc odparł: „nie” z westchnieniem i uczuł ścisnięcie serca na widok zasmuconej twarzy pani Plornish.

– Prawdę mówiąc – zaczęła – zdaje mi się, że wszystka robota na świecie pod ziemię się chyba schowała.

– Czyż tak trudno znaleźć zajęcie?

– Plornish nie ma szczęścia, prawdę mówiąc – szepnęła z wyrazem przygnębienia.

– Nie mam dla niego roboty – rzekł Arthur – ale pragnę go prosić o przysługę. A ponieważ chcę korzystać z jego czasu, więc słusznie muszę mu to wynagrodzić.

W nagłym błysku oczu kobiety wyczytał, jak potrzebna była ta nagroda.

– Idzie! – zawołała, usłyszawszy znajome kroki, i otworzyła drzwi przed nadchodzącym. – Czeka na ciebie jakiś pan.

– Przyszedłem pana prosić – odezwał się Clennam – o pewne wyjaśnienia w sprawie rodziny Dorrit.

Plornish spojrział nieufnie. Podejrzewał w przybyłym wierzyciela.

– Niech się pan mnie nie lęka – uspokoił go Arthur – słyszałem o panu trochę od panny Dorrit, wiem, że jesteś ich przyjacielem, i dlatego tutaj przyszedłem. Nazywam się Clennam.

– A! To pan Clennam – zawołał Plornish z rozjaśnioną twarzą. – Ja także wiem o panu od pani Dorrit. Proszę, niech pan siada – mówił, siadając także i biorąc starsze dziecko na kolana. – Oboje bardzo dobrze znamy państwa Dorrit.

– Znamy ich bardzo dobrze, prawdę mówiąc – potwierdziła żywo kobieta. Widocznie bardzo dumni byli z tej znajomości, a pani Plornish na swą własną szkodę budziła zazdrość w duszach kochanych sąsiadek, wymieniając wysoką sumę długu, za którą w jej przekonaniu pokutował ojciec Marshalsea.

– To dżentelmen! – podziwiał Plornish. – Co za wychowanie, grzeczność. I pomyśleć, że taki pan siedzi w więzieniu! Pan może wie – dodał, zniżając głos z wyrazem wielkiego podziwu – że córki nie śmieją mu powiedzieć o tym, iż pracują dla zarobku! Nie – powtórzył z mocą, spojrzawszy na żonę i gościa. – Nigdy się nie ośmielą powiedzieć mu tego!

– Z tego powodu właśnie żałuję go bardzo – odezwał się spokojnie Clennam.

Plornish spojrział zdziwiony. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu na myśl, czy

ten obcy nie ma słuszności? Czy rzeczywiście jest zaletą pana Dorrit, że nie chce wiedzieć o pracy swych córek? Ale nie znaleźli na to odpowiedzi.

– Chciałem pana zapytać – zaczął teraz Arthur – w jaki sposób wprowadziłeś pan małą pannę Dorrit do domu mojej matki.

– Aha... aha – rzekł mularz, przypominając sobie. – Jakże to było, Saro?

– Ano tak, prawdę mówiąc – odezwała się pani Plornish – że panna Dorrit przyniosła kiedyś bardzo pięknie napisane, że chciałyby chodzić do szycia, i spytała, czy pozwolimy dać swój adres dla tych, którzy mogą jej potrzebować. Zgodziliśmy się zaraz, prawdę mówiąc, a kiedy dopisała to na swoim papierze, mąż powiedział: Panno Dorrit, może lepiej napisać kilka takich kartek? A ona zaraz je napisała na tym stole. Plornish zaniósł jej kartki tam, gdzie miał robotę, a ja zaniósłam córce naszego gospodarza, a ona zna panią Clennam, prawdę mówiąc, i pani Clennam zażądała, żeby panna Dorrit przyszła do roboty.

– Córce gospodarza? – uchwycił Arthur za koniec niteczki. – A któż jest waszym gospodarzem?

– Nazywa się pan Casby, ale komorne odbiera co tydzień jego pomocnik Pancks, bardzo ciężki człowiek.

– Casby – zdziwił się Arthur. Tak, pamiętał dobrze. Pan Casby, piękny starzec z białymi włosami, miał córkę, która... którą... nim wyjechał... Lecz wie, że wyszła za mąż.

Postanowił jednakże wybrać się później do tych dawnych znajomych, a tymczasem zakończyć rozmowę z Plornishem. Zapytał więc, czy nie wie, kto jest wierzycielem Tipa. Plornish wiedział i znał go. Był to handlarz końmi, znany oszust i szachraj. Dowiedziawszy się, że dług Tipa wynosi czterdzieści gwinei, zapewnił pana Clennama, że można go spłacić połową tej sumy, naturalnie po pewnym targu.

Arthur zaproponował Plornishowi, aby podjął się załatwienia tego interesu w ten sposób, żeby nazwisko Clennama nie było wymienione. Z wielu względów uważał za konieczne, ażeby Tip nie wiedział, przez kogo został wykupiony.

Plornish rozumiał dobrze te powody, nie żądając żadnych wyjaśnień, widocznie miał o Tipie wyrobione zdanie. Udali się więc zaraz z powrotem do miasta. Przed domem wierzyciela Arthur został na ulicy, a Plornish z pieniędzmi poszedł na górę. Godzinę potem sprawa była załatwiona i Plornish pośpieszył zaraz do Marshalsea, ażeby powiadomić o tym Amy.

Przekonawszy się w ciągu ostatnich dni, iż rzeczywiście sprawa pana Dorrit zalicza się do rozpaczliwych, których ani rozwiązać, ani wyjaśnić niepodobna,

Arthur Clennam z tym większą gorliwością badał słabą niteczkę stosunku matki z Amy, nie chcąc się rzec nadziei, że tą drogą jedynie odkryć może jakieś światélko, rozjaśniające mu przeszłość. Dlatego wybrał się z wizytą do pana Casby.

W dobrze znanym, ciemnym zawsze pokoju zastał go, siedzącego przed kominkiem i łagodnie kręcącego młynka wielkimi palcami. Pomimo że nie widział go lat kilkanaście, nie zauważył prawie żadnej zmiany na dużej, czerstwej i pogodnej twarzy, okolonej długimi śnieżnymi włosami. Piękny typ szanowanego ojca rodziny, za jakiego go powszechnie uważano, zachował cały spokój niewzruszony i dziecięcą prawie łagodność spojrzenia.

Powitał wchodzącego, jakby rozstał się z nim wczoraj, i zaczęła się rozmowa banalna o zdrowiu, pogodzie, uchodzącym czasie, zanim Arthur zdołał wkręcić zapytanie, które sprowadziło go tutaj.

– Słyszałem, że pan polecił mojej matce małeńką Dorrit, szwaczkę, którą widziałem u niej. Chciałbym spytać, czy pan zna bliżej tę osobę.

– Tę osobę – powtórzył szanowany ojciec rodziny. – To Flora. Flora ją poleciła pańskiej matce. Flora ma dobre serce dla ubogich. To podobno biedna dziewczyna, mówił mi o niej jeden z lokatorów Rozdartego Serca. Ale zapytaj Flory, zaraz ją przyprowadzę.

I nie czekając, co Arthur odpowie, wyszedł stanowczym krokiem do dalszych pokoiów, które zajmowała owdowiała córka.

Arthur nie pragnął dziś tego spotkania – dawne uczucia zgasły bezpowrotnie – rozumiał jednak, że go nie uniknie, wchodząc do tego domu.

Więc cierpliwie pozostał na swym miejscu, leniwie rozglądając się po ścianach.

Wtem drzwi do przedpokoju otworzyły się szybkim ruchem i wbiegł mały, czarny człowieczek, z ciemną twarzą, czarnymi, żywymi oczami, czarną głową, czarnym zarostem i czarnymi obwódkami przy paznokciach, krótkich i haniebnie ogryzionych.

– Gdzie pan Casby? – zapytał, rozglądając się wkoło.

– Zaraz przyjdzie, jeśli pan go potrzebuje.

– Ja go potrzebuję? – zawołał, podnosząc ciemne ręce jak gdyby do obrony. – Zupełnie go nie potrzebuję. Ale powiedz mu pan, jak przyjdzie, że Pancks wrócił do domu.

I sapiąc głośno, wyszedł przeciwnymi drzwiami.

– Pancks – szepnął Arthur i przypomniał sobie, że nazwano go pomocnikiem

pana Casby i że on zbiera od lokatorów pieniądze. Rzeczywiście potężny biały szanowany ojciec rodziny potrzebował takiego czarnego motoru, który by pchał przez życie jego taczkę.

Casby zjawił się wkrótce, a z nim gruba, czerwona jak piwonია dama, niegdyś wiotka i biała jak lilijka, piękna Flora.

Arthur spojrział na nią prawie z przerażeniem. Ale kiedy z ust pięknej niegdyś Flory popłynął potok słów, poczuł jakieś przygnębienie.

Nie mógł prawie zrozumieć, jak to możliwe, że ta gadatliwa i – szczerze mówiąc – bardzo niemądra kobieta wydawała mu się niegdyś ideałem.

A Flora wciąż mówiła, mówiła tak dużo, takim potokiem pustych, bezmyślnych frazesów, przewracając oczami, i na przekór przeżytych latom robiąc minki szesnastoletniej dziewczynki, że biedny Arthur siedział już jak na torturach, nie mogąc zadać nawet jednego pytania, o które mu chodziło.

A gdy je rzucił wreszcie, niczego się nie dowiedział i niczego się zresztą już nie spodziewał, bo jakąż rolę mogła grać w tym wszystkim Flora?

Co innego stary szanowany ojciec rodziny. Arthur był przekonany, że wiedział wiele, choć nie o wszystkim chciał mówić. Może nie w sprawie Dorrit, lecz co do przeszłości mógłby mu pewnie powiedzieć niejedno, gdyby udało się go zapytać. Nie zapyta go jednak, wie, że to daremne, i – obawia się go trochę, mimo pięknych pozorów.

Flora zatrzymała go gwałtem na obiad, bez niegrzeczności nie mógł się wymówić, więc przy stole raz jeszcze spotkał pana Pancks.

Pancks nie tracił czasu i zdawał sprawę z interesów, zwłaszcza z wypłat lokatorów Rozdartego Serca. Narzekał na trudności w odbiorze pieniędzy. Ogryzał przy tym zawzięcie paznokcie, sapał, mruczał i jak prawdziwy motor poruszał bezustannie całą swoją drobną osobą.

Obiad był obfity i dobrze przyrządzony, ojciec rodziny jadł dużo i z powagą, Flora z pewnym łakomstwem, którego nie umiała ukryć. Arthur szukał ucieczki przed jej gadatliwością, zwracając się do Pancks z pewnym zaciekawieniem, gdyż mały, czarny człowiek wydał mu się dość zajmujący.

Pancks też pierwszy załatwił się z jedzeniem i dał hasło wstania od stołu, nie troszcząc się o etykietę.

– W którą stronę pan idzie? – spytał Clennam.

– W stronę City – odparł prędko Pancks.

– Jeżeli pan pozwoli, to pójdziemy razem. Idę też w tamtą stronę.

Wydostał się na koniec na powietrze i odetchnął głęboko. Pancks szedł prędko, zsunawszy kapelusz na tył głowy i ogryzając zajadle paznokcie, co znaczyło, że był pogrążony w myślach.

– Chłodny dzień – zauważył mimo woli Arthur, gdyż różnica temperatury między mieszkaniem a ulicą była uderzająca.

– Chłodny – potwierdził Pancks, patrząc na niego i widocznie zbierając myśli. – Ja, co prawda, nie czuję chłodu ani ciepła, bo nie mam na to czasu.

– Pan tak bardzo zajęty?

– Spodziewam się. Sama ilość lokatorów. A z każdym mów inaczej, żeby go przekonać i wydusić te parę groszy. A inne sprawy mego pryncypała? A moje? Mam i swoje – mówił, idąc prędej. – Co prawda, po to żyjemy na świecie?

– Jak to? – zapytał Arthur.

– A po cóż byśmy żyli? – odparł Pancks porywczo. – To samo mówię zawsze lokatorom, kiedy narzekają: „Musimy pracować od świtu do nocy, pracować całe życie, i co z tego mamy?”. Wtedy im odpowiadam: „A po cóż innego na ten świat przyszłście, moi ludzie? Człowiek rodzi się, żeby pracować”. Tym zamykam im usta. Nie mają na to odpowiedzi.

– Niestety! – westchnął Clennam.

– Bo i cóż by mi mogli odpowiedzieć? Po co żyję? Wstaję wcześniej, jem prędko, kładę się, kiedy już nie mogę myśleć, i pracuję, pracuję bez ustanku, to przecież nasz jedyny obowiązek. Co to za życie bez pracy?

Czas jakiś szli w milczeniu.

– Pan nie ma żadnych upodobań? – spytał na koniec Arthur. – Jakiegoś zamiłowania?

– Aa! – odparł Pancks po chwili, jakby dopiero zrozumiał. – Mam zamiłowanie do zarabiania pieniędzy. Wskaż mi pan tylko drogę, a zobaczysz!

Zarżał znowu przez nos i Arthur zrozumiał, że u niego ten szczególny odgłos jest śmiechem.

– Pan mało czyta? – zauważył Clennam.

– Czytam jedynie listy w interesach – odparł Pancks prawie szorstko. – Zbieram też ogłoszenia o spadkach. To może mieć wartość. Czy pan nie jesteś z rodziny Clennamów z Kornwalii, panie Clennam?

– Nic o tym nie wiem.

– Nie, nie jesteś – odpowiedział Pancks sam sobie. – Pytałem o to pańskiej matki. Ona by nie wypuściła z ręki tej okazji.

– A gdybym był spokrewniony z tą rodziną?

– Miałbyś pan prawo do dużego spadku. Wielki spadek w Kornwalii czeka spadkobiercy i nie mogą go nigdzie znaleźć. Cóż u licha, piękna sposobność, żeby coś przy tym zarobić!

Wyjął z kieszeni stary, pomięty notatnik i natychmiast go schował.

– Do widzenia – rzekł prędko. – Idę w tę stronę.

I zawrócił tak szybko, że Arthur nie miał czasu odpowiedzieć mu: do widzenia.

Pozostał sam i poczuł się bardzo smutny. Potrzebował ruchu, więc szedł ku domowi piechotą, mijając ulice, place i zaułki, wszedł w ludniejszą część miasta, kiedy w okolicach kościoła Świętego Pawła znalazł się niespodzianie w środku licznej gromady tłoczącej się na chodniku. Cofnął się do muru, aby przeszli mimo, i wtedy zauważył, że skupiają się dokoła jakiegoś ciężaru, który ostrożnie dźwiga czterech ludzi. Były to niby nosze, zaimprovizowane z rolety czy jakiejś derki, koło nich jakiś chłopiec niośł zabłocony kapelusz, a drugi małą paczkę.

Gromadka zatrzymała się na chwilę, gdyż niosący musieli coś poprawić, więc Arthur zwrócił się do stojącego obok starszego mężczyzny z zapytaniem.

– Jakiś wypadek? Ranny? Niosą do szpitala?

– O, tak – odparł staruszek – wóz pocztowy! To powinno być zabronione. Żadnej kary na takich rozbójników! Od czegoż mamy rząd? Co dzień wypadki i co dzień ofiary. Pędzi z bocznej ulicy jak szalony i już jesteś pod kołami.

Stojący obok z równym oburzeniem potwierdzali jego słowa, każdy był świadkiem jakiegoś wypadku: wczoraj dziecko o mały włos nie zostało przejechane, onegdaj zgnetli kota, a przecież mógł to być człowiek, ale cóż takiemu! Wszystko mu ujdzie bezkarnie!

– A jeśli my, Anglicy – podjął na nowo mężczyzna – nie potrafimy ustrzec się tych łotrów, to cóż mówić o cudzoziemcu, który nie zna naszych zwyczajów i nie rozumie języka.

– Ach, więc to cudzoziemiec? – przerwał Arthur, zbliżając się do noszy, aby zobaczyć ofiarę.

– Francuz... Hiszpan... Włoch... Niemiec... – rozległy się dokoła odpowiedzi, ale chętnie zrobiono przejście Arthurowi, który oświadczył, że będzie się mógł z nim rozmówić.

– Wody! Wody! – powtarzał po włosku nieznamomy.

– Prosi o szklanke wody – rzekł Arthur do stojących obok, a następnie pochylił się nad nieszczęśliwym, zapytując, czy się czuje ciężko ranny.

– Noga... noga! – zawołał tamten żywo. – Bardzo boli, ale mi tak przyjemnie usłyszeć mowę mego kraju! Czy pan zaraz odejdzie?

– Nie, nie, bądź spokojny, nie odejdę, aż zostaniesz opatrzony. Odwagi! Będzie dobrze, tylko trochę cierpliwości.

Pochylił się nad biedakiem i podał mu wody. Był to mały człowieczek, muskularny, o ciemnej cerze, kruczych włosach i bardzo białych, równych, zdrowych zębach. W uszach nosił kolczyki.

– Dawno jesteś w Londynie? – spytał Arthur.

– Dziś przyjechałem... z daleka... z Marsylii... człowiek szuka po świecie chleba.

– A znajduje czasem guza – zauważył Arthur.

– *Altro! Altro!* – zawołał biedny Włoch z ożywieniem właściwym tej narodowości.

Podniesiono go znowu i w końcu cały orszak zatrzymał się przed szpitalem Świętego Bartłomieja. Wniesiono rannego na salę opatrunkową, znalazł się chirurg i dyżurny lekarz, położono biedaka na stole.

Arthur wszedł za nim i dodawał mu odwagi. Noga okazała się w dwóch miejscach złamana i w kostce wywichnięta, lecz na szczęście nie groziła amputacja. Arthur i lekarze zapewniali Włocha, że powinien się cieszyć, a on pomimo bólu okazywał do tego skłonność.

Opatrzonego wreszcie złożono na łóżku, ale biedak całował Arthura po rękach i błagał go ze łzami, żeby nie odchodził. Więc Clennam usiadł przy nim i czekał cierpliwie, aż usnie, a wtedy pozostawił mu karteczkę z zapewnieniem, że odwiedzi go nazajutrz.

Gdy wychodził z bramy szpitalnej, na wieży zegar wybił jedenastą. Wybrał teraz najkrótszą drogę, żeby się dostać do siebie. W mieszkaniu było chłodno. Ogień na kominku wygasł prawie zupełnie, w słabo oświetlonym pokoju panował cichy smutek.

Tak to przynajmniej odbierał. Czuł się dziwnie samotny, niby na pustyni. Błądził myślą w przeszłości i nie mógł tam znaleźć ani jednego jasnego promienia, ani jednego kwiatka, który by zachował miłe barwy. Dzieciństwo bez radości i rodzinnego ciepła – wiek młodzieńczy, w którym gwiazdą była Flora! – potem długie wygnanie i ten zimny powrót, to powitanie matki – takie obojętne – czyż

z drogi jego życia przeznaczenie usunęło wszelkie cieplejsze uczucie?

Usłyszał ciche pukanie do drzwi, wstał zadziwiony.

– Można wejść?

Drzwi uchyliły się z wolna i usłyszał słowa:

– To ja, maleńka Dorrit.

2 *altro* (wł.) – inny, odmienny.

ROZDZIAŁ VII

WIECZOREK MALEŃKIEJ DORRIT

Arthur Clennam zerwał się z krzesła – przed nim na progu stała maleńka Dorrit! Przetarł oczy, jak gdyby pragnął się upewnić, że nie śni.

Dziewczę ciekawym i bystrym spojrzeniem objęło pokój, który wydał się jej wielki i wspaniały, choć trochę ciemny. Jej mała główka przecież wyobrażała sobie mieszkania ludzi bogatych, magnatów, w których żyją osoby przepięknie ubrane, gdzie wszystko jest kosztowne i wytworne – pokój pana Clennama miał jej dać o tym pojęcie. Ale był trochę ciemny!

– Biedne dziecko! – zawołał Arthur, przerywając jej spostrzeżenia. – Co tu robisz o tej godzinie? Już północ.

– Dlatego powiedziałam przecież: maleńka Dorrit, żeby pana przygotować. Wiedziałam, że pan będzie zdziwiony.

– Pani sama? – zapytał z pewnym niepokojem.

– O nie, Maggie jest ze mną.

Usłyszawszy swe imię, Maggie zrozumiała, że jest upoważniona, żeby wejść także, i ukazała szerokie oblicze, rozjaśnione uśmiechem od ucha do ucha.

– Ogień zgasł – zawołał Arthur – a pani... a tak zimno dziś wieczorem.

Nie chciał powiedzieć, że jest zbyt lekko ubrana, więc tylko z troskliwością posadził ją przed kominkiem na fotelu, który sam zajmował przed chwilą, i zaczął dokładać drewek i węgla na ogień.

– Niech pani oprze nogi o tę kratę.

– Nie, nie, nie trzeba – broniła się Amy i Arthur domyślił się, że nie chce mu pokazać zniszczonych trzewików.

Maleńka Dorrit nie wstydziła się swoich trzewików, choćby w nich były dziury, wiedział o tym dobrze, ale miała jakieś przeczucie, że Clennam z tego powodu będzie miał żal do jej ojca. Naturalnie będzie to niesprawiedliwie, a to dlatego, że jeszcze wielu rzeczy nie rozumie.

Podniosła na niego bardzo wymowne spojrzenie i najwyraźniej onieśmielona, nie wiedząc, jak zacząć, przemówiła wreszcie:

– Chciałabym panu coś powiedzieć...

– Słucham, moje dziecko – rzekł, zwracając się ku niej, a widząc, że ta nazwa wywołała pewne zdziwienie, pospieszył się usprawiedliwić. – Niech się pani nie gniewa o ten wyraz. Potrzebuję jakiegoś słowa, które by wyrażało to uczucie, jakie mam dla pani.

– Więc niech mnie pan nazywa maleńką Dorrit. Przywykłam do tego imienia, i lubię je, ponieważ dają mi je ludzie życzliwi.

– Maleńka Dorrit.

– Matusia! – poprawiła Maggie.

– To wszystko jedno, Maggie, zupełnie wszystko jedno.

Uszczęśliwiona Maggie roześmiała się znowu szeroko i poprawiła się na swoim fotelu, z którego widocznie była bardzo zadowolona.

– Najpierw chcę panu powiedzieć, że brat mój jest wolny – odezwała się Dorrit.

Arthur wyraził wielkie zadowolenie i nadzieję, że potrafi skorzystać z tej szczęśliwej zmiany.

– I to muszę powiedzieć panu – zaczęła znowu głosem drżącym ze wzruszenia – że nie wolno mi wiedzieć, kto jest tym dobroczyńcą, że nie wolno mi pytać o to i że nie będę mogła nigdy podziękować mu, jakbym gorąco pragnęła, za wolność mego brata!

Clennam odpowiedział, że ów nieznajomy – zdaniem jego – zupełnie słusznie unika podziękowań za taką drobnostkę, o której nie warto wspominać.

– A ja, gdybym go znała – mówiła, coraz mocniej drżąc, Amy – gdyby mi było wolno, chciałabym mu powiedzieć, że nie może sobie nawet wyobrazić, jak gorąco jestem mu wdzięczna, jak go błogosławię każdym uderzeniem serca. Ale nie wolno mi tego powiedzieć! A powiedziałabym mu, że w każdej modlitwie proszę Boga, aby go za to nagroził i dał mu taką radość, jaką ja mu zawdzięczam. Uklękałabym przed nim i prosiła, żeby mi pozwolił ucałować swoją rękę i oblać ją łzami wdzięczności, bo nic innego przecież ofiarować mu nie mogę! – Ujęła rękę Arthura i przycisnęła ją do ust, zsunęła się z fotela na kolana, ale podniósł ją natychmiast i umieścił łagodnie na poprzednim miejscu.

– Maleńka Dorrit, maleńka Dorrit – powtarzał także ze wzruszeniem. – Przypuśćmy więc, że zna pani tę osobę i zrobiłaś wszystko, co chciałaś. A teraz proszę, powiedz mi, swemu przyjacielowi, który nie jest tamtą osobą, lecz który pragnie twego zaufania, powiedz, dlaczego i jakim sposobem znalazłaś się o tej godzinie za domem, sama jedna, moja maleńka.

Starła się uspokoić, lecz głos drżał jeszcze, kiedy odpowiedziała.

– Byliśmy z Maggie w teatrze, gdzie tańczy moja siostra.

– Ach, w teatrze! – odezwała się Maggie z zachwytem – prawie tak pięknie, jak w szpitalu. Tylko nie dają dobrego jedzenia. Nic a nic.

Otrząsnęła się, jak pies, gdy wyjdzie z wody, i pochyliła głowę na piersi do drzemki.

– Poszliśmy – mówiła Amy – bo chcę czasem widzieć, co tam robi Fanny w teatrze, chcę widzieć tak, żeby stryj, ani ona nie domyślali się tego. Nie mogę często, bo to dosyć trudno i na dodatek kosztuje. Nie lubię też ojca zostawiać samego. Dziś upozorowałam to jakimś wieczorkiem. Ale nie byłam nigdy na żadnym wieczorku! – wyjaśniła szybko z uśmiechem, widząc pełne zdziwienia spojrzenie Arthura.

Umilkła i patrzyła na Clennama, jakby chciała wyczytać z oczu jego myśli. Potem dodała cicho:

– Doprawdy, w tym nie ma nic złego. Nie mogę ojcu mówić wszystkiego otwarcie. Pan nie zna naszego życia. Skoro chodzę do pracy, ojciec sądzi, że mam na mieście stosunki; że bywam u znajomych, z którymi mogę czasem spędzić wieczór.

– Lecz dziś pierwszy raz – dodała po chwili – nie będę nocowała w domu. Och, jakież Londyn w nocy ogromny i straszny!

Wstrząsnęła się mimo woli, wymawiając te słowa.

– Ale nie dlatego przyszłam pana nudzić – odezwała się znowu. – Nie dlatego. Wysłałam dziś wieczorem głównie z tej przyczyny, że siostra opowiadała mi o jakiejś pani, bardzo bogatej pani, która jej podarowała bransoletkę, i to wszystko mnie jakoś zaniepokoiło. Chciałam zobaczyć... Potem, wracając z Maggie, spostrzegłyśmy, że u pana się świeci, i...

Zaplątała się trochę, gdyż przyszło jej na myśl, że nie po raz pierwszy widziała w tych oknach wieczorem światło, że widziała je nieraz i zdawało jej się jakąś gwiazdą dobrotliwą i łagodną, która spogląda na nią z wysokości. Ale tego nie chciała mu przecież powiedzieć.

– Więc pomyślałam sobie – zaczęła jakby w dalszym ciągu – że trzy rzeczy chciałabym powiedzieć panu zaraz, jeśli pan sam jest w domu. I weszliśmy. Pierwsza rzecz, to.... chciałabym wyrazić...

– Zacznijmy od drugiej – rzekł łagodnie Arthur, gładząc lekko jej rękę.

Wstał z uśmiechem, dorzucił węgla na kominek, wyjął z szafy wino, ciastka i owoce i postawił na stole.

– A druga rzecz jest taka: zdaje mi się, że pani Clennam wie, gdzie mieszkam, że zna moją tajemnicę.

– Doprawdy? – zawołał Arthur. – Skąd to przypuszczenie, moje dziecko?

– Zdaje mi się, że pan Flintwinch mnie śledził.

– A dlaczego ci się tak zdaje? – nalegał Arthur, patrząc w ogień zamyślony.

– Spotkałam go dwa razy w pobliżu Marshalsea, kiedy wracałam wieczorem.

Zawsze niby przypadkiem.

– Czy co mówił?

– Nie, tylko się uklonił.

Arthur słuchał, wpatrzony w ogień. Wstał na koniec i zaczął prosić, żeby Amy napiła się troszeczkę wina, zmusił ją prawie, żeby zjadła ciastko, sam wybierał dla niej owoce. Maggie jadła także, śmiejąc się szerokim śmiechem i mlaskając językiem z wielkiego zadowolenia.

– Czy matka zmieniła się w stosunku do pani? – spytał.

– O, nie, zawsze taka sama. Bardzo dobra. I zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam jej powiedzieć prawdy. Czy nie powinna znać mojej historii?... Ale chciałam zapytać pana... Może mi pan poradzi, co mam zrobić – mówiła, patrząc na niego z prośbą.

Pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

– Zaczekaj, maleńka – rzekł z pieszczotą w głosie. – Pomówię o tym z Affery. Była dawniej moją wielką przyjaciółką. To jest dobra kobieta. Tymczasem proszę, niech pani nic nie mówi. Jeszcze kropelkę wina. To maleńkie ciastko. Resztę oddamy Maggie, niech sobie zabierze do domu. Ale przedtem ciekaw jeszcze jestem trzeciej rzeczy.

– Nie chciałabym pana obrazić.

– Nie obrażę się, przyrzekam.

– Niech pan nie myśli, że jestem niewdzięczna... – zaczęła znowu drżącym ze wzruszenia głosem. – Nie umiem tego wyrazić, co czuję... Pan był tak dobry i pisał do ojca, że go jutro odwiedzi...

– Tak, pisałem, maleńka.

Amy złożyła ręce.

– Czy się pan nie domyśla, że chciałam prosić, aby pan czegoś nie robił?

– Mogę się mylić, mała przyjaciółko.

– Nie, nie, pan się nie myli. A ja przyrzekam panu, że gdyby... gdybyśmy byli

naprawdę w potrzebie... w takiej potrzebie, że już nie można wytrzymać, to sama się do pana udam.

– Dobrze, maleńka, dobrze.

– Niech go pan nie zachęca... Niech go pan nie rozumie... nie uprzedza... Pan lepiej pozna go wtedy.

Walczyła ze łzami, które cisnęły się do oczu, i Arthur uspokajał ją, lekko muskając jej rękę.

– Pan nie zna ojca – mówiła. – Jakże pan go znać może, widząc go od razu takim, jakim stał się po wielu latach. A ja patrzyłam na to, widziałam te zmiany, jak przychodziły stopniowo, powoli... Pan jest tak dobry dla nas, że chciałabym, ażebyś go ocenił sprawiedliwie. Pańska opinia jest dla mnie ważniejsza niż wszystkich innych ludzi.

– Dobrze, maleńka, dobrze – powtórzył znów Arthur. – Nie martw się, ja to wszystko przecież rozumiem także.

– Dziękuję panu. Bardzo, bardzo dziękuję. Chciałam to powiedzieć dawniej, ale mi było tak trudno. Myślałam o tym ciągle. I kiedy się dowiedziałam, że pan przyjdzie jutro, postanowiłam dzisiaj mówić z panem. Nie dlatego, żebym się za niego wstydziła – dodała, szybko ocierając oczy – ale że znam go lepiej, że go kocham i wiem dobrze, iż mogę być z niego dumna.

Załatwiwszy tę sprawę, która prawdopodobnie była główną przyczyną tych tak spóźnionych odwiedzin, Amy zaczęła sama niepokoić się późną porą i myśleć o powrocie. Maggie podniosła się także, ocknąwszy z drzemki, zwracając chciwe oczy na łakocie, które widziała na stole. Arthur nalał jej jeszcze trochę wina i powiedział, że może zabrać do koszyka wszystko, czego teraz nie zjadły. Maggie nie wychodziła nigdy bez koszyka, więc za pozwoleniem swej „Matusi”, śmiejąc się i wspominając o szpitalu, z rozkoszą pakowała otrzymane dary.

Jej radość rozjaśniła oczy Dorrit, a to znowu sprawiło przyjemność panu Clennamowi.

– Lecz dokąd pani idzie? – spytał nagle. – Furka przecież zamknięta?

– Będę spała u Maggie. Mogę być tam pewna troskliwej opieki.

– Ja panią odprowadzę. Nie mogę pozwolić, aby pani szła sama tak późno.

– A ja pana ogromnie proszę, żebyś mnie puścił samą. Bardzo, najmocniej proszę!

Widział, że zrobiłby jej przykrość, więc ustąpił. Domyślał się, że nie chce, aby widział mieszkanie Maggie.

Na dole Amy jeszcze raz stanęła i zwracając spojrzenie w kierunku ciemnych schodów, wyszeptała:

– Niech cię Bóg błogosławi!

Arthur przeczekał chwilę i zszedł także. Nie sprzeciwiając się woli dziewczyny, poczuwał się do obowiązku czuwania nad nią, chociażby z daleka, póki nie znajdzie się w swojej dzielnicy, którą zna dobrze i gdzie ją wszyscy znają.

Wreszcie mury Marshalsea zarysowały się przed nim wyraźnie, a jednocześnie spostrzegł, że Amy z towarzyszką zawróciła w boczną uliczkę. Zrozumiał, że są u celu podróży i nie ma prawa dalej ich śledzić.

Lecz Dorrit zatrzymała się przed lichym domkiem, w którym nie widać było żadnego światła ani słycać żadnego szmeru. Ubodzy ludzie o tej spóźnionej godzinie zasypiali spokojnie po całodzienniej pracy.

– Wiesz, Maggie – rzekła Amy – nie możemy budzić twoich gospodarzy, żeby nie rozgniewali się na ciebie. Zapukam nie bardzo głośno, a jeśli nikt nam nie otworzy, będziemy spacerowały do rana.

Zapukała raz, drugi, ale z wnętrza domu żaden szmer nie odpowiedział. Czekały jeszcze chwilę.

– Moja biedna Maggie – odezwała się znowu Amy ze współczuciem – będzie ci trochę przykro, ale noc przecież się skończy. Jakoś sobie tymczasem poradzimy.

Zawróciły znowu ku szerszej ulicy – na wieżowym zegarze wybiło wpół do drugiej.

Noc była ciemna, chłodna, często zrywał się wiatr, wilgotny i przejmujący. Przechodząc obok Marshalsea, obie przystanęły przed kratą i patrzyły w ciemność podwórza.

– Przed szóstą nie wejdziemy – rzekła Dorrit – jeszcze ze cztery godziny. Na szczęście tam nikt o mnie nie niepokoi się.

Były zmęczone, więc umieściły w kącie koszyk Maggie, usiadły na nim i przytuliły się do siebie. Póki ulica była pusta i spokojna, nie ruszały się z miejsca, ale skoro z daleka rozlegały się kroki, Amy ogarniała trwoga i szeptała do towarzyszki.

– Chodźmy, chodźmy, ktoś się zbliża, chodźmy, Maggie!

Ciężkie dziecko podnosiło się wtedy niechętnie i szło z wolna obok matusi, pocieszając się owocem albo ciastkiem. Ale gdy zabrakło w koszyku łakoci, zaczęła narzekać i płakać.

– Cicho, Maggie – prosiła Amy – dzień już niedługo, zobaczysz.

Maggie uciszyła się. Amy wtuliła się w kącik koło kraty, położyła głowę nieszczęśliwej na kolanach i uśpiła ją cichym szeptem, obiecując, że noc się skończy.

Sama podniosła głowę i patrzyła w gwiazdy. Takie ciche, łagodne, spokojne światełka. Bóg je stworzył dla ludzi, może czuwają nad nami, nad bezdomnymi i opuszczonymi, którzy nie mają własnego schronienia.

Patrzyła i myślała o gwiazdach i ludziach, o pięknych domach, gdzie się bawią tak wesoło, gra muzyka, wszyscy są elegancko ubrani, tańczą, śmieją się i czują szczęśliwi. Chciałaby to zobaczyć. Gdyby ojciec nie był w więzieniu, może i u nich także byłyby wieczorki, i przyszedłby pan Clennam, taki dobry i szlachetny, i tańczyliby razem...

Maggie się obudziła i narzekała na zimno, więc zaczęły znów chodzić. Uderzyła trzecia, potem wpół do czwartej. Oddaliły się nieco od Marshalsea, szły prędko; żeby się rozgrzać, omijały pijanych i podejrzanym ludzi, którzy nawoływali się cichym gwizdaniem. W razie niebezpieczeństwa Amy udawała dziecko i tuliła się do spódnicy Maggie, gdyż raz słyszała sama gruby głos, który powiedział:

– Daj pokój, czyż nie widzisz, że to kobieta z dzieckiem?

Na zegarach powoli zaczęła bić piąta.

– Już dzień, Maggie – szepnęła Dorrit, rozglądając się po niebie, na którym nie było jeszcze zapowiedzi brzasku.

Lecz na ulicach budziło się życie: ciężkie wozy ciągnęły szeregami, robotnicy spieszyli do dalekich fabryk, było coraz ludniej, nic już nie groziło dziewczętom.

Zbliżyły się znowu do znajomych murów, ale było tak zimno, że nie mogły czekać, więc poszły dalej, Maggie drzemała, idąc, i Amy trzymała ją mocno, obawiając się, że upadnie.

Przechodząc koło kościoła, zauważyła, że drzwi były odemknięte, i chciała wejść do środka.

– Kto tam? – odezwał się szorstko głos męski.

Amy zatrzymała się na progu i ujrzała przed sobą znajomą twarz zakrystiana, czy może tylko kościelnego, którego widywała nieraz.

– A, to wy – rzekł łagodniej. – Co robicie tu o tej porze?

– Spóźniłyśmy się wczoraj i zamknięto furtkę, czekamy, aż otworzą.

– Biedaczki – rzekł łagodnie – całą noc na takim zimnie? Chodźcie do zakrystii.

Już rozpałiłem ogień dla malarzy, którzy zaraz nadejdą. Urządzą wam wygodny odpoczynek, bo Marshalsea otworzą dopiero za godzinę.

Zaprowadził je do zakrystii, rozmawiając po drodze, gdyż widocznie przekładał mowę nad milczenie. Pokazał Amy książkę, w której była wpisana jako dziecko urodzone w Marshalsea. Wreszcie przyniósł kilka poduszek z kościoła i umieścił je przed ogniem w taki sposób, że mogły się wygodnie położyć i zasnąć. Maggie od razu zachrapała mocno, ale dobry staruszek troszczył się o Amy i szukał, co by jeszcze podłożyć jej pod głowę.

Wtem z uśmiechem sięgnął po grubą księgę i ostrożnie wsunął ją pod poduszki.

– Teraz ci będzie dobrze, moja mała – powiedział po ojcowsku. – Mam także młode córki i wiem, jakiej wygody potrzebują. W tej książce nie ma jeszcze twojego imienia, ale jeśli nam nie uciekniesz gdzieś daleko, znajdzie się tutaj z czasem. Ludzie zaczynają życie w jednej książce, a kończą zawsze w drugiej.

Małeńka Dorrit spała już mocno.

ROZDZIAŁ VIII

BIEDNA AFFERY

Czy mógł w starym, posępnym domu zagościć choć na chwilę jasny uśmiech szczęścia?

Zawsze pograżony w cieniu, pochylony, wsparty na omszałych, próchniejących belkach, w płaszczu z pleśni i plam wilgotnych, samym wyglądem płoszył wszelką myśl o zdrowiu, pogodzie i radości.

Jeżeli promień słońca zajaśniał tu przypadkiem, gasł natychmiast i znikał, uciekał czym prędzej. Jeżeli blask księżyca rozjaśnił na chwilę te mury, czynił je mimo woli jeszcze smutniejszymi i budzącymi jakąś zabobonną trwogę. Tylko gwiazdy mrugały nad nim obojętnie swą daleką, zimną źrenicą.

Za to deszcze, mgły, słoty i jęki wichrowe zdawały się go darzyć szczególną przyjaźnią, gnieździły się tu stale, nie chciały ustąpić i szarym, brudnym śniegiem pokrywały ziemię nawet wtedy, gdy wszędzie zimowa skorupa już stała w wiosennym cieple.

Odgłosy życia w tej cichej ulicy także tłumili się i głuchły jakoś, można by mniemać, że tu umierały.

Wszystko zdawało się dziwnie zamarłe w tym domu, jak gdyby skamieniałe. Nawet światło w pokoju pani Clennam nie gasło nigdy, chociaż podlegało zmianom. Dniem i nocą w wąskich oknach jaśniał słaby odbłask nikłego ognia na kominku, który chwilami strzelał jakby iskrami gniewu – czasem migotał nikły płomyk świecy.

W czasie krótkich i ciemnych dni zimowych w blasku tym na tle okna, niby w latarni magicznej, rysowały się wielkie sylwetki pani Clennam w fotelu na kółkach, Jeremiaha z ogromną na bok pochyloną głową i sterzczącymi końcami chustki i drepczącej pospiesznym krokiem Affery. Wieczorem cień jej znikał na szybach ostatni i potem już do rana blade i spokojnie świecił tylko ogień kominka, niby latarnia morska, która ukazuje drogę i pociąga z daleka zabłąkanego w przestworzu rozbitka.

A może takie było przeznaczenie tego nieszczęsnego światła.

W pewien zimowy dzień Affery krzątała się w kuchni. Postawiła na ogniu imbryk

z wodą na herbatę i usiadła przed kominkiem na krzeselku, aby się trochę ogrzać. Siedząc tak, biedna Affery rzucała nieśmiało wylęknione spojrzenia na prawo i na lewo, gdyż prawie bezustannie słyszała w tym domu jakiś szmer zagadkowy, tajemniczy. Jakże miała nie wierzyć w duchy i upiory, kiedy już lata całe słyszała ich ciche stąpania, ich szepty, a nieraz może groźne walki.

To sprawiało, że zawsze była wystraszona i często nie wiedziała, czy nie śni na jawie, czy niewidzialne istoty w tym domu nie rzuciły na nią uroku, który nie pozwala jej odróżnić snu od rzeczywistości.

Niedawno przecież, bo przed paru dniami, gdy tak samo siedziała przed kominkiem, usłyszała najwyraźniej gdzieś za sobą mocne tarcie, jak gdyby ktoś przeciskał się ciasnym otworem, osypując gruz i kamienie, potem trzy, może cztery mocne uderzenia, od których zadrżała podłoga, a serce jej uderzyło tak gwałtownie, jakby chciało wyrwać się z piersi. Zdawało jej się także, iż uczuła dotknięcie zimnej ręki.

Przerażona, drżąc cała, szcękając zębami, znalazła tyle siły, że chciała uciekać, zobaczyć ludzi, ujrzeć słoneczne światło i świat rzeczywisty.

Ale na schodach usłyszała głosy, które nagle zwróciły jej uwagę: to oni się kłócili. Tak, kłócili. Głos męża podniesiony rozlegał się głośno, to znowu twarde, suche, odpowiedzi pani.

Cicho, na palcach przesunęła się aż do drzwi.

– Dość tych głupstw! – wołał Flintwinch podniesionym głosem. – Co pani sobie myśli? Rzuciła się pani na mnie.

Tak, słyszała te słowa biedna Affery i czyż mogła przypuszczać, że to się dzieje na jawie?

– Dziwne masz wyrażenia, Jeremiahu – odezwała się surowo pani Clennam. – Zrobiłam ci uwagę, że bez zastanowienia za wiele dziś mówiłeś przy Arthurze. To nie było potrzebne.

– Rzuca się pani na mnie – mocno powtórzył Flintwinch – a ja na to nie pozwolę. Nie pozwolę. Nie gadam nigdy bez zastanowienia i wiem, co powiedziałem i dlaczego. Może powiem kiedy i więcej. Nie byłem przyjacielem jego ojca, nie lubię ludzi słabych i bez woli. Jeśli od pierwszej chwili stanąłem przy pani, to dlatego, że jesteś kobietą stanowczą i, co postanowiłaś, to się stać musiało. Ale w tej sprawie pani obowiązkiem jest przede wszystkim stanąć w obronie jego pamięci przed synem, zamiast myśleć o sobie i kryć się za umarłych. Oto co chciałem powiedzieć.

– Może trochę za wiele – rzekła dumnie pani Clennam. – Nie kryję się za

umarłych, jak ci się wydaje, ale idę do celu własną drogą. Walka dzisiaj trudniejsza, bo jestem stara i kaleka, bo dokoła mnie wszystko rozpada się w gruzy, a jednak nie ustąpię i umrę tu na stanowisku.

– To i dobrze – zgodził się Flintwinch. – Byłem zawsze wiernym sługą tego domu, ale chociaż zostałem dziś pani współnikiem, nie kupiłaś mnie za ten tytuł. Jestem taki, jaki byłem, i taki zostanę. Dobrze widzę, jak panią dziwi, iż stanąłem w tej sprawie po stronie tamtego. Lecz to mi wszystko jedno. Jestem może dziwakiem, ale nie zgodzę się nigdy, żeby mnie pani połknęła, jak innych. Nie będę niczym narzędziem. Jestem sobą, mam swoje zdanie, postępuję zawsze, jak mi się podoba. Nie będę niczym cieniem. Nie, nie, nikt mnie nie zje żywcem, nawet taka stanowcza kobieta jak pani.

– Myślę, że dosyć tego, Jeremiahu – odezwała się sucho pani Clennam, chcąc widocznie skończyć rozmowę.

Uczuła, że nie złamie uporu współnika i, choć ją to gniewało, jednocześnie była zadowolona, że znalazła w nim siłę. Znała go przecież od chwili wstąpienia w te progi, i być może właśnie ta cecha jego charakteru połączyła tych dwoje ludzi. Czyż nie dlatego zrobiła go swoim współnikiem?

– Może zapalisz świecę – zaczęła po chwili łagodniej, jakby chciała powrócić do zwykłego tonu. – Czas na herbatę. Dorrit przyjdzie za chwilę i zastanie mnie w tej ciemności.

Jeremiah zapalił świecę i stawiając ją na stoliku, spojrzął bystro na panią Clennam swoim błyszczącym wzrokiem.

– Ciekawy jestem, co też pani myśli zrobić z tą Dorrit – zaczął znowu. – Czyż ma tu zawsze przychodzić do szycia?

– Zawsze? Póki będzie taka, jak dotąd, skromna, cicha, pracowita i rozsądna, i będzie potrzebowała pomocy, której w ten sposób udzielić jej mogę, może przychodzić tak długo, jak zechce, dopóki się będzie Panu Bogu podobało zachować mnie przy życiu.

– I nic więcej? – spytał Jeremiah, mrużąc oczy i gładząc swój podbródek.

– A czegoś chciałbyś więcej? – surowo przemówiła pani Clennam.

Długą chwilę trwało zupełne milczenie, biednej Affery zdawało się, czy śniło, że mąż i pani Clennam patrzyli sobie w oczy dziwnym wzrokiem. Na koniec usłyszała przytłumiony szept Jeremiaha.

– A wie pani, gdzie ona mieszka?

– Nie.

- Ale chce pani wiedzieć!
- Gdybym chciała, mogłam ją przecież zapytać i wiedziałabym dawno.
- Więc pani nie życzy sobie znać jej adresu?
- Nic mnie to nie obchodzi.

Jeremiah westchnął głośno i głęboko, potem mówił powoli, kładąc nacisk na każde słowo.

- Co do mnie, wiem, gdzie mieszka, dowiedziałem się, przypadkiem naturalnie.
- Gdziekolwiek mieszka – podniosła znów głos pani Clennam, nie mniej wyraźnie wymawiając każdy wyraz – jest to jej tajemnica, i nie mam bynajmniej zamiaru jej badać.
- To najwygodniej! – zauważył Flintwinch.

– Jeremiahu – zaczęła surowo pani Clennam – nie skarżę się, nie szemrzę na Boskie wyroki, które mnie tu przykuły w czterech ścianach, lecz jeśli to przymusowe więzienie odcięło mnie od świata i wszystkich jego przyjemności, daje mi także prawo nie widzieć i nie wiedzieć wielu rzeczy.

Affery usłyszała nagle ruch fotela i mocne szarpnięcie dzwonka. Skoczyła z wielkiem przerażeniem, zbiegła ze schodków, wpadła do kuchenki, usiadła przed kominkiem, i drżąc cała w lęku przed jakimiś widziadłami, zarzuciła fartuch na głowę.

Dzwonek odezwał się znowu raz, drugi, ale ona jakby zamarła. Usłyszała na schodach ciężkie kroki męża, ale zdawało jej się, że za cenę życia nie mogłaby poruszyć ani jednym palcem. Czuła, że Jeremiah stanął przy niej. Nagle gwałtownym ruchem zerwał jej fartuch z głowy.

- Ach! – jęknęła zbudzona – taki straszny sen...
- Cóż u diabła! – zawołał – dzwonię dwadzieścia pięć razy! Czy nie wiesz, że czas na herbatę?
- Herbatę? – powtórzyła – ach, powiadam ci, Jeremiahu, że tu dzieje się coś strasznego – mówiła prawie z płaczem. – Tam, pod ścianą, słyszałam...

- Szczury... woda... koty... – mówił Flintwinch, świecąc sobie koło ściany, obejmując spojrzeniem spaczoną podłogę i poczerniały sufit.
- Nie, nie! – zaprzeczyła Affery z przekonaniem. – Ktoś chodzi, słychać, jak ociera się o ścianę, a potem coś upada, aż wszystko drży dokoła. To duchy, strachy, dom zaczarowany. Czułam dotknięcie ręki.
- Słuchaj – przerwał jej Flintwinch. – Radzę ci, rób herbatę i zapomnij

o strachach, bo jak ja dotknę cię ręką, to popamiętasz długo.

Pogróżka poskutkowała, Affery zajęła się skrzętnie herbatą, lecz nie zmieniła wcale przekonania. Wierzyła najmocniej, że dom był zaczarowany, zamieszkały przez duchy, strachy czy upiory, i żyła w ciągłej trwodze. W dzień drżała, rzucając dokoła niepewne spojrzenia, jakby się obawiała zobaczyć nagle coś strasznego, wieczorem nie wychodziła z pokoju inaczej, jak z głową zasłoniętą fartuchem.

Jeremiah wzruszał na nią ramionami, pani Clennam mierzyła zimnym, pogardliwym prawie spojrzeniem, Affery zaś była wciąż jak gdyby we śnie, otoczona tajemniczymi zjawiskami, i sama tajemnicza, drżąca, w półprzytomna.

Gdy usłyszała lekkie uderzenie kołatki, biegła otworzyć, wiedząc, że to małeńka Dorrit, ale jeżeli w progu gabinetu ujrzała stojącego Jeremiaha, który gładził podbródek, była przekonana, że nagle jakiś piorun uderzy w nich wszystkich, albo zginą, porwani przez nieczyste siły.

Raz wieczorem, wezwana uderzeniem kołatki, ujrzała przed sobą Arthura.

– Dobrze, że cię widzę, Affery, i że jesteś sama, chciałbym cię o coś zapytać – przemówił do niej cicho, rozglądając się uważnie dokoła.

Ale Affery, jak obłąkana, odskoczyła od niego, ręce podnosząc do góry.

– Nic nie pytaj, nic nie mów! – zawołała. – Boję się, boję! Boję! Boję się ludzi i boję się duchów. Nie wiem, czy śpię, czy żyję! Boję się – w tym strasznym domu!

I uciekła.

Rzeczywiście, podobne życie mogło ją doprowadzić do obłądki. Siedząc w kącie skurczona, w słabo oświetlonym pokoju, z natężonym słuchem na najlżejszy szelest, wpatrzona w mroczną przestrzeń zdawała się wywoływać wzrokiem jakieś widziadła, dla nikogo w tej chwili nieuchwytnie.

Zwykle jednak siedziała cicho, nie zwracając na siebie uwagi, i tylko niekiedy zrywała się nagle, wybiegając z krzykiem na środek pokoju.

– Słyszysz! Słyszysz ten szelest, Jeremiahu? – powtarzała, drżąc na całym ciele.

Ale szelestu już nie było słyhać, a Jeremiah groził jej pięścią, obiecując w ten dotkliwy sposób przywrócić ją do przytomności.

ROZDZIAŁ IX

SZCZĘŚLIWE GNIAZDO

W sobotę Arthur wybrał się dość wcześnie, ponieważ dzień był pogodny i suchy, odwiedzić znajomych z ostatniej podróży, państwa Meagles, którzy mieszkali kilka wiorst za miastem, w Twickenham. Postanowił przebyć tę drogę piechotą, gdyż czuł potrzebę ruchu na świeżym powietrzu, pragnął wydostać się chociaż na krótko spośród wysokich domów, kominów i ciżby, i pod szerokim niebem, pośród swobodnej przestrzeni „pozwoić myśli także błędzić i bujać swobodnie”.

Spotkanie z panem Meagles przypomniało mu ostatnią podróż i wiele miłych wrażeń, jakie tej rodzinie zawdzięczał. Oboje państwo Meagles byli ludźmi dobrymi, chociaż mieli swoje śmieszności, ich córka zwana przez wszystkich Pieszczotką była prześliczna, i na myśl o tym, że ją znów zobaczy, Arthur czuł przyspieszone bicie serca. Powtarzał sobie zawsze, że to niedorzeczność – mógł być prawie jej ojcem, a przecież widok dziewczyny, jej uśmiech, spojrzenie i życzliwe słówko, budziły w nim zachwyt, napełniały szczęściem.

Widział prawie jej miłą i śliczną twarzyczkę, lecz obok ujrzał zaraz duże czarne oczy i młode smagłe, pełne życia rysy, z jakimś dziwnym wyrazem. To Tattycoram, towarzyska jej dzieciństwa, parę lat od niej starsza, wzięta przez państwa Meagles niegdyś z domu podrzutków i wychowana z Mini, w charakterze służącej i towarzyszki zarazem.

Tattycoram nie była przeciętną dziewczyną, coś w niej przykuwało uwagę i budziło pytanie, jaka jest naprawdę. Arthur widział w niej objawy serdecznego przywiązania do jej pani i opiekunów, widział, że traktowana była przez wszystkich, jak gdyby należała do rodziny – jednak parę razy był świadkiem jej gniewnych szańców, kiedy rzucając wyrazy pełne nienawiści, wygłaszała najboleśniejsze skargi.

Był jednak przekonany, że nie miała do tego prawa.

Państwo Meagles mówili o tym ze współczuciem: dziecko, które nigdy nie znało rodziców! Dziecko, które nie było dla nikogo nigdy pieszczotką! To kalectwo, to rana, która sący gorycz.

Nie miała rodziców... On miał rodziców przecież, a jednakże... Czy „matka” choć raz w życiu była dla niego matką? A ojciec, dziwny, zalękniony człowiek, nieśmiały,

jakby zgięty pod ciężarem, którego dźwigać nie miał dosyć siły...

Myśl o sobie nasunęła Arthurowi inne pytanie, które coraz częściej stawało przed nim coraz wyraźniej: co będzie teraz robił?

Musi się wziąć do czegoś. Musi znaleźć zajęcie, które mu przyniesie dochód, bo nie jest dość bogaty, ażeby żyć z renty. Wcale nie może się nazwać bogatym. Interesy rodziców nie mogły być świetne: ojciec chory, złamany jakimś ciosem, pchał taczkę z dnia na dzień, aby dalej, do końca. A matka? Gdyby zachowała zdrowie, może by miała siłę podźwignąć z ruiny ten dom upadający, ale dzisiaj... I dlaczego nie chciała zamknąć raz tej „budy”? Przyzwyczajenie może, obawa bezczynności.

W każdym razie on z tym już nie ma nic wspólnego. Część swoją wycofał i czas wziąć się do innej pracy. Każdy dzień sprawiał uszczerbek w jego skromnym kapitale.

Tak idąc, zwrócił na koniec uwagę na innego piechura, który dążył w tę samą stronę krokiem spokojnym, pewnym. Kiedy zsunął kapelusz na tył głowy i zatrzymał się chwilę, wpatrując się w jakiś przedmiot w oddaleniu, Arthur poznał go nagle.

– Dzień dobry, panie Doyce! Zdaje się, że idziemy w jedną stronę.

Obcy spojrział na niego jakby z roztargnieniem.

– A, przyjaciel pana Meaglesa! – rzekł wesoło. – Bardzo mi przyjemnie, ale proszę mi wybaczyć, że zapomniałem pańskiego nazwiska.

Wkrótce zawiązała się swobodna rozmowa. Daniel Doyce był człowiekiem bardzo skromnym i nie lubił mówić o sobie, chociaż przemysł angielski zawdzięczał mu niejednego wynalazek. Syn kowala, ślusarz z zawodu, zdobył gruntowne i poważne wykształcenie dzięki wytrwałej pracy i wrodzonej inteligencji. Przez siedem lat pracował pod kierunkiem inżyniera-mechanika w jego prywatnych warsztatach i tam udało mu się pokonać wiele trudności, zdobywając fachową wiedzę. Mieszkał w Szkocji, w Lionie, w Niemczech, w Petersburgu, wiele się nauczył i zostawił wiele, w końcu zapragnął osiąść we własnym kraju i na jego usługi oddać swą pracę i talent.

Rozmawiali o mechanice, wynalazkach i Arthur podziwiał żywy umysł towarzysza, jego zamiłowanie fachu, skromność, prostotę i szczerść. Spytał wreszcie, jak może podołać sam wszystkiemu, czy nie ma współnika, który by się zajął praktyczną stroną jego interesów.

Okazało się, że pan Doyce właśnie poszukuje obecnie współnika do prowadzenia ksiąg, zawierania umów, buchalterii, korespondencji i w ogóle spraw biurowych. Miał kiedyś takiego towarzysza, lecz ten umarł już przed paru laty, a teraz nie może

trafić na człowieka, który by odpowiadał jego wymaganiom.

– Praktyczni ludzie mówią, i może mają słuszość – dodał ze szczerym uśmiechem – że teoretycy, do jakich się zaliczam, nie znają się zupełnie na życiowej stronie interesu. Toteż po części celem dzisiejszej wycieczki jest chęć porozumienia się w tej sprawie z panem Meagles. Ufam mu bardzo, on zna różnych ludzi i obiecał pomyśleć o wspólniku dla mnie.

Właśnie stanęli przed żelazną kratą otaczającą piękny i obszerny ogród; w którego głębi białą pałaczką z wieżyczką. Arthur pociągnął za rączkę od dzwonka.

W tejże chwili w alei naprzeciwko ukazał się pan Meagles, a tuż prawie za nim pani Meagles, a dalej Pieszczotka, wreszcie Tattycoram. Jakie miłe i serdeczne powitanie!

– Witajcie w naszej połączanej klatce – mówił pan Meagles. – Ciasno tutaj niby, lecz jesteśmy u siebie. Człowiekowi dobrze we własnym domu, kiedy się nabuja po szerokim świecie. Własne gniazdo zawsze najmiłsze.

I oprowadzał gości po klatce i gnieździe, gdzie wszystko było miłe, swoje i zaciszne. Jeden z pięknych pokoi, zwany Zagranicą, zawierał wszelkie przywiezione osobliwości: okazy, fotografie, malowidła. W innych było jasno, słonecznie, wesoło, dźwięczał śmiech srebrny albo piosenka Pieszczotki, świeże, barwne, kwitnące kwiaty przypominały piękną porę roku.

Do stołu zasiadło ich tylko pięcioro i nic nie zakłócało swobodnej rozmowy. Przypominali sobie wydarzenia, ludzi, jakich spotkali w ostatniej podróży, i czasem wybuchali wszyscy śmiechem lub rzucali poważne spostrzeżenie.

– A pannę Wade pamiętasz, panie Clennam? Ciekawy jestem, gdzie jest teraz.

– W Londynie – odpowiedziała Tattycoram, podając Mini jedwabną narzutkę, którą właśnie przyniosła.

– Widziałas pannę Wade, Tatty? – zawołała Pieszczotka. – Kiedy?

W oczach Tattycoram błysnęło zniecierpliwienie czy niechęć, ale odpowiedziała swobodnie:

– Spotkałam ją koło kościoła. Napisała do mnie, że chce się ze mną widzieć.

– Nie ciśnij mnie tak, Tatty! – zawołała Pieszczotka urażona.

Dziewczyna nagle cofnęła się, skrzyżowała ręce przed sobą i spojrzała wyzywająco.

– Napisała mi – zaczęła głośno, mierząc dumnym spojrzeniem swoją młodą panią – że jeżeli źle mi tu będzie, mogę się w każdej chwili udać do niej. Prosiła, żebym

pomyślała o tym i dała jej odpowiedź ustną tam, koło kościoła.

– Tatty – rzekła Mini łagodnie, wyciągając rękę za siebie.

Lecz Tattycoram stała wciąż nieporuszona, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Moje dziecko – rzekł pan Meagles – policz do dwudziestu pięciu!

Tatty zamrużyła nagle powiekami, rzuciła w jego stronę przelotne spojrzenie i na pewno nie doliczyła do dwudziestu, gdy pochyliła się ku swojej pani, która łagodnie powiodła ręką po jej twarzy.

Następnie szybko wybiegła z pokoju.

– Gwałtowny charakter – zauważył pan Meagles – ale dobre, uczciwe serce.

Wieczorem Mini grała i śpiewała, pan Meagles rozpytywał pana Doyce o jego ostatnie pomysły, pani Meagles mówiła o Pieszczotce, a Arthur słuchał i tłumił westchnienie, gdyż ciche, serdeczne współzycie tych ludzi zdawało mu się rajem.

Przed pójściem na nocny odpoczynek pan Doyce prosił o półgodzinną audiencję następnego dnia rano. Usłyszawszy to, Arthur został trochę dłużej i zwrócił się do pana Meagles.

– Mam do pana prośbę.

– Bardzo mi będzie miło coś dla pana uczynić.

– Znamy się niezbyt długo, lecz w podróży zbliżyły nas okoliczności. Byłem z panem dość szczery w moich osobistych sprawach i kierując się pańskim zdaniem, wycofałem swój udział z interesu, który prowadzili rodzice.

– Postąpiłeś pan praktycznie – rzekł pan Meagles.

– Może. Lecz teraz szukam dla siebie zajęcia. Dziś, idąc z panem Doyce, dowiedziałem się od niego, że potrzebuje współnika, który by się zajął handlową częścią interesu i po części administracją. Zdaje mi się, że mógłbym się podjąć tego sumiennie. Pan Doyce robi na mnie jak najlepsze wrażenie. Pan zna go lepiej i jego warsztaty. Wiem, że ma zamiar jutro mówić z panem właśnie w tej kwestii, więc jeśli pan sądzi... jeżeli pan uważa, że byłbym odpowiedni... że mógłby mnie pan polecić...

– Zapewne... niewątpliwie – mówił pan Meagles z namysłem.

– Naturalnie włożyłbym w ten interes pewien kapitał, a zresztą... to dopiero propozycja. Nie wiem, co powie pan Doyce... nie wiem, co pan o tym sądzi... nie wiem nawet, nie znając zupełnie szczegółów, czy dla mnie jest to zupełnie możliwe, ale... to mnie pociąga.

– Zobaczmy – mówił pan Meagles. – Nie mogę nic w tej chwili odpowiedzieć.

Wiem tylko, że pan Doyce jest najuczciwszym człowiekiem. Więc może jutro wyjdziecie stąd jako współnicy, ażeby stanąć razem przy warsztacie. Ale nic nie obiecuję, panie Clennam.

Pomimo to Arthur tak był przejęty tą myślą, tak rozpatrywał uważnie swój projekt, że nie mógł zasnąć w nocy, obudził się wcześniej i wyszedł przed śniadaniem zwiedzić trochę okolicę i pobłądzić nad rzeką płynącą w pobliżu.

Arthur lubił naturę, działała na niego kojąco, więc po kilku godzinach spaceru wracał z pogodą ducha, gdy spotkał się przed furką z nieznanym młodzieńcem, którego poprzednio już widział nad rzeką. Młodzieniec prowadził ze sobą pięknego psa Terre-Neuva i swobodnie gwizdał jakąś wesołą arię.

Był to malarz, Henryk Gowan, sąsiad i dawny znajomy państwa Meagles. Weszli razem do domu. Arthur jednakże zaraz zauważył, że o ile twarzyczka Mini rozjaśniła się na jego widok, o tyle czoło jej ojca powlokło się chmurą. I zniknęła bez śladu wczorajsza swoboda, choć gość był wesoły, śmiejący się, rozmowny, i sam jeden tylko może tego nie odczuwał.

Arthur i Daniel Doyce odetchnęli, znalazłszy się na koniec znów na drodze powrotnej. Czas długi szli w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Sprawa spółki nie była jeszcze rozstrzygnięta, więc tymczasem nie poruszali tego przedmiotu, a ponieważ trudno, idąc obok siebie, unikać wszelkiej rozmowy, Arthur spytał o pana Gowana.

Pan Doyce go nie lubił, nie wierzył w jego talent, państwo Meagles nieraz wyjeżdżali, żeby usunąć córkę spod jego wpływu, zdaje się jednak, że Mini postawi na swoim. Nie można wątpić, że jej się pan Henryk podoba.

– Tak – szepnął Arthur z uczuciem zazdrości i westchnął, myśląc, że ten skarb, po który on nie śmiał sięgnąć myślą, weźmie taki, który go ocenić nie umie.

Kiedy wchodzili do miasta, zaczął padać drobny deszcz, smutny, chłodny, przejmujący, deszcz jesienny. W duszy Arthura także zgąsło słońce, w pustym swoim pokoju uczuł się dziwnie samotny i tym więcej pragnął zabrać się do pracy, która pozwala zapomnieć o smutkach, gdy się jej odda szczerze.

ROZDZIAŁ X

WIELBICIEL MAŁEJ DORRIT

Mała Dorrit miała także wielbiciela: nawet w więzieniu młodość ma swe prawa.

Był nim młody John Chivery, syn odźwiernego. Znał ją od dziecka i bawił się z nią na podwórzu, kiedy odwiedzał stryja, który piastował wówczas klucze Marshalsea. Skoro po jego śmierci ojciec Johna odziedziczył godność będącą przywilejem tej rodziny, młodzieniec z wdzięcznością przyjął uśmiech losu, który zbliżał go do ideału.

John był małego wzrostu, nogi miał nieco słabe, blond włosy nieco rzadkie. Jedno oko, cokolwiek większe od drugiego, stale wyrażało zdziwienie. Duszę jednak posiadał wierną, poetyczną i zdolną do poświęcenia.

O rok starszy od Amy, miał dwadzieścia trzy lata skończone, mieszkał z matką w niewielkim domku przy sąsiedniej ulicy, gdzie ta dzielna kobieta prowadziła handel tytoniem i każdej niedzieli ośmielał się składać swoje uszanowanie panu Dorrit, ofiarując mu paczkę cygar.

Ojciec Marshalsea nie odrzucał daru i przyjmował uprzejmie skromnego młodziana, co tego podniecało do słodkich marzeń i budziło upajające nadzieje.

Bo dlaczegoż nie mógłby zostać mężem Amy? Czyż nie była dzieckiem więzienia, którego klucze spoczną kiedyś w jego rękę? Wówczas zamieszkaliby oboje w pokoiku, który teraz wynajmowała dla siebie i z którego spojrzenie sięgało swobodnie poza mury Marshalsea. Ustawiliby na małym okienku cały szereg doniczek z pięknymi kwiatami i zielonymi liśćmi, i mogłoby się zdawać, że mieszkają w gaju.

Jakże poetyczne byłoby ich życie, z dała od świata, który znalazłby jedynie z opowiadania więźniów i ich gości! Myśląc o tej sielance, John zalewał się łzami i kończył obraz szczęścia, wyobrażając sobie kamienny pomnik na pobliskim cmentarzu, gdzie po latach spoczną oboje z małżonką, a napis świadczyć będzie o ich cichym szczęściu.

Tu leży

JOHN CHIVERY,

który przez lat 60 pełnił obowiązki dozorca i odźwiernego więzienia,

*ur. 1806 r., umarł 80-letnim starcem,
otoczony powszechnym szacunkiem.
Tu leży także jego ukochana i kochająca żona,
AMY, CÓRKA WILLIAMA DORRITA,
która nie przeżyła męża o 48 godzin. Urodziła się, żyła
i zmarła w więzieniu Marshalsea.*

Rodzice Johna wiedzieli o jego miłości, której zresztą ukryć było niepodobna, tym bardziej że powodowała roztargnienie, a często zaniedbanie w praktycznych zajęciach odnoszących się do sklepu tabacznego. Toteż matka rozważyła rzecz poważnie i doszła do przekonania, że związek dla obu stron jest możliwy i pożądany, a spełnienie nadziei jedynaka pod każdym względem uważać można za korzystne. Małżeństwo Johna z panną Dorrit podniosłoby powagę i znaczenie przyszłego urzędnika Marshalsea, gdzie pan Dorrit cieszył się taką powagą. Nie ulega też kwestii, że jeśli za Johnem przemawia stanowisko i trochę oszczędności, to panna Dorrit ma za sobą urodzenie. Uwieńczenie zaś pragnień serca jedynej latorośli szlacheckiego rodu Chivery należało przyspieszyć jeszcze z tego powodu, że młodzieniec zawsze był wątłego zdrowia, a niepewność doprowadzić może do rozpacy i zgasić życie drogiego potomka.

Ojciec Chivery słuchał małżonki z uwagą i pod wpływem jej niepospolitej wymowy dochodził do zupełnie tych samych przekonań, więc uderzając syna po ramieniu, dodawał mu odwagi i zachęcał do wyznania gorących uczuć, które niewątpliwie będą ocenione.

Tym sposobem atak i szturm ostateczny był tylko kwestią czasu, lecz do tej pory biednemu Johnowi wytręcało broń z ręki zachowanie się rodzeństwa Amy.

Naturalnie wszyscy wiedzieli, co się święci, i Fanny nie opuściła żadnej sposobności, aby spojrzeć na Johna tak wyniosłe, iż musiał odczuć całą rozległość przestrzeni, jaka ich rozdzielała. Co do Tipa, ten występował w roli oburzonego brata i głośno powtarzał groźby, skierowane do bezimiennego zuchwalca, którego – zdawało się – lada chwila zmiażdży i zetrze z drogi swej rodziny.

Amy o zdanie nie pytano wcale, ale ojciec Marshalsea ze względów taktycznych bardzo uprzejmie przyjmował w niedzielę cygara i bywał tak łaskawy, że przechadzał się z Johnem parę razy po podwórzu, paląc i rozmawiając w sposób protekcyjny. Ojciec Chivery, wzruszony głęboko tą grzecznością prawdziwego dżentelmena, proponował mu wtedy odpoczynek na własnym fotelu u wejścia i dawał do

rozumienia, że jeżeli pan Dorrit życzy sobie wyjrzeć na zewnętrzne podwórze, skąd widać kawałek ulicy, on nie miałby nic przeciw temu.

William Dorrit odmawiał, gdyż w owej epoce ulica już nie miała dla niego powabu, lecz o ojcu i synu wyrażał się życzliwie, oceniając szacunek, jaki mu okazowali.

Wśród tych sprzecznych prądów i wrażeń zdrowie, odwaga i uczucia Johna były, jak młode drzewko, wystawione na burze i wichury, które w dzień pogodny uspokajał łagodny promyk słońca.

Wreszcie pewnej niedzieli przywdział najpiękniejsze ubranie, kamizelkę aksamitną w złote kwiatki, żółty halsztuk z liliowymi bażantami, spodnie ozdobione potrójną naszywką i wysoki cylinder. Oprócz tego miał łaskę z rączką z kości słoniowej, białe rękawiczki i pudełko najlepszych (prawie) cygar.

W tak okazałym stroju minął furtkę Marshalsea, a ponieważ pan Dorrit miał dziś wielu odwiedzających, przechadzał się czas jakiś po podwórzu, oczekując szczęśliwej chwili.

W końcu zapukał do drzwi, został zaproszony i stanął przed obliczem ojca ukochanej. Pan Dorrit siedział swobodnie przy stole, obok parę krzeseł czekało na gości, na serwecie leżało trochę zapomnianych widocznie szylingów.

– Dzień dobry, Johnie, bardzo mi przyjemnie cię widzieć. Zdrów jesteś, jak się zdaje?

– Dziękuję panu. Mam nadzieję, że pańskie zdrowie jest w dobrym stanie? Ośmieliłem się przynieść parę cygar.

– Dziękuję, Johnie, ale to zupełnie niepotrzebnie. No, już nic nie mówię, nie chcę ci sprawiać przykrości. Połóż tam, na kominku. Siadaj, chłopcze, jesteśmy przecie starzy i dobrzy znajomi.

– Dziękuję bardzo. Pan zawsze tak łaskaw. Panna Amy zdrowa?

– Dziękuję. Wyszła na przechadzkę. Młodzi często wychodzą, to rzecz naturalna. Zapewne się przechadza po wiszącym moście. Od niejakiego czasu bardzo lubi to miejsce. Już idziesz, Johnie? Bardzo ci dziękuję. Nie zdejmuj rękawiczki, nie jesteś przecie obcy. Do widzenia.

John biegł przez ulicę przyspieszonym krokiem, kierując się w stronę wiszącego mostu. W pierwszej chwili zdawało mu się, że jest pusty, wreszcie spostrzegł Amy, opartą o poręcz i patrzącą na rzekę. Była tak zamyślona, że go nie dostrzegła, chociaż przeszedł koło niej raz i drugi. Zatrzymał się wreszcie obok.

– Panna Dorrit!

Zadrżała i odstąpiła parę kroków, jak gdyby przerażona widokiem młodzieńca. Patrzyła na niego niespokojnie. Nie było to zachęcające przyjęcie i John zmieszał się bardzo.

– Przeszkodziłem pani, panno Amy – odezwał się nieśmiało.

– Rzeczywiście... trochę... – odparła łagodnie – myślałam, że jestem tu sama.

– Przepraszam panią – szepnął John nieśmiało – lecz ojciec pani, którego miałem zaszczyt odwiedzić, powiedział...

Amy zasłoniła nagle twarz rękami i szepnęła:

– Ach, ojcze, ojcze! – takim bolesnym głosem, że serce Johna uderzyło najgorętszym współczuciem.

– Panno Amy – zaczął żywo – ojciec jest zdrow, zastałem go w dobrym humorze, był dla mnie tak uprzejmy, że... że...

– Ach, ojcze! ojcze! – powtórzyła biedna dziewczyna, nie odsłaniając oczu.

Nagle wyjęła chustkę, przycisnęła ją do twarzy i szybko iść zaczęła w stronę domu.

John stał na miejscu, niby skamieniały. Lecz po chwili ruszył za nią biegiem.

– Panno Amy, proszę – wołał drżącym głosem – niech się pani zatrzyma. Ja odejdę, jeśli pani chce być sama!

Zatrzymał ją ton szczerego bólu w głosie niefortunnego wielbiciela.

– O Boże! Co ja mam zrobić? – zawołała prawie z rozpaczą.

John nie widział jej nigdy w takim uniesieniu. Zawsze była spokojna i pogodna. Toteż zadrżał od czubka kapelusza aż do nowych podeszew swojego obuwia. Pragnął się wytłumaczyć i usprawiedliwić. Nie chciał przecież wyrządzić jej żadnej przykrości, a tym bardziej obrazić.

– Panno Amy – zaczął drżącym głosem – ja nie wiem doprawdy... ja rozumiem... żaden Chivery nie był nigdy dżentelmenem. Ja wiem, że rodzina pani stoi daleko wyżej, i choć panna Fanny i pan Tip okazują mi to tak wyraźnie, ja wiem, że mają prawo, i chciałbym jedynie zasłużyć na ich łaską swoim postępowaniem, ale... ale...

Prawie zabrakło mu głosu i serce Amy musiało ocenić szczerą jego wzruszenia i uczucia. Więc spojrzała na niego smutno, lecz spokojnie i prosiła, ażeby nigdy nie wspominał o różnicy urodzenia między nimi i żeby był zupełnie przekonany, iż pod żadnym względem nie uważa go za niższego.

Słabe nogi chwiały się podczas tych słów pod Johnem, pomimo tak ozdobnych i nazywanych spodni, ale nowa fala odwagi wezbrała mu w sercu.

– Panno Dorrit – wyjąkał, zwracając błagalnie na nią swe większe oko, wilgotną mgłą zasnutę – od wieków, już od wieków umieram z pragnienia... chcę coś pani powiedzieć. Czy pozwolisz?

Małeńka Dorrit odwróciła się mimo woli i zaczęła biec, jak gdyby uciekała przed pogonią.

John szedł za nią, przyspieszając ciągle kroku i przemawiając głosem przerywanym.

– Czy pozwolisz, panienko Dorrit?... Czy pozwolisz?... Jestem tak nieszczęśliwy!... Nie przemówię bez twego pozwolenia... Panno Dorrit, ja bym wolał skoczyć w rzekę z tego mostu, niż sprawić pani przykrość... O, panno Dorrit!

Amy zatrzymała się w połowie mostu prawie spokojna. Wiedziała już, co ma zrobić.

– Johnie – przemówiła głosem łagodnym, choć drżącym – skoro żądasz ode mnie pozwolenia, więc proszę cię... nic nie mów.

– Nigdy, panno Amy?

– Nigdy, jeśli łaska.

– Boże! O Boże! – szepnął.

– I jeszcze chciałam cię prosić o jedno. Nie uważaj nas nigdy, mnie i mego rodzeństwa, za coś wyższego od siebie. Ojciec był czymś przed laty, ale to minęło i nie powróci nigdy. O mnie myśl jak najmniej, dobry Johnie. Jak najmniej. To będzie dla nas obojga najlepiej, i o to cię proszę. Znamy się od dzieciństwa, pozostanmy dla siebie, czym byliśmy dotąd. Czy spełnisz moją prośbę?

John był okropnie blady, zdawało się, że z trudem stoi na słabych nogach, przyrzekł jednak, że choć jest najnieszczęśliwszym z ludzi, spełni, czego żąda od niego panna Dorrit, gdyż jej wola na zawsze będzie dla niego prawem.

– Więc do widzenia, Johnie – rzekła, podając mu rękę. – Życzę ci, żebyś znalazł dobrą żonę, i jestem pewna, że będziesz szczęśliwy, bo zasługujesz na to. Do widzenia.

Ujął podaną rękę i trzymał ją, walcząc z bólem i wzruszeniem. Biedne serce pod kamizelką w złote kwiatki biło mocno, nierówno i gwałtownie, nagle wybuchnęła łzami.

– Nie płacz, Johnie! – zawołała z żywym współczuciem Amy. – Proszę cię, nie płacz. I bądź zdrow, dobry Johnie. Niech cię Bóg błogosławi.

– Zostań z Bogiem, panno Amy!

I pobiegł szybko naprzód.

Amy usiadła na ławce, zasłoniła twarz chustką i oparła głowę o poręcz, jak gdyby nie mogła unieść jej ciężaru.

A biedny John przebiegał szybkim krokiem najciaśniejsze ulice i zaułki, układając w rozpaczny nowy nagrobek dla siebie:

Tu leżą śmiertelne szczątki

JOHNA CHIVERY,

zabitego w kwiecie wieku ciosem nieszczęśliwej miłości.

Ostatnim tchnieniem prosi najdroższych rodziców,

aby nad prochem jego wypisali imię ukochanej: Amy.

ROZDZIAŁ XI

WIELKI ŚWIAT

Od kilku dni Amy niepokoiła się o siostrę i chciała się rozmówić z nią jasno i szczerze z powodu pięknej złotej bransoletki, którą Fanny dostała od żony bankiera, pani Merdle.

Nawet w Marshalsea wiedziano, że bankier Merdle jest może najbogatszym człowiekiem na całym świecie. Nikt nie umiał powiedzieć, ile milionów posiada. Więc za co jego żona dała Fanny bransoletkę?

Z tą myślą wstała rano w poniedziałek, lecz nie mogła wyjść wcześniej, bo musiała przygotować dla ojca śniadanie i uprzątnąć jego pokój, a potem już Fanny nie zastała w domu. Udała się więc za nią do teatru.

Chociaż niełatwo było znaleźć Fanny wśród przejść i korytarzy, nagromadzonych gratów, dekoracji, Amy jednak wytrwale szła do celu i wreszcie jakiś człowiek wskazał jej kącik, gdzie mogła na siostrę zaczekać, aż na scenie skończy się próba.

Siedziała i czekała, obojętnym wzrokiem patrząc na przesuwających się ludzi, nie słuchając, co mówili i krzyczeli, bo cóż to wszystko mogło ją obchodzić?

Ukazała się w końcu i Fanny. Była bardzo zdziwiona, wręcz niezadowolona, ale na Amy przecież gniewać się nie można, zaczęwały więc tylko, aż się wszyscy rozeszli, i wyszły na ulicę, zabrawszy stryja Fredericka.

Mała Amy w ciemnej sukience, obok pięknej i strojnej Fanny, wyglądała jak jej służąca lub uboga protegowana. Fanny miała modny kapeluszyk z kwiatami, jasną bluzkę i parasolkę, eleganckie buciki, ruchy śmiałe i pewne, wyraz twarzy zadowolony. Amy patrzyła na nią ze szczerym podziwem.

– Więc tak bardzo zaniepokoiłaś się o mnie? – przemówiła Fanny z uśmiechem. – Jednak mam przekonanie, że znam świat lepiej od ciebie i potrafię sobie z nim radzić. My się bardzo różnimy, moja droga Amy. Widzisz, ja się nie urodziłam w więzieniu, i być może dlatego jest coś we mnie z owej przeszłości, kiedy ojciec zajmował inne stanowisko w świecie. Zresztą przedstawię ci całą historię, tylko pozbędziemy się stryja, który pójdzie sobie na obiad.

Załatwiwszy z nim sprawę, odwróciła się znowu do siostry.

– Czy nie jesteś zanadto zmęczona, aby udać się ze mną na Cavendish Square?

Wymówiła niedbale, ale z pewną dumą nazwę arystokratycznej ulicy i spojrzała na siostrę. Amy zapewniła, że może iść wszędzie.

Niewiele rozmawiając, znalazły się wreszcie w tej najbogatszej dzielnicy Londynu. Fanny stanęła przed najwspanialszym pałacem i zadzwoniła śmiało.

Upudrowany lokaj otworzył natychmiast drzwi. Za nim ujrzały dwóch innych lokajów, równie strojnych i pudrowanych, lecz skoro tylko Fanny wymieniła swoje nazwisko, oświadczając, iż pragnie widzieć się z panią Merdle, wszyscy trzej lokaje pochylili głowy, a jeden z nich oświadczył, iż pani jest w domu i prosi pannę Dorrit.

Pod jego przewodnictwem weszły po szerokich schodach, na których miękki dywan tłumił odgłos kroków, i podziwiając brązy, lustra i obrazy, mijaly szereg wspaniałych salonów. W jednym z nich lokaj prosił je uprzejmie, aby zechciały spocząć, a sam poszedł dalej.

Amy rozglądała się wkoło olśniona. Najświeńsze jej marzenia o przepychu nie mogły się porównać z cieniem tej rzeczywistości, i może chciała zwierzyć się z tym siostrze, ale Fanny zsunęła brwi surowo i oczyma wskazała jej portierę u drzwi. Amy umilkła, a spoza portiery ukazała się wkrótce strojna, piękna dama, obwieszona wspaniałymi klejnotami, które okrywały jej szyję, biust i ręce.

– Moja siostra, pani Merdle – zaprezentowała je sobie Fanny.

– Bardzo mi przyjemnie, panno Dorrit, ale nie wiedziałam, że pani ma siostrę.

– Nie mówiłam pani o tym – odpowiedziała Fanny.

– Artystka? – zapytała pani Merdle, patrząc na Amy przez lorgnon.

– Nie – krótko odrzekła Fanny.

– Nie? W istocie nie wygląda na artystkę, jakkolwiek jest zachwycająca.

– Moja siostra – zaczęła Fanny tonem obojętnym i wyniosłym zarazem – jest ciekawa, jakim sposobem miałam zaszczyt i przyjemność poznać panią. A ponieważ stosownie do życzenia pani byłam obowiązana odwiedzić ją raz jeszcze, ośmieliłam się przyjść z siostrą, aby z ust pani usłyszała tę historię. Czy pani zechce powiedzieć jej, czemu zawdzięczam jej łaskę?

– Zdaje mi się – zauważyła pani Merdle – że wiek tej młodej osoby...

– Jest niewiele młodsza ode mnie – wtrąciła Fanny – chociaż rzeczywiście wygląda na dziecko.

– W takim razie... – zaczęła pani Merdle. – Cicho, ptasiu.

Ostatnie słowa zwrócone były do papugi, która uważała za swój obowiązek mieszać się głośno do każdej rozmowy.

– Ponieważ siostra pani życzy sobie – z uśmiechem przemówiła pani Merdle do małej Dorrit – abym na zakończenie naszego spotkania wyjaśniła okoliczności, które dają o niej najpochlebniejsze świadectwo, postaram się zastosować do jej prośby. Mam syna, panno Dorrit. Młody chłopiec, lat dwadzieścia parę (po raz pierwszy bardzo młodo wyszłam za mąż). Młody człowiek, wesoły, trochę lekkomyślny, rzecz zwykła w jego wieku, nadzwyczajnie wrażliwy estetycznie, miękkiego serca. Może po mnie odziedziczył tę wrażliwość, gdyż jestem jak mimoza... Cicho, ptasiu!

Poprawiła się w swoim miękkim gniazdku, wśród purpurowych i złotych poduszek, i zaczęła mdlejącym głosem:

– Syn mój nadto wrażliwy, jako młody człowiek, a świat ma wymagania, pewne zasady i formy... Nie żyjemy w stanie natury, pani to rozumie przecież?... Cicho, ptasiu!

Przesunęła lśniącem od brylantów palcem po kruczych brwiach i westchnęła.

– Matka tylko zrozumieć może moją trwogę, skoro przed kilku dniami dowiedziałam się przypadkiem od bardzo życzliwej osoby, że syn mój, nierozważny młody człowiek, bez wiedzy matki zaproponował małżeństwo pięknej tancerce, prawdziwej ozdobie jakiegoś drugorzędneho teatryku... Oceeniłam niebezpieczeństwo w mgnieniu oka i bez wahania udałam się osobiście do owego nieznanego teatryku, aby ostrzec młodą osobę. Artyści tak nie zdają sobie sprawy ze swego stosunku do życia! Cicho, ptasiu!

– Przekonała się pani jednak, że jej obawy o syna były przesadzone – zauważyła Fanny.

– Przekonałam się, że piękna tancerka, której się obawiałam, jest osobą z ambicją, osobą nieco żywą, energiczną w słowach, ale rozumiejącą wymagania towarzyskie, czego dała najlepszy dowód, odmawiając memu synowi swej ręki. Z tego powodu...

– Może pani zechce dodać – przerwała Fanny żywo – iż odmowa moja poprzedziła ukazanie się pani w teatrze. Wyraźnie wówczas powiedziałam pani, iż jakkolwiek los obszedł się z nami okrutnie, pod względem urodzenia i pod względem towarzyskim nie uważam się za niższą od państwa, a małżeństwo z panem Sparkler nie byłoby dla mnie zaszczytem.

Pani Merdle w milczeniu obserwowała Fanny przez lorgnon i z najsłodszyim uśmiechem skinęła jej głową twierdząco.

– Właśnie to samo chciałam powiedzieć twojej siostrze, panno Dorrit – zapewniła. – Postąpiłaś bardzo rozumnie i zupełnie samodzielnie, toteż byłam tym

tak wzruszona, iż nie biorąc ci za złe pewnej goryczy w słowach, pod wpływem najszczerzego dla ciebie uznania zdjęłam z ręki bransoletkę i prosiłam, abyś zechciała ją przyjąć na pamiątkę porozumienia się w tej sprawie. Cicho, ptasiu!

– Chciałam tylko, ażeby pani pamiętała, że choć ubodzy dziś i nieszczęśliwi, jesteśmy zawsze dziećmi dżentelmena i tego nam nikt nie odbierze.

– Słowem – zakończyła pani Merdle – rozstałyśmy się w zupełnej przyjaźni, i prosiłam uprzejmie siostrę pani, aby była tak dobra udać się do mej krawcowej i przyjąć ten skromny dowód mojego poważania.

– Fanny! – szepnęła Amy, podnosząc na siostrę pełne wyrazu spojrzenie.

– Pozostaje mi jeszcze dodać – rzekła Fanny – iż spełniając pani kolejne życzenie, stawiałam się dzisiaj w jej domu.

– Za co jestem prawdziwie wdzięczna – zapewniła uprzejmie pani Merdle. – Miło mi było poznać obie panie i proszę mnie zachować w swej pamięci.

Obie siostry wstały, aby się pożegnać, pani Merdle podała każdej usianą brylantami rękę i Amy spostrzegła ze ściśniętym sercem, że coś dzwiczącego upadło przy tym w rękę Fanny.

– Życzę paniom wszystkiego najlepszego – mówiła jeszcze dama z uśmiechem i skinieniem głowy, po czym nacisnęła dzwonek i natychmiast zjawił się upudrowany lokaj, ażeby przeprowadzić panny Dorrit do wyjścia.

I znowu szły w milczeniu po szerokich schodach: Fanny dumna, z wysoko podniesioną głową, Amy upokorzona i smutna.

– Czy jesteś zadowolona? – zapytała Fanny, gdy się znalazły na chodniku. – Nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

– Cóż ci mogę powiedzieć? – rzekła smutnie Amy. – Ale ty go nie kochałaś?

– Jego? – zawołała Fanny. – Przecież to prawie idiota.

– Jest mi bardzo przykro – wyszeptwała Amy – ogromnie, ogromnie przykro. Dlaczego przyjął od niej prezent, Fanny?

– Głuptasie! – zawołała Fanny pogardliwie. – Kpię z jej syna, z jej obłudy i brylantów, lecz niechaj płaci za to, że śmiała się nade mnie wynosić. Nic innego nie mogę jej dziś zrobić.

Amy milczała. Może siostra miała słuszość, ona przecież lepiej zna świat i ludzi, ale Amy woli go nie znać i w głębi duszy zostać przy swoich przekonaniach. Wolałaby nie widzieć bransoletki Fanny, ale skoro jej oddać niepodobna, woli wiedzieć, skąd i za co ją dostała.

Tak, o Fanny tymczasem może być spokojna, ale co będzie z Tipem? Ma miejsce w sali bilardowej, nosi kurtkę ze srebrnymi guzikami i dostaje na miejscu życie. Lecz czy wytrzyma długo i czy to odpowiednie dla niego zajęcie?

I cóż to jest za człowiek, który chciał żenić się z Fanny? Nazwała go idiotą, jednakże – nie mówi to źle o nim, że pokochał Fanny i uczciwie zaproponował jej małżeństwo. Może to śmieszne, ale chciałyby go poznać.

Nie przypuszczała nawet, że w tym może jednym wypadku byłaby się zgodziła z Fanny najzupełniej. Pasierb milionowego bankiera i syn wspaniałej damy, po której odziedziczył wrażliwość mimozy, słynął z braku mózgu w świecie złotej młodzieży, z którą się bawił i gdzie sypał pieniądze. Opowiadano o nim anegdotki, śmiano się z pustej głowy, ale ściskano ręce, bo przecież jego ojczym to milioner, a matka za brylanty, które na co dzień dźwiga na sobie, mogłaby spłacić długi niejednego z „przyjaciół” syna. Taki może się obejść bez rozumu.

ROZDZIAŁ XII

ZAGADKI

W Rozdartym Sercu nad warsztatami pana Doyce ukazał się nowy szyl: Doyce i Clennam. Pan Meagles pośredniczył przy układaniu warunków, hamując bezinteresowność współników, z których każdy bał się pokrzywdzić drugiego. Daniel Doyce z całą energią mógł się teraz zabrać do pracy, wiedząc, że jego księgi i rachunki doprowadza do porządku sumienny i gorliwy kolega. Arthur Clennam, złożywszy do wspólnego wkładu określony przez pana Meagles kapitał, pozostawił sobie zaledwie kilkuset funtów, lecz czuł radość, że ma warsztat pracy, który otwiera pole dla jego sił, zdolności i energii.

Nie mając teraz wiele swobodnego czasu, mniej widywał znajomych i rzadziej pojawiał się w Marshalsea. Zresztą pociągała go tu głównie Amy, której los bardzo żywo go interesował. Stosunek z panem Dorrit nie miał podstaw: ojciec Marshalsea z niezadowolaniem przekonywał się, że nowy przyjaciel mniej jest skory do upominków, niż można było sądzić po pierwszej wizycie. Arthur czuł się skrupowany prośbą Dorrit, a jej samolubny ojciec nie budził w nim głębszej sympatii.

Pomimo to pan Dorrit był zawsze w stosunku do niego uprzejmy, przypisując zatwardziałość gościa pod tym względem niedomyślności, którą może da się z czasem usunąć.

Pewnego dnia jednakże Clennam odwiedził Marshalsea i zdziwiło go niezmiernie, że odźwiorny, Chivery, który oczekiwał widocznie, aż będzie powracał, wyszedł z nim aż na zewnętrzny dziedziniec i przyciskając do ust klucz na znak dyskrecji, zapytał tajemniczo:

- Bardzo przepraszam pana, w którą stronę pan idzie?
- W stronę mostu – odpowiedział Clennam zdziwiony.
- Jeszcze raz bardzo pana przepraszam, ale czyby pan nie zechciał wstąpić pod ten adres – podał zapisaną kartkę – do sklepu z cygarami mojej żony. Bardzo pana przepraszam, ale to jest rzecz delikatna... w sprawie... przepraszam pana... w sprawie maleńkiej Dorrit.

– W takim razie jak najchętniej wstąpię do pańskiej żony – odrzekł Arthur.

– O, bardzo będę wdzięczny, proszę pana! To dziesięć minut drogi stąd.

Uklonił się i wrócił pospiesznie do furtki, gdzie już paru odwiedzających oczekiwało, ażeby im otworzył.

Arthur udał się pod wskazany adres. W małym sklepiku zastał pokaźną kobietę, siedzącą za ladą i zajętą szyciem.

Oświadczył jej, że przybył od jej męża w sprawie Amy.

Pani Chivery odłożyła natychmiast robotę, westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

– Jeśli pan życzy sobie go zobaczyć, to może pan zechce rzucić okiem na podwórze.

I wypowiedziawszy te tajemnicze wyrazy, wyprowadziła gościa do małego pokoju za sklepem, skąd przez maleńkie okno widać było niewielkie, zawieszane bielizną podwórze. Prześcieradła, serwety i inne mokre sztuki, rozwieszane na sznurze, usiłowały wyschnąć, co nie było wcale łatwe z powodu braku suchego powietrza – a pośród nich na krześle siedział młody człowiek, niby samotny majtek pośród żagli.

– To nasz John – rzekła pani Chivery z naciskiem.

– Cóż on robi? – zapytał Clennam, pragnąc dojść do zrozumienia tej zagadki.

– To jedyna jego rozrywka – westchnęła, potrząsając głową pani Chivery. – Nie chce wyjść z domu nawet na podwórze, jeżeli tam nie suszy się bielizna. Ale między bielizną siedzi godzinami, tak, godzinami, i mówi, że mu się zdaje, iż jest w gaju.

Otarła oczy fartuchem i powróciła z gościem do sklepiku.

– Proszę, niech pan siada – mówiła. – Pan się z pewnością dziwi, co się stało z Johnem, więc powiem panu jedno słowo: maleńka Dorrit. Przez nią pęka mu serce i niech pan sam powie, kto nam wynagrodzi, jeśli mu serce pęknie?

Oczekiwała chwilę na odpowiedź, potem zaczęła znowu.

– Pan ma wpływ na tę rodzinę, panie Clennam, pan jest z nimi w przyjaźni, więc czyby pan nie zechciał pomóc nam w tym nieszczęściu ze względu na tę małą i na Johna?

– Jestem tak zadziwiony – odezwał się wreszcie Arthur – tak nie mogę tego wszystkiego zrozumieć, że... przynajmniej muszę zadać kilka pytań. Czy panna Amy zna syna pani?

– Ależ, panie! Wychowywali się razem, bawili się od dziecka na podwórzu.

– Czy wie, że pani syn ją kocha?

– Zdaje mi się! – odpowiedziała z przekonaniem. – Widuje go co niedziela i chyba dosyć spojrzeć na łaskę, jaką sobie kupił. Taki John nie kupiłby przecież łaski z rączką z kości słoniowej! Skądże bym ja wiedziała, gdyby nie to?

– Może panna Dorrit nie rozumiała tego?

– W takim razie rozumiała, kiedy jej powiedział.

– Czy pani jest tego pewna?

– Proszę pana – przemówiła zacna matka głosem niedopuszczającym żadnej wątpliwości – własnymi oczami patrzyłam na niego, kiedy wychodził z domu, i własnymi oczami widziałam, kiedy wrócił. To już chyba wystarczy panu?

– Niezupełnie. Pragnąłbym wiedzieć, jak pani to sobie tłumaczy.

– Bardzo prosto, proszę pana, i każdy mi przyświadczy. Wszyscy wiedzą, że John był najporządniejszym chłopcem, i że od dziecka zawsze wodził za nią oczami. Tej niedzieli ubrał się pięknie i od razu wiedziałam, że idzie się oświadczyć. Ale cóż? Brat i siostra patrzą na niego z góry. Ojciec myśli o sobie i nie chce się pozbyć córki, której obecność jest mu wygodna, więc jak gdybym słyszała jej odpowiedź: „Nie, Johnie, nie wyjdę nigdy za mąż, zapomnij o mnie, znajdziesz lepszą żonę”. I naturalnie serce pęka biedakowi!

Biedna kobieta znów otarła oczy i zaklinała Arthura, aby zajął się szczęściem młodych, nie pozwolił zginąć jej synowi i wybawił maleńką Dorrit z niewoli samolubstwa.

Clennam słuchał uważnie i nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czy podobna, żeby Amy była zakochana w Johnie, który z miłości naraża się na srogi katar? A z drugiej strony, stosunki rodzinne były istotnie takie, że pani Chivery mogła trafnie oceniać sytuację i powód odmowy.

Po namyśle obiecał tej troskliwej matce pomówić z Amy i zbadać sprawę, radził jej wszakże, aby ze swej strony postarała się również zyskać zaufanie syna.

Pani Chivery uważała to za trud zbyt ciężki, lecz obiecała zrobić, co będzie w jej mocy, i raz jeszcze gorąco polecając swą prośbę, pożegnała wreszcie Arthura.

Clennam po tej rozmowie pragnął zebrać myśli i unikając zgietku ulicznego, skierował się na most wiszący. Ale zaledwie uszedł po nim kilka kroków, ujrzał w pewnym oddaleniu przed sobą Amy. Przed godziną zostawił ją w pokoju ojca, ale widocznie wyszła, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Uznał to za pomyślny zbieg okoliczności, który może mu pozwoli zrozumieć lepiej przedstawioną mu przed chwilą sprawę, więc przyśpieszył kroku, żeby ją dogonić.

Ale Amy stanęła i odwróciła się ku niemu.

– Czy panią przestraszyłem? – rzekł, nadchodząc.

– Nie, ale rozpoznałam pana kroki.

– Tak? Przecież pani nie spodziewała się mnie spotkać?

– Nie spodziewałam się spotkać nikogo, lecz skoro usłyszałam, że ktoś idzie, zdawało mi się... poznałam, że to pan.

– Pani gdzieś się wybiera?

– Nie, tutaj przyszłam.

Szli obok siebie czas jakiś w milczeniu, Arthur zastanawiał się, jak zacząć drażliwą rozmowę, Amy spokojnie patrzyła na szeroką przestrzeń.

– Czasem wydaje mi się – przemówiła pierwsza – że jest to egoizmem z mojej strony przychodzi tutaj na przechadzkę...

– Egoizmem? – powtórzył Arthur zdziwiony.

– Tak. Oddychać swobodnie świeżym i czystym powietrzem, patrzeć na rzekę, na błękitne niebo, tak daleko, na tyle widoków i ruchu, a potem wracać tam, gdzie w tej ciasnej celi... zamknięty murami...

– Powracając, przynosi mu pani odbicie tej przestrzeni, ruchu i różnorodności, jest pani powiewem świeżego powietrza, który go rozwesela.

– Tak pan myśli? A mnie się czasem zdaje, że pan mi przypisuje siły, których nie mam. Gdyby pan się znajdował tam zamknięty, czy pan sądzi, iż powrót mój z takiej przechadzki byłby dla pana jaką przyjemnością?

– Tak, maleńka Dorrit, jestem tego pewny.

A widząc na jej twarzy głębokie wzruszenie, milczał przez chwilę, aby odzyskała spokój. W tej chwili przypuszczenia zaczęły pani Chivery straciły dla niego prawdopodobieństwo.

Doszli do końca mostu i odwrócili się w przeciwną stronę. Wtedy spostrzegli Maggie, która zmierzała ku nim.

– Maggie – rzekła Amy, gdy stanęli przed nią – obiecałaś mi pozostać przy ojcu?

Maggie była zakłopotana. Poznała ich dopiero teraz i zdawała się zaskoczona tym spotkaniem.

– Zostałam, matusiu – zaczęła się tłumaczyć – ale on nie chciał. On sam mnie posłał. Powiedział: Maggie, zanieś ten list zaraz, a jak przyniesiesz mi dobrą odpowiedź, dostaniesz pensa. Sam mi tak powiedział, więc cóż miałam robić? I pan Tip spotkał mnie także na schodach, zapytał, dokąd idę, i powiedział: – Zaczekaj,

Maggie, dam ci drugi list, a jeśli przyniesiesz mi dobrą odpowiedź, dostaniesz dziesięć pensów. – Więc cóż miałam zrobić, matusiu?

W oczach Dorrit odbiło się wyraźnie, że zgaduje, do kogo listy są adresowane. Maggie mówiła dalej:

– Muszę oddać listy, ale ty, matusiu, nie powinnaś o tym wiedzieć, więc odejdź sobie trochę, albo niech pan ze mną odejdzie, to oddam panu, jak mi przykazali.

Clennam spokojnie przeszedł na drugą stronę mostu, szybko przeczytał listy, których treści mógł się domyślić. Pan Dorrit prosił go o pożyczanie trzech funtów, ponieważ pieniądze, których się spodziewał, nie przyszły na czas z miasta, a on, nieszczęsny więzień, nic na to poradzić nie może. Tip zawiadamiał pana Clennama, który jest tak życzliwy dla jego rodziny, iż znalazł wreszcie miejsce dające widoki na świetną przyszłość, lecz tymczasem skromne, które jednak może utracić skutkiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, jeżeli przed upływem sześciu godzin nie będzie w posiadaniu ośmiu funtów sterlingów. Dlatego najuprzejmiej prosi o pożyczanie tej sumy, zobowiązując się zwrócić ją w ciągu miesiąca.

Clennam odpowiedział na listy natychmiast za pomocą swojego notatnika. Przesłał ojcu żadaną sumę, Tipowi odpowiedział grzecznie, lecz odmownie. Doręczył Maggie listy i dał jej szylinga, przewidując, że jej fatyga nie będzie wynagrodzona.

Kiedy znowu podszedł do Amy, łatwo zauważył, że jest głęboko smutna i zdenerwowana.

– Wróć do domu – rzekła. – Powinnam już wrócić.

– Nie sądzę – odparł. – Na listy odpowiedziałem i wszystko załatwione. Nie ma o czym mówić.

– Lepiej wróć – powtórzyła drżącym głosem – nie powinienam zostawiać go samego... Ani Tipa... Tam jest moje miejsce... To egoizm z mojej strony... nie powinienam od nich odchodzić...

Miała prawie łzy w głosie i Arthur zrozumiał, że istotnie powrócić musi. Było to jej wewnętrzną potrzebą.

– W takim razie przypomnę tylko, maleńka Dorrit – rzekł serdecznie – że obiecałaś pamiętać o mnie, gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy.

– Nie zapomnę – załkała cicho. – Niech mnie pan nie odprowadza. Do widzenia. Bóg z panem.

Uczuł, że powinien zastosować się do jej życzenia, więc pozostał na miejscu i oparty o poręcz, patrzył za nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. A potem myślał o niej, patrząc na bieg rzeki, i myślał, powróciwszy wieczorem do domu.

W tym drobnym, wątłym ciele widział wielką duszę.

Lecz nazajutrz od rana zabrał się do pracy, a myśli o maleńkiej Dorrit musiały ustąpić, i on miał teraz obowiązek, który spełniać powinien sumiennie.

Pomieszczenie warsztatów w taniej dzielnicy było względnie wygodne, gdyż dawało dosyć przestrzeni i każdemu ze współników zapewniało osobny kącik. Clennam miał tuż przy wejściu dosyć duży pokój o niskim i szerokim oknie, które z powodu otwartej przestrzeni dostarczało mu dużo światła. Był więc zadowolony, zwłaszcza że mimo wielkich zaległości w książkach nie znalazł płataniny, łatwo mógł się orientować i widział z przyjemnością rezultat swej pracy, która obiecywała mu w przyszłości cokolwiek więcej swobodnego czasu.

Właśnie siedział przy swoim biurku, zagłębiając się w skomplikowanych obliczeniach, gdy cień jakiś przesunął mu się koło okna, a chwilę potem drzwi się uchyliły i na progu stanął niski, drobny, czarny mężczyzna, o kruczych włosach, ciemnej cerze i czarnych obwódkach przy paznokciach.

– Dzień dobry, panie Pancks – rzekł Arthur – dawno pana nie widziałem.

Usłyszał rodzaj rżenia czy chrapania, które było – jak już teraz wiedział – śmiechem tego pracowitego człowieczka, i zaraz potem usłyszał żywe zaprzeczenie.

– Co dzień się tu kręcę. Trzeba pilnować budy.

– Do mnie jednak pan nie zachodził.

– A nie, nie miałem czasu. Ale dziś przyszedłem, potrzebuję od pana pewnych informacji.

– Co do warsztatów?

– Nie, to inna sprawa. To prywatna sprawa. Chodzi o nazwisko Dorrit.

Arthur spojrział zdziwiony.

– Nie rozumiem – rzekł – o co panu chodzi.

– Niech mi pan powie wszystko, co pan wie o tej rodzinie.

– Wie pan, że to cokolwiek dziwne żądanie. I dlaczego pan zwraca się do mnie?

– Może i dziwne – odparł Pancks ze rżeniem – ale to jest interes. Jestem człowiek od interesów. To rzecz moja. Cóż bym na świecie robił, gdybym nie miał interesów?

Arthur spojrział uważnie na tego człowieka, któremu praca wypełniała życie i który gardził wszystkim, co nie było pracą. Brudny dziwak tylko „interes” traktował poważnie.

– To prywatna sprawa – powtórzył z naciskiem. – Byłem już tu i ówdzie, przyszedłem do pana. Muszę zebrać, co mi potrzebne.

Przeczesał zwichrzone włosy rozstawionymi palcami i zwrócił na Arthura badawcze spojrzenie bystrych czarnych oczu.

– Nie chcę się wdzierać w pańskie tajemnice – przemówił wreszcie Arthur – pozwoli pan jednak, że zanim odpowiem, zadam panu także pytanie.

– Ba! – zarzął Pancks, podnosząc w górę palec. – Chcesz pan wiedzieć naturalnie, w jakim celu?

– Tak jest: w jakim celu.

– Mój cel jest dobry. Tyle tylko mogę rzec. Byłbym śmieszny, gdybym mówił dzisiaj więcej. Ale cel jest dobry. Chcę oddać przysługę tej małej osobie, która się nazywa Dorrit. Może pan być zupełnie pewny, że mój cel jest dobry.

– Więc co pan chce wiedzieć?

– Wszystko, co panu jest wiadomo.

Po chwilowym namyśle Clennam przyszedł do przekonania, że to, co może powiedzieć, Pancks z pewnym opóźnieniem zawsze wiedzieć będzie, nie popełnia więc niedyskrecji, a po wtóre, pomimo wszystko, Pancks budził w nim zaufanie.

– Zaproponuję panu pewien układ – rzekł poważnie. – Powiem panu wszystko, co wiem o tej rodzinie, ale pan zobowiąże się nawzajem mnie powiedzieć wszystko, co pan się z innych źródeł o niej dowie. I druga rzecz, ponieważ pan potrafi dotrzeć wszędzie, proszę, ażeby w domu mojej matki jak najmniej o tej rodzinie było mowy.

Pancks kiwał głową na znak zupełnej zgody i wkrótce został panem tych wszystkich szczegółów, jakie Arthur mógł zebrać w ciągu krótkiej znajomości. Zanotował je szybko i już śpieszył dalej, bo interesy przecież nie czekają.

– Ale, ale! – zawołał, już prawie na odchodnym. – Pański znajomy, ten kulawy cudzoziemiec ze szpitala, chce tu nająć poddasze. Czy ma on czym płacić?

– Odpowiadam za niego – odparł Arthur.

– To wystarczy. Kto wychodzi ze szpitala, wiadomo, jest goły. Takich mi przyjmować nie wolno. Ale skoro pan odpowiada...

Zarzął znowu, skinął głową i zniknął za drzwiami.

ROZDZIAŁ XIII

PANCKS WRÓŻY I DZIAŁA

Pan Pancks jako pracownik był nieoceniony: prowadził interesy szanowanego ojca rodziny, to jest pobierał co tydzień komorne od niezliczonych jego lokatorów i procenty od niezliczonych dłużników; słuchał ciężkich oskarżeń o brak serca, okrucieństwo, ciemiężenie; słuchał nieskończonych skarg na biedę, nędzę, brak zarobku, niesprawiedliwość; prowadził drobiazgowo, groszowe rachunki, zdawał z nich sprawozdanie, wiedział i pamiętał wszystko.

Pan Pancks nie potrzebował odpoczywać. Odpoczynek uważał za marnowanie życia, bo życie przecież było tylko pracą. Po co żyć poza pracą i co z życiem robić? On nie wiedział. Załatwiwszy gruntownie interesy swojego „właściciela”, jak nazywał szanowanego ojca rodziny, zabierał się do swoich, które dawały mu więcej rozkoszy, a wcale nie mniej trudu, i otoczone były pewną tajemnicą.

W dniu powszednie jadał obiad z rodziną Casbych, piękną niegdyś Florą i jej ciotką, nie licząc głowy domu, i przy tej sposobności poznał małą Dorrit, która szła u pana Casby.

Amy widziała go tu po raz pierwszy i zachowanie się względem niej tego człowieka przejęło ją od razu wielką trwogą. Z początku myślała, że to malarz-portrecista; tak uważnie wpatrywał się w jej rysy, zaglądając co chwila do grubego notesu, którego nie można było nazwać czystym. Zauważyła jednak, że nic nie rysuje, i wówczas przyszło jej nagle do głowy, że musi to być jeden z głównych wierzycieli ojca i odczytuje sumę jego długu. Oryginalne rzenie i chrapanie tej żyjącej lokomotywy mogły być w takim razie objawami gniewu poprzedzającymi jakiś ostry wybuch.

Lecz Pancks rozwiął wkrótce te jej przypuszczenia w sposób bardzo dziwny i niewytłumaczony.

Było to po obiedzie. Ojciec rodziny, z głową nakrytą fulem, spokojnie drzemał przed kominkiem, pani Flora zamknęła się w swoim pokoju także dla wypoczynku,

a małeńka Dorrit szyła, pochylona pilnie nad robotą.

W tej właśnie chwili Pancks ostrożnie wsunął się do pokoju i stanął przed nią.

– Pani się bardzo nudzi? – spytał przyciszonym głosem.

– Wcale nie – odpowiedziała przestraszona. – Proszę się o mnie nie troszczyć.

– A co pani szyje?

– Chustki.

– To są chustki? – spytał zdziwiony, jakby nie znał tego przedmiotu, i dodał, wpatrując się w nią bystrym wzrokiem. – Pani się pewno zastanawia, kto ja jestem? Ja jestem wróż! – rzekł cicho. – Przepowiadam przyszłość.

Amy przemknęło przez myśl, czy to nie obłąkany.

– „Właściciel”, u którego jedliśmy dziś obiad, kupił mój czas i pracę – mówił dalej – lecz nie kupił całego Pancksa. Mam i ja swoje sprawy, własne interesy, na mój własny rachunek... tylko pst!... to sekret, panno Dorrit.

Rzuciła na niego niespokojne spojrzenie i szyła dalej w milczeniu, nie przerywając pracy.

– Może pani pokaże mi dłoń – rzekł po chwili. – Chciałbym spojrzeć, jeżeli można.

Chciałaby się go pozbyć jak najprędzej i nie śmiała odmówić, więc puściła igłę i podała mu rękę.

– Praca przez długie lata – rzekł powoli, dotykając lekko ciemnym palcem jej dłoni. – Dużo pracy. Ale po to przecież żyjemy. Aha, więzienie! Siwy dżentelmen, to ojciec! A ten drugi z klarnetem? Aha, stryj. Cóż to za pantofelki białe aksamitowe? Ha, siostra. A to brat, ten młodzieniec. A ta mała osóbką, pracująca dla nich wszystkich? To pani, panienko Dorrit.

Amy podniosła zdumione spojrzenie, lecz on patrzył na rękę tak uważnie, jak gdyby rzeczywiście wszystko to z niej czytał.

– No i ja tutaj jestem – zarżał dobrodusznie. – Cóż pani o tym myśli?

– Nie wiem... Czy pan zobaczył coś złego?

– Złego? O nie! Wręcz przeciwnie. Pani także zobaczy wkrótce.

Puścił jej rękę, przecesał swoją zwichrzoną czuprynę rozstawionymi palcami i powtórzył, przenikając ją spojrzeniem:

– Dożyje pani i zobaczy! Proszę pamiętać, panienko Dorrit! Ale teraz... nigdy, nigdy!

– Co nigdy? – zapytała, nic nie rozumiejąc, zdziwiona, że tak wiele wiedział

o niej.

– Pani mnie wcale nie zna. Nie widziała mnie pani, nie poznaje. Wszystko jedno, gdzie byśmy się spotkali, pani mnie nie zna... wcale... nigdzie... nigdy! Czy zgoda?

– Zgoda że co? – spytała.

– Że mnie pani nie pozna, gdziekolwiek panią spotkam... że pani na mnie nie zwróci uwagi. Jestem dla pani obcy, choć jestem cyganem, który zna pani przyszłość i powtarza: zobaczy pani wkrótce. Zatem zgoda?

– Zgoda – szepnęła – jeśli... pan nie zrobi nikomu nic złego.

– Eh! – Machnął ręką i rżąc z cicha, wyszedł pośpiesznie załatwiać swe tysiączne interesy. Idąc, kręcił i kiwał głową, widocznie zadowolony z rozmowy.

Amy została sama, lecz nie mogła nie myśleć o tym szczególnym człowieku i jego dziwnym zachowaniu. Nie mogła o nim zapomnieć, tym bardziej że właśnie od tej chwili spotykała go ciągle i na każdym kroku. Przy obiedzie widziała jego bystre, przenikające ją dziwnie spojrzenie, mijała go na ulicy, widywała u pani Clennam. Przed upływem tygodnia – ku najwyższemu zdumieniu – spostrzegła go w Marshalsea, rozmawiającego z odźwiernym. Parę dni potem odwiedzał już kogoś osadzonego w Marshalsea i przechadzał się z nim po dziedzińcu. W niedzielę wraz z innymi przedstawiony został jej ojcu i uroczyście zaproszony do kawiarni przez całe towarzystwo.

Ale wszystko to było niczym w porównaniu ze zdziwieniem Plornisha, kiedy zobaczył Pancksa, śpiewającego w kawiarni i fundującego piwo zgromadzonym. Zaledwie zdolny był szepnąć do siebie, że nikt w Rozdartym Sercu temu nie uwierzy.

A Pancks chodził pod rękę z Tipem i rozmawiał z nim jak przyjaciel, wreszcie, mijając Amy, mruknął tak nieznacznie, że nikt inny usłyszeć nie mógł:

– Pancks cygan, wróż, przepowiada szczęście.

Małeńka Dorrit dziwiła się temu wszystkiemu, obawiała się nawet, lecz dla siebie zachowała te wrażenia, jak zwykle zostawiała wszelkie obawy i smutki. W duszy jej zachodziła jakaś nowa zmiana: chciałyby stać się prawie niewidzialna, służyć innym i spełniać swoje obowiązki bez uśmiechu zadowolenia ani promyka szczęścia. Niechaj ludzie o niej zapomną.

Teraz najmilsze chwile spędzała samotna w swej małeńskiej izdebce na poddaszu.

Kiedy nie miała roboty poza domem, a ojciec przyjmował gości lub bawił się w kawiarni, przebiegała szybko podwórce i po wysokich schodach przemykała się do swego kącika. Tu był jakiś świat inny. Żelazne kraty więzienia znikwały, widziała przestrzeń, złote blaski słońca, i siedząc w oknie, snuła wspomnienia, marzenia,

często zamglone łzami, lecz miłe i drogie.

Poddasze było niskie, bez żadnej ozdoby, prócz wzorowej czystości i lepszego niż tam na dole powietrza, lecz w jego ścianach upływały Amy najmiłsze w życiu chwile.

Pewnego dnia siedziała przy swoim okienku, szczęśliwa samotnością i ciszą swych marzeń, gdy na schodach rozróżniła kroki Maggie.

Zbladła i zadrżała: pewno przysyłano po nią.

– Matusiu, matusiu – zawołała Maggie zdyszana – chodź, chodź prędko. On czeka tam na dole.

– Kto czeka, Maggie?

– Pan Clennam, naturalnie. Jest w pokoju pana i prosił, żebym przysłała tu i powiedziała, iż chciałby widzieć matusię.

– Nie jestem zdrowa, Maggie, i nie zejść. Nie mogę. Muszę się trochę położyć. Bardzo boli mnie głowa. Idź, podziękuj mu, powiedz, że zastałaś mnie niezdrową. Zesłałabym, gdybym mogła.

– Ach, matusiu, nie można, to przecież niegrzecznie. Dlaczego twarz zasłaniasz?

– Głowa mnie bardzo boli.

– A czy to płacz pomaga, kiedy głowa boli? To i ja będę płakać dla ciebie, matusiu!

I ryknęła głośno, jak małe cielątko.

Więc Amy uspokajała ją i prosiła, żeby grzecznie zaniósła odpowiedź panu Clennamowi, który czeka na to i jest taki dobry. Na koniec obiecała opowiedzieć jej wieczorem bajkę.

Maggie jak dziecko przepadała za bajkami, więc pobiegła ze śmiechem i dopiero wieczorem zjawiała się znowu.

– Ach, jaki był zmartwiony! – zawołała. – Chciał posłać po doktora. Przyjdzie znowu jutro i pewno nie będzie spał w nocy, matusiu! Czy długo jeszcze płakałaś? Czy głowa przestała cię boleć?

– Prawie przestała. Widzisz, odpoczęłam, czuję się daleko lepiej.

– To opowiedz mi bajkę.

– O czym, Maggie?

– O księżniczce. Bardzo bogatej księżniczce, bardzo dobrej, ślicznej, bogatej, jakiej nigdy nie widziałam.

Mała Dorrit spuściła głowę i zamyśliła się. Potem zaczęła mówić:

- Był sobie król w koronie, ogromnie bogaty, miał diamenty, złoto, pałace...
- I szpitale – przerwała Maggie – prawda, że miał szpitale? I kurczęta?
- Tak, miał wszystko, czego zapragnął.
- I pieczone kartofle, prawda? O, jaki był szczęśliwy!
- Miał także piękną córkę. Bardzo piękną, dobrą i mądrą. Wszystko wiedziała i wszystko umiała. Nie było mądrzejszej ani piękniejszej na świecie.
- Ach, jak to dobrze! – zaśmiała się Maggie.
- Niedaleko pałacu króla była maleńka chatka. Mieszkała w niej sama jedna malutka, uboga dziewczyna.
- I nie bała się mieszkać sama?
- Nie bała się zupełnie. Przez cały dzień siedziała na progu chatki i przędła. Księżniczka bardzo często przejeżdżała w powozie koło chatki i patrzyła na biedną, maleńką dziewczynę, a dziewczyna patrzyła na księżniczkę. Aż jednego dnia księżniczka kazała zatrzymać konie przed chatką. Dziewczyna przędła na progu, księżniczka patrzyła na dziewczynę, a dziewczyna patrzyła na księżniczkę.
- Kto dłużej wytrzyma! – zaśmiała się Maggie.
- A ta księżniczka była taka mądra, że wiedziała wszystko i zgadywała wszystkie tajemnice. Więc powiedziała do tej dziewczyny: „Powiedz mi, co ukrywasz w chacie?”. Wtedy dziewczyna zrozumiała, że księżniczka wie wszystko, że wie, dlaczego mieszka tutaj sama i cały dzień przędzie na progu swej chatki, więc padła na kolana i błagała, ażeby nie zdradziła jej przed ludźmi. „Nie powiem nikomu – rzekła wtedy księżniczka – ale chcę widzieć, co tak ukrywasz. Proszę cię, pokaż mi swą tajemnicę”. Dziewczyna musiała spełnić to życzenie, więc zasłoniła okna, zamknęła drzwi na klucz i drząc od stóp do głowy, żeby ktoś nie zobaczył przypadkiem jej tajemnicy, otworzyła ukryte drzwiczki i pokazała księżniczce – cień.
- Cień? – powtórzyła Maggie, szeroko otwierając oczy.
- Był to cień człowieka, który przeszedł koło jej chaty wiele, wiele lat temu, i był bardzo daleko, i nie miał już nigdy powrócić. Ale był piękny i mała dziewczyna pokazała go z dumą bogatej księżniczce, jakby był to skarb droższy od wszystkich jej skarbów. Księżniczka długą chwilę patrzyła na cień, potem rzekła: „Nad tym pięknym cieniem tak czuwasz, przędąc od rana do nocy?” – „Tak” – odpowiedziała dziewczyna. – „Powiedz mi dlaczego? – zapytała znowu księżniczka. – Dlaczego cień jest ci tak drogi?”. – „Dlatego – odpowiedziała dziewczyna – że odkąd mieszkam w tej chatce, w której się urodziłam, nie przechodził tędy nikt równie dobry”. –

Potem dodała jeszcze, że przez to nikomu nie wyrządza krzywdy. Wtedy księżniczka rzekła: „Lecz kiedyś, skoro umrzesz, moja mała, przyjdą ludzie i znajdą twoją tajemnicę?”. – „Nie – odparła dziewczyna – bo gdy przyjdzie godzina śmierci, cień zsunie się za mną leciuchno do grobu i nikt go tu nie znajdzie”.

– Biedna mała! – westchnęła Maggie.

– Księżniczka była bardzo zadziwiona i chciała wiedzieć, co się dalej stanie, więc nie spuszczała z oka chatki i małej dziewczyny. Co dzień przejeżdżała koło niej w powozie i widziała przedącą na progu dziewczynę, i księżniczka patrzyła na dziewczynę, a dziewczyna patrzyła na księżniczkę. Ale pewnego ranka nie było dziewczyny na progu, a gdy księżniczka o nią zapytała, powiedziano jej, że umarła.

– Szkoda, że jej nie wzięli do szpitala – zauważyła Maggie – byłaby wyzdrowiała.

– Księżniczka, usłyszawszy to, płakała trochę, ale tak mało, że nie warto o tym mówić, a potem wysiadła z powozu i weszła do chaty, ażeby się przekonać, co w niej znajdzie. Nikt teraz nie patrzył na nią, więc zaczęła szukać cienia, który był skarbem dla małej dziewczyny. Ale na próżno przeszukała chatę, zaglądała do wszystkich skrytek i kącików, cienia nie było nigdzie. Wtedy zrozumiała księżniczka, że dziewczyna mówiła prawdę, że cień leciuchno zsunął się za nią do grobu i tam się ukrył obok niej na zawsze.

– I co się stało? – zapytała Maggie.

– Bajka skończona, Maggie.

– Jaka szkoda! A ta dziewczyna była stara, kiedy umarła?

– Nie wiem, Maggie, ale to już wszystko jedno. Chociażby sto lat miała, wszystko jedno.

Maggie jednak nie poruszała się z miejsca, więc Amy wstała pierwsza i wyjrzała oknem. Maggie naturalnie znalazła się obok, lecz nie błądziła oczami po niebie, a zwróciła je na dziedziniec.

Właśnie rozległ się dzwonek, wzywający przechodniów do rozejścia się.

– Patrz, patrz, matusiu – zawołała Maggie – znowu tu jest. Kto to?

Amy spojrzała na dół i zobaczyła Pancksa, idącego szybkim krokiem ku furtce.

– Powiada, że jest cygan i umie wróżyć przyszłość – rzekła ze smutnym uśmiechem – lecz zdaje mi się, że on nie zna nawet teraźniejszości tej dziewczyny.

Taki właśnie sąd miała Amy o tym pracowitym człowieku, który w tak dziwny sposób krzyżował swoją drogę życia z jej drogą. Czy się domyślał tego – nie wiadomo.

To pewnie, że w ostatnich czasach Pancks pracował za dwóch i można by podziwiać jego siły. Mieszkał na przedmieściu Pentonville i co dzień odbywał z tego powodu bardzo dalekie kursy. Wynajmował mały pokój od właściciela mieszkania, na którym widniał napis: Rugg, adwokat. Miał też prawo w każdą niedzielę i święta jadać tutaj obiady, wcześniej uprzedziwszy o tym gospodarza.

Do niedawna Pancks mało co przebywał w swym prywatnym lokalu i niewiele tutaj pracował, lecz obecnie codziennie prawie spędzał całe wieczory aż do północy w oficjalnym biurze pana Rugga, a często jeszcze i dłużej paliło się światło w jego okienku.

Wróż i cygan prowadził widocznie jakąś tajemną robotę, do której wielką przywiązywał wagę, i nie tylko nie szczędził trudu, ale ponosił nawet pewne koszty.

Jednocześnie rozszerzał krąg swoich znajomości. Po zapoznaniu się z panem Chivery zjawił się wkrótce i w sklepie z tytoniem, a po kilku dniach czuł się tam jak u siebie, a co ważniejsze, w tajemniczy sposób umiał skłonić biednego Johna do opuszczenia wilgotnego gaju na podwórzu i podjęcia się jakichś ważnych interesów.

John zaczął znikać z domu nieraz na kilka dni, a roztropna pani Chivery nie miała nic przeciw temu z dwóch przyczyn: po pierwsze wywierało to wyraźnie bardzo dodatni wpływ na jego zdrowie, a po wtóre, za każdą podobną wycieczkę Pancks wnosił do jej kasy pewną konkretną sumę. Skłonił ją zaś do przyjmowania tych pieniędzy w sposób zupełnie prosty. „Syn pani nie chce przyjąć wynagrodzenia za pracę, dlaczego pani nie ma wziąć za niego? To przecież jedna kieszeń, a interes jest zawsze interesem”.

Doszło nawet do tego, że pewnej niedzieli Pancks zaprosił Johna Chivery na obiad.

Obiad naturalnie był u pana Rugga, panna Rugg osobiście zajęła się przyrządzeniem baraniej pieczeni i puddingu, przygotowano owoce i ciastka, a Pancks kupił butelkę rumu, ażeby rozweselić serce swego gościa.

Lecz wszystko to było niczym w porównaniu z żywą sympatią, którą otoczono tu Johna. Skoro wszedł w odświętnym stroju, choć bez laski z rączką ze słoniowej kości i pięknej kamizelki w złote kwiatki, niby słońce ogołocone z najświetniejszych swoich promieni, pan Rugg podał mu rękę, przedstawił go córce i zapewnił w wyrazach energicznych, że był często przedmiotem ich rozmowy.

Po czym wziął z jego ręki wysoki i sztywny cylinder i umieścił na parapecie okiennym, twierdząc, że tutaj będzie zupełnie bezpieczny.

Wzruszony dowodami tak żywej przyjaźni John dziękował nieśmiało, z właściwą

mu skromnością, powtarzając, iż czuje się szczęśliwy, ponieważ może służyć panie Dorrit. Niewiele potrafi zrobić, ale spełni wszystko, co jest w jego mocy, i to sprawia mu przyjemność.

Obiad był doskonały, pieczeń i pudding zniknęły bez śladu, podobnie jak rzodkiewki, ser i ciastka, a gdy kieliszki napełniono rumem, Pancks wyjął swój notatnik, zaczął szybko przewracać kartki, czytać w nim i notować coś pospiesznie na osobnych kartkach papieru. Pan Rugg uważnie zaglądał w jego notatki przez ramię, a John z okiem, wzniesionym na dość niski sufit, pogrążył się w marzeniach.

Wreszcie Pancks skończył pracę, przejrzał swoje kartki, tu i ówdzie coś dodał lub poprawił, ułożył je w pewnym porządku i wziął w rękę jak karty.

– Na początek mamy cmentarz w Bedfordshire. Kto weźmie? – zapytał.

– Biorę, jeśli nikt nie chce – rzekł Rugg, sięgając po kartkę.

Pancks podał ją adwokatowi i zaczął się wpatrywać w kolejne.

– Teraz mamy zebranie informacji w Yorku. Kto przyjmuje?

– To nie dla mnie – rzekł Rugg stanowczo.

– Więc może pan podejmie się tej pracy, panie Johnie?

Młodzieniec przyjął kartę z pewną skwapliwością, a Pancks odczytywał dalej:

– Mamy jeszcze kościół w Londynie, to dla mnie... Biblię rodzinną, biorę ją na siebie, to dwie. A to dla pana, Johnie, kopia spisu w Durham, i ten marynarz z Dunstable też dla pana. Ja mam dwa, prawda? Więc jeszcze pomnik, to będzie trzy. Akt zejścia dziecka, to cztery. To już wszystko.

Karty były rozdane, Pancks sięgnął teraz do kieszeni, wyjął woreczek i zaczął obliczać pieniądze przeznaczone na koszty podróży.

– Pieniądz szybko się toczy – rzekł z westchnieniem, przesuwając część w stronę Johna, a drugą w stronę pana Rugga. – Ale bez niego nic się nie da zrobić!

– Mogę tylko powiedzieć, że nie jestem dosyć bogaty, aby opłacać sam koszty podróży. Chciałbym chodzić piechotą, ale pan się na to nie zgadza. A jednakże to byłoby dla mnie rozkoszą – zapewnił John, wznosząc większe oko do sufitu.

Szlachetna bezinteresowność młodzieńca zrobiła na panie Rugg tak dziwne wrażenie, że dzielna ta dziewczyna, aby nie wybuchnąć śmiechem, zatkała sobie usta i uciekła do kuchni.

Spełniono kieliszki rumu za powodzenie sprawy i z właściwym panu Panckowskiemu pośpiechem związane tajemnicą towarzystwo rozbiegło się do swoich zajęć.

W taki sposób przebywał ścieżkę życia ten energiczny rycerz niezmordowanej

pracy, jedynym bezcelowym jakimś krokiem było z jego strony niewytłumaczone zainteresowanie, jakie okazywał kalece cudzoziemcowi.

Ile razy przechodził przez Rozdarte Serce, wstępował na sekundę do jego izdebki, i można by mniemać, iż śmiejące się zawsze oblicze Jana Baptysty Cavaletto, zdrowe zęby i wesołe oczy działały odświeżająco na cały organizm Pancksa.

Rzeczywiście była to postać, która wbrew wszelkim przeszkodom umiała sobie zjednać w krótkim czasie życzliwość otoczenia. Mieszkańcy Rozdartego Serca z niechęcią i niedowierzaniem przyjęli nowego sąsiada. Cudzoziemiec! Takiego zawsze można podejrzewać o ukryty w kieszeni sztylet. A do tego kaleka. Kalecy cudzoziemcy powinni być bezwarunkowo odesłani do własnego kraju! Zresztą wszyscy cudzoziemcy, jak wiadomo, są to ludzie bez wartości, niemoralni, zdolni do wszelkiego rodzaju występków.

Podejrzliwie zatem patrzono na kulawego Włocha, gdy za pomocą laski szybko przebiegał podwórze, z wesołymi oczami, twarzą uśmiechniętą i białymi zębami, które pokazywał ciągle w uśmiechu. Zatrzymywał się przy dzieciach i rozmawiał z nimi swoim niezrozumiałym językiem, w ciągu kilku tygodni nie popełnił żadnego występku i nie groził nikomu sztyletem.

Gdy Pancks przyszedł pierwszy raz po komorne, zrozumiał zaraz, o co chodzi, odłożył kawałek drzewa, na którym bardzo zręcznie wyrzynał jakieś kwiaty, i podał egzekutorowi owiniętą w papier naleźność.

Pancks był szczerze zdziwiony. Kiwał głową i chrząkał, wreszcie zwrócił się do pani Plornish z zapytaniem, co myśli o sąsiedzie.

Pani Plornish miała serce, jak sama mówiła, więc musiała przyznać, że kaleka cudzoziemiec nie zasługuje na żadną naganę. Zawsze wesoły, mówi zabawnym językiem, ale już można się z nim porozumieć, ślicznie śpiewa, wyrzyna z drzewa bardzo śmieszne figle i gdzieś to wszystko nosi, widocznie sprzedaje, poza tym pan Clennam daje mu czasem zajęcie i używa go na posyłki.

Jedno tylko zauważyli mieszkańcy Rozdartego Serca: nim wyjdzie na ulicę, zawsze wchodzi po schodkach na najwyższą część muru i patrzy przed siebie. Czy w tej stronie znajduje się jego ojczyzna, czy stamtąd wygląda kogoś, czy obawia się czegoś – odgadnąć jeszcze niepodobna.

Cavaletto patrzył i słuchał, zdawało się, że coś niecoś miarkuje z tej rozmowy, w końcu wskazał na swoją laskę.

– Spodziewać się krótki noga dobrze! *Altro!* – zawołał niby po angielsku, i zaśmiał się tak wesoło, iż zdawało się wszystkim, że słońce ukazało się zza chmury.

– *Altro, altro!* – powtórzył Pancks wesoło i odtąd, ile razy przechodził przez Rozdarte Serce, mimo zmęczenia i pośpiechu, wbiegał na poddasze śpiewającego Włocha, jeżeli go nie zastał na podwórzu, i skinąwszy mu głową, wołał głośno:

– Hola, *Altro*, mój stary!

– *Altro, altro!* – odpowiadał kulawy cudzoziemiec, trzęsąc głową i rękami, niby pajac.

– *Altro!* – powtarzał Pancks, zbiegając już ze schodów i raźniejszy szedł dalej, jak gdyby odpoczął.

ROZDZIAŁ XIV

DWADZIEŚCIA PIĘĆ!

Rozmowa z Pancksem o rodzinie Dorrit na nowo zaniepokoiła Clennama i zbudziła uśpione nieco podejrzenia co do jakichś niezalatwionych rachunków. Bo co może obchodzić Pancksa maleńka Dorrit albo jej ojciec? Nie należy on przecież do ludzi, którzy bawią się w dociekania dla zaspokojenia próżnej ciekawości. Nie mógł wątpić, że Pancks ma cel wytknięty i zupełnie jasno określony, ale jaki? Czy szukając czegoś innego zupełnie, nie odnajdzie przypadkiem dziwnego łącznika, który wiąże maleńką Dorrit z panią Clennam?

A jeśli go odnajdzie, czy mu powie? Dlaczego z tej sprawy robi tajemnicę? Arthur gotów był oddać wszystko bez wahania, byle zgładzić winę rodziców, jeśli rzeczywiście istniała, ale musi ją poznać. Czy Pancks mu w tym pomoże?

Jednocześnie dziwiło go zniknięcie Amy. Nie widywał jej prawie. Nie było jej w domu lub zamykała się w swoim pokoju. Zrozumiał wtedy, że mu jej brakuje. Napisał do niej i odpowiedziała bardzo serdecznie, zapewniając, że jest zdrowa i bardzo zajęta. To go dziwiło jednak, dlaczego jej już nie spotyka?

Właśnie wrócił do siebie wieczorem z Marshalsea, kiedy zastał w mieszkaniu pana Meaglesa, który powitał go głośnym okrzykiem:

– Tattycoram!

– Co się stało?

– Uciekła!

– Jak to? Co to znaczy?

– Nie mogła zliczyć do dwudziestu pięciu, doliczyła tylko do ośmiu i poszła!

– Kiedy? Dlaczego? Nie mogę zrozumieć.

– Bo pan nie zna jej gwałtownego charakteru. Najlepsze dziecko, i takie samotne! Bez nikogo na świecie! Ale teraz nic nie pomoże. Zburzyłaby mury Bastylii, gdyby ją zamknąć gwałtem!

– I jak się to stało? Niech mi pan opowie.

– Nie jest to łatwo, panie Clennam, nie jest łatwo. Trzeba znać porywczosć tego dziecka. Tyle lat była u nas. Wszyscy przywiązaliśmy się do niej, choć znaleźmy jej wady. A teraz, gdzie jest i co się z nią stanie?

– Więc dlaczego uciekła?

– Słyszał już pan zapewne, że Pieszczotka... Wolelibyśmy wprawdzie, żeby się tak nie spieszyła. Dla rodziców rozstawać się z jedynym dzieckiem... No, ale chce i koniec. Idzie za mąż. Z tego powodu wszyscy jesteśmy podekscytowani, rozdrażnieni. Tatty źle to znosiła. Przypuszczam, iż przypomnienie, że sama nie miała rodziców, że jej nikt tak nie pieścił, doprowadza ją do tego stanu. Dość, że wybuchy gniewu zaczęły się powtarzać coraz częściej, przy lada sposobności. Jeżeli przy tym byłem, przypominałem zawsze: licz do dwudziestu pięciu! Wczoraj byliśmy z matką w pokoju Pieszczotki... to prawie ostatnie wieczory... matka ciągle o tym pamięta... uściskała ją na dobranoc i wyszliśmy. Nagle słyszymy straszny krzyk naszej córki, która biegnie za nami przerażona, a za nią Tattycoram sina, tupie nogą, sypie z oczu iskrami, krzyczy: Nienawidzę was, nienawidzę! Licz do dwudziestu pięciu, moje dziecko! – wołam. Tak jest przyzwyczajona do tego rozkazu, że natychmiast zaczęła liczyć, ale doszła tylko do ośmiu i wybuchnęła na nowo wściekłością. Nie cierpi nas, nienawidzi, jesteśmy egoistami, zdaje nam się, że nasza córka jest jedyną godną miłości istotą. Nie pozostanie z nami. Nie chce nas widzieć więcej. Zamknęła się u siebie, a dziś rano nie zastaliśmy jej w pokoju.

– I nie wie pan, gdzie poszła?

Pan Meagles rozłożył ręce.

– Panna Wade? – rzucił Clennam.

– Pomyślałem o niej od razu, ale gdzież jej szukać? Pamięta pan, że zawsze odsuwała się od ludzi, jakby nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

– Lecz pisała do Tattycoram.

– Tak, i w jej pokoju znaleźliśmy kawałek podartej koperty, na której można odczytać ulicę...

Wyjął z kieszeni skrawek koperty i podał Arthurowi, który przeczytał: Grosvenor Square, blisko Park Lane. Nic więcej, ani numeru, ani nazwiska, a jednak obaj zdecydowali, że tam się trzeba udać i wyszli.

Wieczór był ciepły, wilgotny i duszny. Część drogi jechali powozem, wysiedli na rogu Oxford Street i zaczęli poszukiwania.

Była to długa i mozolna praca. Uliczki wąskie, wijące się dziwnie, pokrzyżowane ze sobą, domy stare, dziwaczne, pełne niespodzianek, często zdawały się bez wejścia, zwłaszcza przy wieczornym zmroku. A jeśli zadzwonili, zawsze ta sama odpowiedź: nikt nie słyszał o pannie Wade, nikt jej nie zna.

Parę godzin upłynęło im w ten sposób i znaleźli się wreszcie w tym samym

punkcie, od którego rozpoczęli swą drogę. Naprzeciwko znajdował się stary budynek, ciemny i posępny, a wywieszona karta oznajmiała, że poszukiwany jest lokator dla tego miejsca. Clennam zaproponował, aby jednakże zadzwonić.

Zastukali raz, drugi, trzeci – nadaremnie.

– Dom pusty – rzekł Meagles.

– Jeszcze raz spróbuję.

Jednocześnie usłyszeli wewnątrz ciężkie kroki, ktoś otworzył drzwi z klucza i czekał zapytania.

– Przepraszam za fatygę – zaczął Clennam – czy pani nie wiadomo, gdzie mieszka panna Wade?

– Tutaj – odpowiedział głos starej kobiety.

– Czy jest w domu?

– Pewno, ale nie wiem. Proszę wejść, pójdę spytać.

Drzwi zatrzasnęły się głucho za nimi, a ciężkie kroki, posuwające się naprzód, były jedynym przewodnikiem w ciemności. Gdzieś wysoko przez okno od ulicy wpadało słabe światło latarni i ono jedynie rozpraszało cokolwiek mrok wąskiej sieni.

Po omacku szli po schodach, lecz znaleźli się w końcu w obszernym, dusznym pokoju.

Stara kobieta przyniosła lampę, którą postawiła na stole.

– Jest – rzekła – zaraz przyjdzie.

Otarła ręce fartuchem, spojrzała na obcych zapadłymi głęboko oczyma i odeszła.

Duży pokój sprawiał wrażenie, jak gdyby ktoś przejezdny rozlokował się tutaj na krótki czas i to przypadkiem, ale nie było kiedy przyglądać się szczegółowo urządzeniu, gdyż panna Wade ukazała się po chwili, jak zawsze dumna, piękna, pogardliwa, z wyzywającym uśmiechem na ustach. Wskazała panom krzesła, ale sama stała i przemówiła pierwsza:

– Sądzę, że zgaduję cel pańskich odwiedzin, możemy więc od razu przystąpić do rzeczy.

– Czy pani wie, co się stało z Tattycoram?

– Jest u mnie.

– W takim razie zechce jej pani powiedzieć, że wszyscy oczekujemy jej powrotu i chętnie przebaczymy ten dziecinny wybryk.

– Przebaczymy? – powtórzyła panna Wade z ironią. – Jeżeli wolno wiedzieć, cóż

jej państwo przebaczą?

– Mój przyjaciel ma na myśli uniesienie młodej dziewczyny, spowodowane widocznie zazdrością – objaśnił Clennam, widząc pewne zakłopotanie pana Meagles.

– Tak? – zapytała tylko panna Wade wyniośle i przez chwilę trwało milczenie.

– Pan Meagles chciałby ją widzieć – zaczął znowu Clennam. – Czy pani ma coś przeciw temu?

– Ja? Bynajmniej! Henryko, proszę.

Otworzyła drzwi i po chwili sama wprowadziła zaginioną.

Dziwną sprzeczność stanowiły te dwie kobiety obok siebie: panna Wade niewzruszona i spokojna, z zaciętymi ustami i pogardliwym spojrzeniem, Tattycoram drżąca hamowanym gniewem, a zarazem zmieszana i niepokorna.

– Oto twój pan i opiekun – odezwała się panna Wade wyniośle. – Pozwala ci powrócić. Możesz stać się znowu niewolnicą kaprysów jego córki i zabawką całego domu. Będą cię przezywali cudacznym imieniem, które im pozwala wskazywać cię palcem i opowiadać o swych dobrodziejstwach. Słowem, szlachetni ci panowie przybyli po to, aby ci oznajmić, że skruszona i żałująca możesz zasłużyć na ich przebaczenie. Cóż, chcesz tam wrócić, Henryko?

– Wolę umrzeć! – zawołała Tattycoram, podrażniona tymi słowami.

Panna Wade, trzymając ją ciągle za rękę, odwróciła się z uśmiechem do gości.

– Wobec tego czy panowie mają jeszcze coś do powiedzenia?

Pan Meagles przez chwilę pod wpływem wzburzenia nie był zdolny przemówić, lecz zapanował na koniec nad sobą i ze zwykłą dobrocią zwrócił się do wychowanki.

– Tattycoram – rzekł – nazywam cię imieniem, które ci było dane przez moją córkę, i zła wola jedynie może je nazywać przezwiskiem. Dziecko moje, policz do dwudziestu pięciu i przypomnij sobie te lata, które spędziłaś z nami. Przypomnij sobie, policzywszy do dwudziestu pięciu, czy kiedykolwiek spotkała cię krzywda! Nie żądam nic od ciebie, zapomnimy o tym, co zaszło, chodź ze mną i bądź znowu tym, czym byłaś dotąd.

– Za nic w świecie! Niech mnie pani wyprowadzi! – powtórzyła Tattycoram z zawziętością. – Nie chcę, nie, nie, nigdy w życiu! Wolałabym pokrajać się w kawałki!

– A zatem? – zwróciła się panna Wade do przybyłych.

– Moje dziecko! – zawołał pan Meagles, lecz Tattycoram wyrwała się nagle, zatkała uszy i uciekła w głąb mieszkania.

Miss Wade triumfowała.

– Jakkolwiek zdaje mi się, że cel rozmowy naszej jest wyczerpany – przemówiła wyniosłym tonem – mogę objaśnić panów, co mi daje prawo i jest źródłem mojego wpływu na to dziecko. Obie nie znałyśmy swoich rodziców, a ludzie chcieli z nas zrobić igraszkę dla swoich samolubnych celów. Miałam dość siły, aby obronić siebie, wyrwę z waszych szponów i tę nieszczęśliwą.

Szyderczo skinęła głową i wyszła z pokoju.

Za chwilę ukazała się starszuszka, ażeby panom poświecić na schody.

Clennam ujął pod rękę przyjaciela, któremu łzy na chwilę zasłoniły oczy, i nic nie mówiąc, sprowadził go na dół.

ROZDZIAŁ XV

W STARYM DOMU

Tymczasem w starym domu życie płynęło cichą, ciemną strugą, nie zdradzając na pozór żadnej zmiany. W pokoju pani Clennam przesuwiał się fotel na kółkach i płonął niegasnący ogień na kominku, w gabinecie Flintwincha zjawiali się interesanci, Jeremiaś pisał i odbierał listy, bywał na giełdzie, kontrolował księgi, prowadził z panią Clennam długie i ciche narady, porozumiewał się z innymi domami handlowymi, odwiedzał doki i bywał w wybranych kawiarniach.

A biedna Affery bała się i drżała z trwogi, nasłuchiwała szmerów, uderzeń i tarcia, siadywała przed ogniem z głową nakrytą fartuchem, podsłuchiwała rozmawiających współników, nie umiała odróżnić snu od jawy i wyglądała już zupełnie na obłąkaną, z której sobie nic nie robiono.

Jeremiaś zabronił jej bardzo surowo pokazywać się w gabinecie podczas przyjmowania interesantów i nazywać go po imieniu. Nie szczycił się bynajmniej taką żoną.

Mała Dorrit skończyła całodzienną pracę, zawijała materiał i zbierała nitki, kiedy wszedł Pancks, który i tutaj bywał czasem. Oznajmił, że przechodząc, wstąpił w imieniu swego „właściciela” dowiedzieć się o zdrowie pani Clennam.

– Pan Casby wie dobrze – odparła matka Arthura surowo – w jakim stanie jest moje zdrowie.

– Istotnie? – zdziwił się Pancks, ogarniając byстрыm spojrzeniem Amy klęczącą na podłodze. – Jednak pani wygląda bardzo dobrze.

– Pan tędy często przechodzi? – zapytała pani Clennam, zsuwając mocno brwi.

– Prawie co dzień w różnych godzinach.

– Więc powiedz proszę panu Casby, że sobie nie życzę, aby o moje zdrowie dowiadywał się za pańskim pośrednictwem. Jeśli mnie chce odwiedzić, jestem zawsze w domu. Do widzenia.

Krótkie to pożegnanie podkreślał ruch ręki, wymownie wskazujący drzwi gościowi. Wobec tego Pancks rzucił spojrzenie na Amy, przegarnął ciemną ręką czarne włosy i skierował się spokojnie ku wyjściu.

– Do widzenia, szanowna pani, ukłony od pana Casby i pani Flory.

Pani Clennam, z brodą opartą na rękę, odprowadziła go do drzwi spojrzeniem chmurnym i podejrzliwym, potem przeniosła wzrok na maleńką Dorrit, która podniosła się z klęczek i otrzępywała sukienkę. Oczy ich się spotkały.

– Czy znasz tego człowieka, mała Dorrit? – przemówiła pani Clennam z groźbą w głosie.

– Bardzo mało – odparła Amy. – Od pewnego czasu spotykam go dość często na ulicy, parę razy przemówił do mnie, to wszystko.

– Co mówił?

– Dobrze nie wiem, bo go nie rozumiałam. Wydaje mi się bardzo dziwny. Ale nie było w tym nic niegrzecznego.

– Dlaczego przychodzi za tobą aż tutaj?

– Tego nie wiem, proszę pani – odparła z zupełną szczerością.

– Ale wiesz, że przychodzi tu dla ciebie?

– Tak mi się zdaje, tylko nie rozumiem po co.

Pani Clennam spuściła głowę i ze spojrzeniem utkwionym w podłogę zamyśliła się tak głęboko, jak gdyby zapomniała o obecności Amy.

Maleńka Dorrit nie śmiała poruszyć się z miejsca, bojąc się jej przeszkodzić.

Na koniec przesunęła się cichutko i przechodząc koło fotela, szepnęła:

– Dobranoc pani.

Nagle matka Arthura wyciągnęła rękę i łagodnie oparła ją na ramieniu Amy.

W ciemnym kącie pokoju Affery otworzyła oczy tak szeroko, że stały się prawie okrągłe i aż podniosła rękę do głowy.

– Powiedz mi, moja mała – rzekła – czy wielu masz przyjaciół?

– Nie, pani, oprócz pani tylko jeden mularz i jeszcze jeden pan niezmiernie dobry.

– Nie ten, co był przed chwilą?

Amy stanowczo potrząsnęła głową.

– O, nie, pani! Zupełnie niepodobny i nic z nim nie ma wspólnego!

– To dobrze – rzekła pani Clennam, i Affery ujrzała wyraźnie na jej twarzy coś podobnego do uśmiechu. – Pytam cię o to, ponieważ mnie obchodzisz. Zdaje mi się, że byłam twoją przyjaciółką, kiedy jeszcze nie miałaś innych?

– Tak, proszę pani. Pamiętam. Wiem, że gdyby nie pani, i robota, jaką mam tutaj, nieraz, o, nieraz byłoby nam bardzo ciężko.

– Wam? – spytała pani Clennam, patrząc na zegarek męża, który leżał przed nią na

stole. – Ilu was jest?

– Teraz już brat i siostra zarabiają, a ja pomagam tylko ojcu.

– I bardzo ciężkie było wasze życie? – pytała pani Clennam, obracając w rękę zegarek.

– Czasem ciężkie – odpowiedziała Amy łagodnym głosem – lecz wtedy myślę sobie, ilu ludzi na świecie jest nieszczęśliwszych od nas.

– Oto rozumne zdanie! – zawołała pani Clennam. – Masz słuszność, moje dziecko. Jesteś dobra, rozsądna i umiesz być wdzięczna... albo zupełnie nie znam się na ludziach.

– Nie zasługa być wdzięczną, skoro ktoś jest dla nas dobry. To przecież naturalne – zauważyła Amy.

Wtedy stała się rzecz tak dziwna, że biedna Affery zupełnie straciła przytomność, gdyż wątpiła o świadectwie własnych zmysłów.

Oto pani Clennam, surowa i kamienna pani Clennam, przyciągnęła do siebie małą szwaczkę i złożyła na jej czole pocałunek.

Doprawdy stokroć mniej byłoby dziwne, gdyby schylił się czarny sufit, aby pocałować podłogę.

Toteż Affery chwiejnym krokiem szła po schodach, aby za małą Amy zamknąć drzwi na dole.

Lecz wyrzawszy na ulicę, ku swemu zdziwieniu ujrziała znowu Pancksa. Zamiast iść swoją drogą, mały, czarny człowieczek kręcił się koło domu, walcząc z wichrem, i zobaczywszy Dorrit, wyminął ją szybko tuż przy drzwiach. Przy tym spojrzął na nią, wydał dziwne rzenie i szepnął, przyciskając palec do ust:

– Pancks wróż, cygan, przepowiada dobre rzeczy!

Przestraszona Amy przytuliła się prawie do muru, a Pancks zarżał raz jeszcze i zniknął w ciemności.

Affery stała za progiem, prawie przykuta do miejsca. Bo jeśli to „wróż, cygan” – to czegoż się można spodziewać? Jakie jeszcze okropne dziwy ją czekają?

Jak gdyby w odpowiedzi gwałtowny poryw wiatru szarpnął z całej siły, uderzył w mury i kominy i z hałasem zatrzęsął przed Affery drzwi domu.

Affery chwyciła się za głowę!

Cóż teraz pocznie sama na ulicy? I co zrobi pani Clennam, sama jedna w domu?

Co począć? Ach, co począć?

Pobiegła kilka kroków w jedną stronę, potem w drugą, zajrzała przez dziurkę od

klucza, jakby to coś mogło pomóc, i znów zerwała się biec, gdyż razem z wiatrem uczyła spadające zimne krople deszczu. Wtem stanęła jak wryta: ktoś położył jej rękę na ramieniu.

Był to wysoki mężczyzna w płaszczu zarzuconym na ramię i w futrzanej czapce. Wyglądał na cudzoziemca. Miał czarne włosy, czarne, podkrecone do góry wąsy z rdzawymi końcami i wielki nos garbaty. Gdy się śmiał, koniec nosa zbliżał się do wąsów, a wąsy podnosiły się do nosa.

– Czegóż się pani boi? – spytał dobrą angielszczyzną.

– Pa... na!

– Mnie?

– Tak... i burzy... i drzwi się zatrzasnęły... jakże wrócę do domu?

– Ba! – rzekł nieznajomy – w końcu pani wróci. Czy zna pani nazwisko Clennam?

– Czy znam? Dobrze sobie! – zawołała Affery, klasnąwszy w dłonie ze zdziwienia.

– Gdzież mieszka?

– A gdzież może mieszkać, jak nie w swoim domu? – zawołała Affery, nachylając się znowu do dziurki od klucza. – Ale co teraz będzie? Jest sama w swoim pokoju i nie może się ruszyć, bo nogi ma bezwładne. A ten drugi filut sobie poszedł... Chyba zwariuję tutaj!

Cudzoziemiec uważniej teraz spojrzął na nią, na dom, odstąpił kilka kroków i zatrzymał się wzrokiem na wąskim oknie małej izdebki, która znajdowała się tuż przy wejściu.

– Czy wolno spytać, gdzie jest owa dama, która nie może poruszyć się z miejsca? – przemówił wreszcie, kryjąc w wąsach koniec nosa.

– Na górze, te dwa okna, gdzie się świeci.

– Tak. Jestem dość wysoki, ale bez drabiny tam osiągnąć nie mogę. Mówiąc otwarcie, a otwartość jest cechą mego charakteru, czy chcesz pani, ażeby drzwi otworzył?

– Niechże ci Bóg nagrodzi, pocciwy człowieku! – zawołała z radością Affery. – Otwórz mi jak najprędzej! Ona tam może tymczasem się spalić!

– Za chwileczkę. Biuro o tej godzinie zamknięte?

– Od dawna! – zawołała Affery z desperacją.

– W takim razie uczynię pani propozycję. Idę prosto ze statku, jak pani łatwo może zauważyć – mówił, wskazując mokry płaszcz i buty. – Dopłynęliśmy późno z powodu wichury, przekłęty wiatr. Tym sposobem nie mógłbym dzisiaj załatwić

interesu pieniężnego. A zależy mi na tym bardzo. Więc otworzę pani te drzwi pod warunkiem, że następnie sprowadzi pani kogoś, kto będzie mógł załatwić mi interes. W przeciwnym razie...

I wzruszył ramionami, okazując, że go nic nie obchodzi.

Affery zgodziła się uszczęśliwiona.

Wówczas nieznamy zrzucił płaszcz i oddał jej do potrzymania, odstąpił kilka kroków dla rozpędu i podskoczył tak zręcznie, że uchwycił za ramę okna, wstrząsnął ją, otworzył i zniknął w głębi w mgnieniu oka.

Affery patrzyła na to, drżąc jak w febrze. Obcy wydał jej się nagle strasznym człowiekiem i pomyślała, że gdyby chciał udać się na pierwsze piętro i zamordować jej panią, nic by na to poradzić nie mogła.

Na szczęście cudzoziemiec nie miał morderczych zamiarów i spokojnie otworzył jej drzwi.

– A teraz, jeśli łaska... – rzekł, kryjąc koniec nosa między wąsy i odbierając swój płaszcz. – Cóż to jest, do wszystkich diabłów?!

Rzeczywiście gdzieś bardzo blisko dał się słyszeć szczególny szelest, przygłuszony, niby daleki, głuchy łoskot i jakieś lekkie uderzenia, połączone z wyraźnym odczuwanym drżeniem podłogi.

– Co to znaczy? – powtórzył, patrząc na kobietę.

– Och! I ja to ciągle słyszę! – szepnęła przerażona Affery, mrużąc oczy.

Cudzoziemiec nasłuchiwał przez chwilę z twarzą bladą i posiniałymi ustami, ale skoro wszystko ucichło, machnął ręką.

– Głupstwo! – rzekł. – A teraz proszę sprowadzić tego jegomościa, który mi może załatwić interes.

Trzymał rękę na klamce i nie wpuszczał Affery do środka, gotów w razie odmowy zatrzęsnać wejście przed nosem.

– Ale pan mu nie powie, że się drzwi zamknęły?

– Ani słówka.

– I pan nie pójdzie tam do niej na górę?

– Nie ruszę się z miejsca.

Pobiegła. Lecz tak była niespokojna, że zawróciła znowu i kryjąc się pod cieniem muru, sprawdziła, że stał na progu nieruchomy. Wtedy pospieszyła znowu do kawiarni, w której przesiadywał Jeremia, i wezwawszy go do powrotu, pędziła co tchu pierwsza, obawiając się równie pięści swego małżonka, jak niespodzianki

w domu.

Obcy stał wciąż na progu nieruchomy, a z góry słyhać było donośny głos pani Clennam.

– Cóż się tam dzieje? Dlaczego nikt nie odpowiada? Czy jest tam kto na dole?
Zdyszani małżonkowie już dopadli wejścia.

Nagle cudzoziemiec cofnął się o kilka kroków, jak gdyby ujrzął widmo.

– Umarły czy żywy! – krzyknął z przerażeniem. – Skądże się tu wzięłeś u licha?

Flintwinch spojrzał na gościa nie mniej zdziwionym wzrokiem, obejrzał się, jak gdyby spodziewał się zobaczyć kogoś poza sobą, znowu objął nieznanomego spojrzeniem błyszczących oczu i nagle zwrócił się do żony.

Porwał ją tak gwałtownie, że czepek spadł jej z głowy, a biedna Affery kurczyła się tylko pod gradem jego uderzeń.

– No, tym razem dostaniesz, co ci się należy! – wołał zapamiętale. – Dość już tego...

Lecz obcy z galanterią podniósł czepek Affery i kładąc rękę na ramieniu jej małżonka, przemówił z nadzwyczajną grzecznością:

– Przepraszam najuprzejmiej, że przerywam tę wesołą małżeńską igraszkę, lecz może pan pozwoli zwrócić sobie uwagę, że tam ktoś bardzo energicznie się dopytuje, co się stało na dole.

Jeremiah puścił żonę, oprzytomniał. Odwrócił się do schodów i zawołał głośno:

– Jestem tu. Affery zaraz poda światło.

– Czym mogę panu służyć? – zwrócił się do cudzoziemca.

– Może pan będzie łaskaw przede wszystkim zapalić świecę.

– Słusznie. Proszę zaczekać.

Znalazł po ciemku świecę i zapalki, które były wilgotne i zapalały się, ale wnet gasły, upłynęło więc kilka minut, nim błądy płomyk świecy rozjaśnił ciemności.

Teraz Jeremiah spostrzegł, że nieznanomy stoi o parę kroków od niego i przygląda mu się z taką uwagą, jak gdyby pragnął zbadać każdą zmarszczkę twarzy.

– Proszę pana do biura – rzekł, obrzucając go także ciekawym i badawczym wzrokiem. – Nic się nie dzieje! Niechże pani będzie spokojna! – zwrócił się w stronę schodów. – Przecież krzyczę, że tu jestem!

– Boi się? – spytał obcy.

– Ona? Na stu mężczyzn dziesięciu nie ma tyle odwagi, co ona!

– Paralityczka?

– Od dawna. Jedyna przedstawicielka domu handlowego, jestem jej współnikiem. Weszli do biura. Flintwinch postawił świecę, wskazał gościowi krzesło i sam usiadł.

– Jestem na rozkazy.

– Nazywam się Blandois.

– Blandois? Nie znam.

– Przypuszczałem, że otrzymałeś pan już przekaz od swojego korespondenta w Paryżu.

– Nic podobnego na pańskie nazwisko nie otrzymaliśmy.

Milczeli. Twarz obcego była uśmiechnięta, prawie szydercza. Wpatrywał się wciąż w Jeremiaha.

– To dziwne – zaczął znowu – jak pan jest podobny do jednego z moich znajomych! Teraz już mniej przy świetle, ale tam po prostu wziąłem pana za niego. Zdumiewające podobieństwo!

– Doprawdy? – rzekł niedbale Flintwinch. – Ponieważ jednak nie otrzymaliśmy żadnej korespondencji z Paryża na imię Blandois...

– Ba! – mruknął nieznajomy, wyjął pugilares, wyszukał w nim jakiś list i podał współnikowi firmy.

– To może panu wystarczy? – rzekł krótko.

Był to list znanej firmy, polecający domowi handlowemu Clennam i Ska otworzyć panu Blandois kredyt do wysokości pięciuset franków.

– W porządku – rzekł Jeremiah. – Jesteśmy na pańskie usługi. Ale o tej godzinie nie mogę załatwić pańskiego interesu. Są formalności.

– Bardzo pięknie. Spóźniłem się, muszę zatem poczekać do jutra. Bardzo przepraszam, że zaniepokoiłem tę odważną kobietę tam na górze. Tymczasem jednak potrzebuję gdzieś przenotować. Czy może mi pan wskazać oberżę w pobliżu?

– W tej okolicy nie znajdzie pan hotelu odpowiedniego do wymagań dżentelmena.

– Jakkolwiek niewątpliwie jestem dżentelmenem i szlachcicem, nauczyłem się w licznych podróżach gardzić przesadami. Demokrata-kosmopolita żąda jedynie czystości i zdrowego, gorącego pożywienia.

– W takim razie jest tu oberża niedaleko – mówił z wahaniem Flintwinch.

– Doskonale! Może mnie pan łaskawie zaprowadzi?

– Wpadnę tylko na górę powiedzieć pani Clennam, że wychodzę.

– Racz pan załączyć ode mnie ukłony i prosić o pozwolenie przedstawienia się osobiście tak niepospolitej kobiecie, skoro tylko zmienię podróżne ubranie.

Jeremiah wrócił wkrótce, zapewniając, że pani Clennam będzie bardzo miło poznać jednego z klientów ich starego domu.

Godzinę potem pan Blandois powtórnie zakołatał do drzwi domu pani Clennam. Otworzyła mu Affery już w czystym czepku, w przedsionku płonęły dwie świece, schody były też oświetlone, a w pokoju chorej rozpalono większy ogień na kominku i przygotowano wszystko do herbaty.

Pani Clennam w grzecznych słowach dziękowała, że odwiedził kalekę, o której świat dawno zapomniał. A co z oczu, to z myśli! Niegdyś dom Clennam miał pewne znaczenie, dziś – mąż umarł, syn obrał sobie inny zawód, ona jako kobieta nie zawsze ma prawo reprezentować firmę, ale Jeremiah Flintwinch został jej współnikiem, nie opuszczają ich starzy klienci, i chociaż interesy znacznie się ograniczyły, dom stoi mocno i ma ustaloną opinię.

– Pan nie jest Anglikiem? – dodała po chwili.

– Nie – odparł Blandois – nie jestem Anglikiem i nie mam narodowości w ogóle. W moich żyłach płynie krew szczęściu narodów, a liczne podróże zrobiły mnie obywatelem świata.

– Nie jest pan żonaty, jak się zdaje?

– Wielbię płęć piękną, ale nie jestem żonaty.

– Może pan zechce osłodzić herbatę – grzecznie zapraszał Flintwinch.

– Dziękuję, nie pijam herbaty zupełnie. Jaki stary zegarek!

Podając filiżankę pani Clennam, spostrzegł leżący obok niej zegarek i przypatrywał mu się z nadzwyczajnie baczną uwagą.

– Czy pani pozwoli? – spytał, wyciągając rękę. – Dziękuję! Nadzwyczajny. Stary. Trochę ciężki, ale dokładny. Dwie koperty, dawna moda. Wolno otworzyć? Dziękuję. Jedwab haftowany złotem! Widziałem takie rzeczy w Holandii i w Belgii. „*Nie zapomnij*” i naturalnie pani nie zapomniała? – dodał, podnosząc na nią badawcze spojrzenie i ostrożnie kładąc zegarek na stole.

Flintwinch, dopijając resztę z filiżanki, odchylił nieco głowę i utopił spojrzenie w twarzy pani Clennam. Jej kamienne rysy nie zdradzały wzruszenia, odpowiedziała po chwili spokojnie:

– Nie zapominam. Życie takie jak moje nie pozwala zapomnieć. Nie chcę i nie usiłuję. Pamiętam o wszystkim, nawet o swoich grzechach i rachunku, jaki zdać

muszę.

Flintwinch postawił mocno filiżankę i spojrzął na pana Blandois, jakby chciał powiedzieć: Widzisz? I cóż ty na to?

– Pani – rzekł Blandois – nigdy o tym nie wątpiłem.

Ale pani Clennam zdawała się tego nie słyszeć, mówiła do siebie, czy do kogoś niewidzialnego, który lepiej rozumiał jej słowa.

– Gdybym zapomniała o błędach przeszłości, mogłabym uskarżać się na teraźniejszość, a nie skarżę się przecież. Przeciwnie, uważam to za łaskę Pana, który pozwala mi odkupić winy i zasłużyć na tej drodze na zbawienie. A więc nie zapomniałam, pamiętam, rozumiem i przyjmuję wyroki boskie z rezygnacją.

Położyła dłoń na zegarku, jakby tym dotknięciem przemawiała do niego.

Blandois gładził wąsy i wpatrywał się w nią uważnie.

– La, la, la! – odezwał się niespodzianie Flintwinch – nie wiem, czy te pobożne racje przekonają pana Blandois, który prawdopodobnie mniej rachuje się z Panem Bogiem.

– O, przeciwnie! – zawołał Blandois – Bardzo przepraszam! Religijność jest cechą mego charakteru. Jestem wrażliwy i uczuciowy, panie Flintwinch, a taki człowiek musi być pobożny, albo... niewiele wart.

Gość nadzwyczaj uprzejmie żegnał panią domu, a Flintwinch patrzył na niego z uwagą i nagle wydało mu się, że jest – „niewiele wart”.

– Dziękuję panu bardzo, że zechciałeś odwiedzić starą kobietę – rzekła pani Clennam. – Wybacz, że za wiele mówiłam o sobie. Flintwinch jest od jutra na pańskie usługi. Życzę przyjemnego pobytu w Londynie.

Pan Blandois dziękował, przesyłał od ust białą ręką pocałunki i cofał się do progu, gdzie przystanął, jakby zdziwiony.

– To antyczna komnata! – zauważył z pewną przesadą. – Zawiniłem, nie rzuciwszy na nią okiem. Ależ tu każdy szczegół mówi o przeszłości!

– Cały dom jest taki – chłodno odparła pani Clennam. – Prawdziwy antyk, chociaż bez pretensji.

– Gdyby pan Flintwinch zechciał mnie po nim oprowadzić, byłbym nieskończenie wdzięczny. Mam słabostkę do starych domów, więc przepraszam za śmiałą prośbę.

– Bądź pan przygotowany na widok ruiny, posępnej i obdartej – mruknął Flintwinch bez wielkiego zapału, biorąc do ręki świecę.

Lecz pan Blandois zaśmiał się tylko, uderzając go przyjaźnie po ramieniu.

– Nie chodzi panu zapewne o górę? – podsunął Flintwinch, gdy znaleźli się na korytarzu.

– Przeciwnie, jeśli to nie będzie nadużyciem pańskiej fатыgi.

Jeremiah zaczął ciężko wstępować na schody, przysuwając świecę do wilgotnych murów i otwierając drzwi pustych pokoi, ciemnych, zastawionych gratami, pełnych kurzu.

– Nie wiem, czy się panu opłaciła droga – mówił, otwierając komnatę, w której nocował Arthur.

Blandois był zachwycony. Przebiegał za przewodnikiem schody i korytarze, lecz kiedy Flintwinch obejrzał się niespodziewanie, spostrzegł, że gość zupełnie nie zwraca uwagi na mury i otoczenie, za to w niego wpatruje się badawczo. Sprawdził to raz i drugi z niemłym uczuciem, a kiedy podniósł głowę i spojrział w oczy cudzoziemca, spotkał wzrok zuchwały, złośliwy, szyderczy i usłyszał śmiech przytłumiony.

Na koniec zeszli na dół i przynajmniej nierówność schodów nie powiększała różnicy poziomu między wysokim gościem i małym gospodarzem. Lecz i wtedy Blandois nie spuszczał oka z Jeremiaha.

– Jestem zachwycony – wołał. – Co za tajemniczość! Czy pan słyszy dziwne szmery i odgłosy?

– Tutaj? Nigdy nie słyszę.

– Jak to? Czyż taki stary dom może nie być nawiedzany przez diabła?

– Przynajmniej nie przychodzi pod własnym imieniem – odrzucił Flintwinch obojętnie.

– Ha, ha, ha! A ten portret?

Lecz patrzył na Flintwincha, jakby on był portretem.

– To nieboszczyk pan Clennam, mąż mojej obecnej współniczki.

– Właściciel zegarka, który podziwiałem?

Flintwinch skinął głową w milczeniu.

– Dzielny charakter tej kobiety – zauważył znowu nieznamy, wskazując głową w kierunku pokoju pani Clennam.

– Tak, ma dużo siły woli i odwagi.

– Musieli być szczęśliwi?

– Kto? – zapytał Flintwinch.

– No, ci dwoje – odparł Blandois, wskazując schody i portret, ale nie odwracając oczu od Flintwincha.

– Tego nie wiem. Prawdopodobnie. Każda rodzina ma jakieś swoje tajemnice.

– Tajemnice! – zaśmiał się swym dziwnym, przygłuszonym śmiechem Blandois i pochyliwszy twarz nad Jeremiahem, uderzył go jednocześnie obu rękami po ramionach.

– Tak, tak, każda rodzina! Są różne tajemnice, panie Flintwinch, prawda?

Poklepał Jeremiaha po plecach i wybuchnął przeciągłym śmiechem, który w pustym domu budził dziwne echo. Ten wybuch wesołości drażnił Jeremiaha w najwyższym stopniu, ale nie mógł jej przeszkodzić.

– Pozwól mi pan na chwilę – przemówił Blandois, odbierając mu świecę – chciałbym przypatrzeć się trochę mężowi tej niepospolitej kobiety. – Ho! I w tych rysach jest także stanowczość... tylko inna... One zdają się mówić... jakże tam: „Nie zapomnij!”... Tak: nie zapomnij! mówi ten portret do mnie. Słowo daję, panie Flintwinch.

Oddał świecę, obejrzał jeszcze raz Flintwincha, niby jeszcze ciekawszy portret, oświadczył, że jest zachwycony domem, i że dzisiejszy wieczór wart dla niego więcej niż czek na pięćset franków.

Flintwinch nie mógł się mylić, spostrzegając, że zachowanie się pana Blandois było chwilami brutalne i wzywające, ale zachował cały swój kamienny spokój i wygląd odciętego przez życzliwą rękę wisielca z kawałkiem postronka na szyi.

– Jestem zachwycony dzisiejszą wizytą – powtarzał Blandois w sieni, już ubrany w swój płaszcz i czapkę. – Przyznaję, że nie spodziewałem się tyle. Czy pan miewasz przecucia, panie Flintwinch?

– Nie rozumiem, co to znaczy – oparł Jeremiaha po prostu.

– Jak to, czy nie przeczuwa pan na przykład, że wkrótce spotka pana przyjemność?

– W tej chwili nic podobnego nie przeczuwam.

– A ja przeczuwam, panie Flintwinch, że staniemy się wkrótce... dobrymi znajomymi. Jestem tego zupełnie pewny.

– Nie przeczuwam – powtórzył spokojnie Jeremiaha.

– Nie przeczuwasz nic w tym rodzaju, mój miły, że musimy się stać przyjaciółmi?

– Nie wiem.

– Więc chodź do mnie na buteleczkę – zaproponował gość z dziwnym

uśmiechem.

Wyszli razem. W oberży Blandois kazał podać wino w swoim pokoju i zasiedli z Flintwinchem naprzeciwko siebie.

Lecz jeśli cudzoziemiec liczył na to, że upoi Flintwincha i rozwiąże mu język, to zmarnował bez skutku trzy butelki. Jeremiaś spełniał chętnie każdy toast, pozwalał nalewać sobie nową czarę, pił, milczał i był całkowicie przytomny.

Blandois zrozumiał wreszcie, że równie bezskutecznie mógłby go w ten sposób poić do jutrzejszego wieczoru, więc podniósł wąsy w górę i patrzył na niego złośliwie.

– A zatem jutro zgłosisz się pan do nas po odbiór swojej należności? – odezwał się Jeremiaś niespodzianie, jak człowiek rozważający interesy.

– Bądź spokojny, mój drogi – odparł Blandois, ruszając wąsami. – Zgłoszę się i odbiorę, co mi się należy. Daję słowo szlachcica, że posłyszycie o mnie i że się spotkamy, a wtedy was pociągnę... bądź spokojny.

Lecz nazajutrz Blandois nie zgłosił się do biura, a gdy wieczorem Flintwinch przyszedł się dowiedzieć o niego w oberży, powiedziano mu, że wyjechał bardzo rano.

Pomimo to Jeremiaś był zupełnie pewny, że zobaczy go wkrótce.

ROZDZIAŁ XVI

PEWNEJ NIEDZIELI

Pewnej niedzieli Amy odwiedziła Plornishów i zastała u nich ojca pani Plornishowej, starego Nandy, który mieszkał w przytułku dla starców. Był on niegdyś śpiewakiem w jakimś skromnym przybytku muzy, nie wiodło mu się w życiu, wydał córkę za Plornisha, który odziedziczył zarazem jego długi i z tego powodu znalazł się w Marshalsea. W tamtym też czasie starzec przeniósł się do przytułku i powiedział córce, że nie wróci do nich, dopóki wszystkie długi nie zostaną spłacone.

Ciężar tych długów – w gruncie rzeczy drobnych – przytłaczał jednak biednego Plornisha, który wszakże nie tracił nadziei, że kiedyś będzie lepiej.

A wówczas stary ojciec wróci do nich, nie będzie nosił tego straszego ubrania, po którym każdy poznaje z daleka, że to biedak żyjący z miłosierdzia. Wtedy Plornishowa będzie najszczęśliwszą z kobiet i już więcej niczego nie będą pragnęli.

Teraz tylko w niedzielę, i to bardzo rzadko, pan Nandy mógł odwiedzać córkę i rozweselać śpiewem ich biedną izdebkę. Nie miał on więcej głosu od zmęczonego ptaszka, lecz pani Plornish słuchała go zawsze z zachwytem i zapewniała zazdrosne sąsiadki, że nikt na świecie nie śpiewa tak pięknie, jak jej ubogi ojciec.

– Ach, jak to dobrze, że pani dziś przysła, panno Amy – zawołała ucieszona Plornishowa. – Ojciec nam zaśpiewa o Filis i Chloe. Tak dawno u nas nie był!

– Nie można, Saro, trudno – tłumaczył się starzec.

– Będzie inaczej, gdy ojciec znów zamieszka z nami. Tam nie mają zrozumienia dla nikogo.

– Będzie inaczej – mówił biedny śpiewak z błyskiem nadziei w oczach. – Naturalnie. Przyjdzie ta chwila, jeśli się tak Bogu spodoba.

– To już ojca wola – odezwał się Plornish. – Ciężko bywa, lecz Sara świadkiem, że chętnie podzielimy się kawałkiem chleba, byle już raz być razem, jak pan Bóg przykazał.

– Nie, nie, dobry Tomaszu – szeptał wrzuszony staruszek – nie będę odejmował od ust twoim dzieciom. Wiesz, jak postanowiłem, reszta w mocy Boga.

Wkrótce staruszek zaczął się zbierać, gdyż chciał tego dnia jeszcze odwiedzić

Marshalsea i złożyć uszanowanie panu Dorrit. Pan Dorrit był dla niego zawsze bardzo łaskaw. Mógłby iść z panną Dorrit, jeżeli pozwoli.

Amy zgodziła się chętnie, gdyż także wracała do domu i z przyjemnością widziała, jak dumny był staruszek, idąc obok niej przez ulicę.

Szli z wolna, rozmawiając – na moście wiszącym Amy zaproponowała odpoczynek i usiedli na jednej z ławek. Patrzyli na rzekę, a staruszek mówił, co by zrobił, gdyby do niego przyplłynął taki statek, pełen złota. Wynająłby dla Plornishów piękny dom z ogrodem, co dzień pijaliby kawę na śniadanie, a przy obiedzie lemoniadę. Myśl o tym rozweseliła go i pokrzepiła.

Tuż prawie przed więzieniem spotkali strojną Fanny. Na widok Amy, prowadzącej starca, cofnęła się o kilka kroków, a twarz jej wyrażała taką zgrozę, że maleńka Dorrit się przelękała. Pozostawiła pana Nandy i podbiegła do siostry przerażona.

– Fanny, co się stało? – zapytała.

– Fanny, Fanny! – powtórzyła tamta. – Wstydziłabyś się pokazywać w dzień biały na ulicy pod rękę z żebrakiem z przytułku! Ale ty Amy nie masz za grosz godności – oburzała się starsza siostra.

– Nie rozumiem takiego wstydu – odparła maleńka Dorrit. – Opiekuję się biednym starcem, to nie przynosi ujmy.

Ale Fanny wzruszyła tylko ramionami i odwróciwszy się z pogardą, przeszła na przeciwną stronę.

Amy ujęła znów starca pod rękę i weszli razem do więzienia. Na dziedzińcu spostrzegła ojca, który zmierzał właśnie w tę stronę. Ujrawszy ją, przystanął, odwrócił się i nie witając pana Nandy, spiesznie odszedł do siebie.

Teraz już prawdziwie przestraszona maleńka Dorrit prosiła starca, aby posiedział chwilę na ławce przed mieszkaniem odźwiernego, a sama pobiegła na górę.

Zastała pana Dorrit na fotelu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Ojczy, co się stało? – zawołała Amy. – Czy sprawiłam ci jakąś przykrość?

– Dziecko więzienia! – zawołała Fanny, wbiegając też po schodach.

Pan Dorrit skinął na nią, żeby umilkła, i odsłonił zbolące oblicze.

– O Amy! – rzekł – wiem dobrze, że nie miałaś złego zamiaru, a jednakże dotknęłaś mnie boleśnie.

– Nie rozumiem, ojczy! – zawołała Amy, bliska płaczu. – Zawsze byłeś tak dobry dla biednego Nandy.

– Tak – powtórzył pan Dorrit – lituję się nad nędzą tego starca i przyjmuję go

chętnie, jak wiernego służy, dla którego moje względy mają wysokie znaczenie. Ale to ma granice. Moje dziecko pod rękę z żebrakiem... O, to dla mnie za wiele!

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Wszedł John z listem przysłanym przez posłańca. Pan Dorrit uspokoił się natychmiast. Otworzył list, dość zrećźnie wsunął w rękę banknot, który się w nim znajdował, i zaczął w pół czytać, a w pół objaśniać głośno.

– Od pana Clennama... przyjdzie dzisiaj po południu... przesyła pozdrowienie... ma nadzieję, że zastanie cię tu, Amy! Dziękuję, Johnie. Czy ktoś czeka na odpowiedź?

– Nie, panie.

– Bardzo ci dziękuję, Johnie. Kłaniaj się matce. Spodziewam się, że zdrowa?

– Owszem, dziękuję panu.

Biedny młodzieniec wyszedł, chwiejąc się na słabych nogach, i układając nowy dla siebie nagrobek:

Tu leżą śmiertelne szczątki

JOHNA CHIVERY,

*Który ujrawszy bóstwo swojej duszy, zalane łzami boleści,
nie mógł przeżyć tego widoku i skrócić dni swoje,
zostawiając rodziców w nieutulonym żalu.*

– Amy, moje dziecko – zwrócił się pan Dorrit do córki – gdzie mój biedny protegowany? Przyprowadźże tu zaraz pana Nandy, gdyż pomyśli, że niechętnie go widzimy.

– Mój ojczcie – rzekła Amy, która łkała jeszcze – czy nie byłoby lepiej, żebyś ty poszedł po niego?...

Pan Dorrit spojrział na córkę uważnie.

– Masz słuszość, owszem – powiedział swobodnie. – Ty idź do siebie, uspokój się i obmyj oczy, skoro ma przyjść pan Clennam.

– Wołałabym nie widzieć go dziś, ojczcie.

– To już dzieciństwo! Za nic się na to nie zgodzę. Człowiek tak przyzwoity, dobrze wychowany, nie zasługuje na to, aby mu robić niegrzeczności. Idź do siebie, Amy, i wróć, proszę cię bardzo.

Zeszli razem. Pan Dorrit zastał starca u wejścia. Ten na jego widok podniósł się i zdjął kapelusz. Ojciec Marshalsea przywitał go bardzo uprzejmie, pytał o zdrowie i zabrał na górę.

Po drodze wezwał Maggie i kazał jej zrobić herbatę, kupić chleb, masło, wędliny i ser, słowem, wszystko co jest potrzebne na prawdziwie gościnne przyjęcie.

Przyszła i maleńka Dorrit i z robotą w rękę usiadła z boku na krzeselku.

Zjawił się pan Clennam. Pan Dorrit prezentował mu obecnych.

– Moja starsza córka, Fanny. Mój protegowany, pan Nandy, biedny starzec, mieszka w przytułku. Pan zna Plornishów? Ojciec Plornishowej.

– Tak? Bardzo mi przyjemnie – zapewniał pan Clennam – mam nadzieję, że wkrótce poznamy się bliżej.

I życzliwie uścisnął rękę starca.

– Maggie, rozłóż na oknie tę gazetę, moje dziecko, i podaj tam herbatę panu Nandy – polecił dobrotliwie pan Dorrit. – Jeszcze kawałek szynki, mój kochany Nandy? Jakże niewiele jadasz. Amy, podaj mu to miękkie ciastko.

Był troskliwy do końca. Ofiarował biedakowi szylinga na tytoń i polecił Maggie sprowadzić go ze schodów. Sam stanął w oknie i patrzył na starca, gdy wolnym krokiem przechodził przez podwórze.

– Smutna starość – zwrócił się do pana Clennama.

Fanny włożyła kapelusz, zabierając się do wyjścia, gdy wszedł Tip, powitał obecnych ukłonem, uściskał Amy, pochylił się ku ojcu, skinął głową Fanny i usiadł na krześle.

– Czyż nie masz przyjemności znać pana Clennama? – spytał zadziwiony ojciec.

– Nie mam i wcale jej sobie nie życzę – odparł młodzieniec niedbale.

– Co to znaczy? – zawołał ojciec Marshalsea surowo. – Jak śmiesz w mojej obecności...

– Nie gorączkuj się, ojcze – przerwał Tip wyniośle. – Wiem, co robię, i nie chcę znać tego pana, ponieważ nie postąpił ze mną, jak się postępuje z dżentelmenem.

– Przebacz mu, panie Clennam – zawołał pan Dorrit. – A co do ciebie, Tipie, nie mogę się nadziwić, jak śmiesz w moim mieszkaniu, wobec mego gościa...

– Ach, mój ojcze, nudne morały zostawmy dla dzieci. Nie chcę cię irytować, więc ustępuję z placu. Chodźmy, Fanny.

Ojciec Marshalsea upadł na fotel, wzburzony tym nowym dzisiaj przejściem – zastanawiał się prawdopodobnie, w jakich słowach rozpocząć tłumaczenie Tipa, gdy weszło dwóch delegatów z kawiarni, prosząc, aby pan Dorrit raczył prezydować w zebraniu muzycznym, które się rozpoczynało.

– Obowiązki mojego stanowiska! – zwrócił się ojciec Marshalsea do pana

Clennama. – Nie wątpię, że pan rozumie moje położenie.

Clennam, który przyszedł wyłącznie dlatego, aby pomówić z Amy, naturalnie rozumiał wszystko i prosił pana Dorrit, aby nie kazał czekać na siebie zgromadzonym.

Tym sposobem na koniec po kilku tygodniach daremnych usiłowań znalazł się sam na sam z maleńką Dorrit. Wprawdzie Maggie zmywała szklanki, ale ona się nie liczyła.

Arthur wziął krzesło i postawił je obok Amy, usiadł i położył rękę na robocie, nad którą pochyliła bladą twarz.

Zabrał jej robotę i położył ją na stole.

Amy złożyła ręce i nie zmieniała postawy. Wziął jedną małą rączkę i zamknął ją w swojej.

– Maleńka Dorrit – mówił łagodnie – tak dawnośmy się nie widzieli!

– Byłam bardzo zajęta, panie.

– Dziś byłaś u Plornishów, a ja o tym nie wiedziałem.

– Nie... nie chciałam panu przeszkadzać. Pan teraz ma tyle pracy.

Oczy miała spuszczone, głos cichy i drżący.

– Moje dziecko – rzekł Clennam – dlaczego zmieniałaś się wobec mnie?

Amy nie mogła dłużej zapanować nad sobą i wybuchnęła płaczem, zasłaniając twarz rękami.

Arthur milczał chwilę, czekając, aż się uspokoi.

– Maleńka Dorrit – zaczął nareszcie – pozwoliłaś mi się tak nazywać. Twój płacz sprawia mi wielką przykrość, ale może przyniesie ci ulgę.

– Tak, panie – powtarzała – tak...

– Ale już teraz uspokój się, dziecko. Wierz mi, cała ta scena niewarta jednej twojej łzy. Żałuję, że przyszedłem i dałem do niej powód, ale tylko dlatego, że ciebie to tak boli.

Uspokoiła się trochę, lecz łzy płynęły jeszcze po jej twarzy i nadal drżała.

– Pan jest taki dobry – przemówiła znowu – nie może pana dziwić, że taka niewdzięczność...

– Tst! – szepnął. – Zapomnijmy i nie mówmy o tym. Chcę być dla ciebie przyjacielem, któremu obiecałaś ufać. Czy pamiętasz?

– Będę pamiętać o tym i dlatego proszę pana... żeby... żeby pan nie sądził Tipa zbyt surowo, bo... bo... jakież wychowanie tu... w tych murach...

Podniosła oczy na Arthura i umilkła.

– Czy pan był chory? – zapytała zmienionym głosem.

– Nie.

– Więc... pan miał jakieś... ogromne zmartwienie.

Arthur zastanawiał się przez czas jakiś.

– Przeżyłem przykre chwile – odezwał się wreszcie. – Ale to już minęło. Nie przypuszczałem, że to wyczytasz z mojej twarzy. Powinienem lepiej panować nad sobą. Postaram się o to, biorąc przykład z maleńkiej Dorrit.

Był ogromnie zdziwiony spostrzeżeniem Amy, lecz zdecydował się skorzystać z tego. Pragnął jej zaufania, czyż nie słusznie zdobyć je szczerością własną?

– Nie gniewam się tym razem, że mnie moja twarz zdradziła – powiedział. – Z kimże mogę mówić otwarcie o tym, co boli, jeżeli nie z tobą. Jesteśmy przecież przyjaciółmi i pierwszy dam ci dowód zaufania. Jestem stary, moje dziecko, bardzo stary, i... zapomniałem o tym... Wychodzi za mąż młodzianka dziewczyna, do której przywiązałem się zanadto... Sam o tym nie wiedziałem... i dopiero... teraz... to mnie dużo kosztowało...

– Zresztą to już minęło – dodał po chwili milczenia. – Już minęło. Mówię o tym dlatego, żebyś zdała sobie sprawę, jaka jest między nami różnica wieku. Mógłbym prawie być twoim ojcem. I dlatego mam prawo chyba się spodziewać, że maleńka Dorrit będzie ze mną szczerą... nawet co do uczuć, o których nie mówi się zwykle... Dlaczego unikałaś mnie? – zaczął po chwili. – Wiem, że mnie unikałaś, maleńka Dorrit.

– Tu mi jest najlepiej – rzekła cichym głosem. – Tu spełniam obowiązek.

Objął wzrokiem drobną istotę, tak wątłą ciałem, w zniszczonej sukience i znoszonych trzewikach, w której mieszkała silna, bohaterska dusza.

– Czy pamiętasz, co mówiłaś mi wtedy na moście? Wyrzucasz sobie krótką przechadzkę dla zdrowia, dla nabrania sił i odwagi. Dużo myślałem o tym, moje dziecko, i... chciałem zapytać... czy nie masz w serduszkku jakiejś małej, maleńkiej tajemnicy, którą powinnaś mi także powierzyć?...

– Tajemnicy? – powtórzyła Amy słabym głosem. – Nie... nie mam takiej tajemnicy...

– A księżniczka! – zawołała nagle Maggie. – A ta mała dziewczyna, co przędła na progu? Powiedz mu, jaką miała tajemnicę, matusiu!

Amy oblała się ciemnym rumieńcem i Arthur patrzył na nią zadziwiony.

– To... bajka – szepnęła wreszcie drżącym głosem, czując jego badawczy wzrok na sobie.

– Maleńka Dorrit – przemówił jeszcze ciszej, delikatnie biorąc jej rękę – tak dawno chciałem o tym porozmawiać z tobą... otwarcie... Uważaj mnie za starca, który cię bardzo kocha, jak swoje własne dziecko... Gdyby nie to, iż w tym pokoju skupiają się wszystkie twoje uczucia i myśli, dawno pomówiłbym z twym ojcem, prosząc go o pozwolenie umieszczenia cię odpowiedniej. Lecz wiem, że nie zgodziłabyś się na to... Jesteś jednak młodą dziewczyną, twoje serce może uderzyć dla kogoś poza murami tego smutnego więzienia...

Amy potrząsnęła głową energicznie, była bardzo błada i nie patrzyła na niego.

– Może to się stać, maleńka Dorrit.

– Nie... nie... nie... – wyszeptała z taką stanowczością, jej postać wyrażała taki beznadziejny smutek, że Arthur długo potem nie mógł zapomnieć jej głosu ani wyrazu twarzy.

– Może się to stać kiedyś, maleńka Dorrit... Chodzi mi tylko o to, żebyś wtedy... obdarzyła mnie zaufaniem. Czy przyrzekasz?

– Dziękuję. Ale to się nigdy nie stanie.

– Więc mogę na to liczyć? Maleńka Dorrit... Dziś i zawsze?

– Nic prawie nie mam do ukrycia przed panem.

– Mogę być tego pewny? Mogę być spokojny, kiedy zacznę myśleć o tobie sam w swoim pustym pokoju?

Szybkie kroki dały się słyszeć na schodach, Amy spojrzała na drzwi zaniepokojona, ktoś zapukał mocno, ale niepewną ręką, jednocześnie prawie drzwi się otworzyły i wszedł Pancks ze zwichrzoną jak nigdy czupryną, z palącymi się czarnymi oczami, sapiąc jak lokomotywa i roztaczając zapach piwa i tytoniu.

– Pancks-Cygan, wróż, dobra nowina! – bełkotał.

Uśmiechał się dziwnie i stał nieruchomy na progu, obejmując pokój, Arthura i Dorrit takim wzrokiem, jakby był panem Marshalsea, wszystkich tu uwięzionych i wszystkich dozorców. Podniósł do ust cygaro i puścił taki kłąb dymu, że prawie zniknął z oczu w tym obłoku, a gdy się znów ukazał, prawe oko miał przymrużone, a lewe rzucało jakieś dziwne blaski.

– Pancks wróż... Cygan... – powtarzał. – Śpiewałem w kawiarni. Nie znam się na muzyce, ale to wszystko jedno! Mogę dziś nawet tańczyć, jeśli chcecie.

Amy widocznie drżała, Arthur przypuścił na chwilę, że Pancks się upił, ale

rozumiał zaraz, że choć piwo istotnie zawróciło mu trochę w głowie, jakaś głębsza przyczyna podnieca go do tego stopnia.

– Dzień dobry państwu – zaczął. – Wiem od pana Dorrit, że tu jesteście. Jakże zdrowie, panno Dorrit? Jak zdrowie, panie Clennam? Do pana na chwileczkę mam interes... Nie chcę, żeby tam spostrzegli, że mnie nie ma. Ja dziś funduję wszystkim!

Zdawało się, że jakieś iskry elektryczne tryskają z jego oczu i wzburzonych włosów, a gdy wybuchnął rzeniem, które było śmiechem, Amy, drząc z trwogi, mocniej ścisnęła rękę Arthura.

– Pani się boi? – zawołał Pancks. – Nie trzeba. Przy ludziach się nie znamy, sam o to prosiłem, ale to nie dotyczy pana Clennama. To swój! Nieprawdaż, panie Clennam? Nieprawdaż, panno Dorrit?

Arthur był tak wzburzony, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Amy spostrzegła, że usta miał sine i wzrokiem porozumiewa się z Pancksem. Wymieniali jakieś przelotne, błyskawiczne prawie spojrzenia.

– Mam panu coś powiedzieć, ale... nie pamiętam – plątał się Pancks – aha, piękne towarzystwo! Funduję dzisiaj wszystkim, nie ma o czym mówić! Zastawię zaraz stoły na podwórzu! Chciałbym wyprawić ucztę Baltazara! Będzie pieczeń, pudding i wino. Mam nadzieję, że zarząd mi pozwoli, nieprawdaż, panno Dorrit?

Amy nie mogła wątpić, że Arthur rozumie, co znaczą wykrzykniki tego dziwnego człowieka, i to ją przejmowało większym jeszcze niepokojem.

– *À propos* panno Dorrit, czy chce pani wiedzieć, co tam na rękę ma pani jeszcze napisane? Ha, ha! Dobra nowina! Dobra nowina! Zawarliśmy pewien układ, panie Clennam. Zauważą, że mnie tam nie ma, ale chcę dotrzymać słowa. Może pan zejdzie ze mną. Do widzenia, panno Dorrit!

Chwycił nagle obie jej ręce, ścisnął mocno, że o mało nie krzyknęła, i rzucił się ku schodom, a Arthur wybiegł za nim tak pospiesznie, iż potknął się i omal nie spadli obaj razem.

– Na Boga, co się stało? – spytał Arthur, gdy znaleźli się wreszcie na dole.

– Zaraz, zaraz... to pan Rugg, mój przyjaciel... wspólnik... zaraz, zaraz. Chodźmy.

I pociągnął przyjaciela-wspólnika pod pompę. Sam schylił głowę, a pan Rugg pompował, nie żałując energii. Strumień zimnej wody zlał czarną czuprynę parowego motoru raz i drugi, Pancks wyprostował się i otarł chustką twarz i włosy.

– To mi rozjaśni myśli – powiedział do Arthura, który patrzył na niego ze zdziwieniem. – Słowo honoru daję, kiedy człowiek wie na pewno, co my wiemy, i widzi pana Dorrit tam przy stole, a pannę Dorrit w tej sukni, w tym pokoju... a wie

to, co my wiemy... Daj pan plecy, panie Rugg, dobrze... trochę wyżej!

Odstąpił parę kroków i jak koń na wyścigach przeskoczył przez przyjaciela-wspólnika, stanął na równe nogi i ujawszy za guzik pana Clennama, poprowadził go w ciemny kąt za studnią. Tu każdy z dwóch wspólników wyjął zwój papierów z kieszeni.

– Odkrył pan coś w sprawie Dorrit? – zapytał Clennam gorączkowo.

– Trochę! – odparł tamten ze rżeniem, którego żadne pióro nie wyrazi.

– Znalazłeś krzywdziciela?

– Jak to? Co to znaczy?

– Dzięki Bogu! – zawołał Clennam z westchnieniem ulgi. – Więc cóż to jest?

– Zaraz się pan dowie – mówił krótkimi zdaniami, rozwijając papiery, które trzymał w ręku. – Gdzie jest genealogia? Aha! A dokument numer cztery, panie Rugg... Bardzo dobrze... Idźmy dalej! Jesteśmy dzisiaj zupełnie w porządku. Już zupełnie. Choć prawnie potrwa to jeszcze dni kilka. Pracujemy już nad tym ile, panie Rugg? No, mniejsza z tym! Pan musi przygotować maleńką Dorrit, panie Clennam... ale jeszcze nie teraz. Powiem panu, jak przyjdzie pora. Gdzie jest ogólna suma? Aha! ... proszę, czytaj. To pan musi powiedzieć maleńkiej Dorrit... To majątek ojca Marshalsea.

ROZDZIAŁ XVII

SEZAM

Było tak wcześnie, że Arthur Clennam leżał jeszcze w łóżku, kiedy wszedł Pancks z papierami zawiadomić go, że sprawa Dorrit formalnie skończona i może nawet dzisiaj opuścić więzienie.

Pancks rozumiał, że do tej zmiany należy przygotować rodzinę i powierzał to Arthurowi. Przy tej okazji z dumą i zapałem mówił o swojej pracy, która doprowadziła do tak świetnego rezultatu.

On pierwszy wpadł na pomysł, że jest jakiś związek między nazwiskiem Dorrit i spadkiem dla potomków wygasłej rodziny, właścicieli Dorsetshire. On sam ze zdumiewającą cierpliwością snuł długie miesiące tę wątlą, nieuchwytną prawie nitkę, która chwilami rwała się zupełnie. On włożył w ten interes wszystkie swoje oszczędności, a kiedy mu zabrakło, pożyczył od Rugga i zawiązał z nim spółkę. On wynalazł niestrudzonego pomocnika w osobie Johna Chivery. On sam wreszcie znajdował szczególną przyjemność w tej myśli, że pracuje dla maleńkiej Dorrit, która go pociągała w dziwny sposób i zachęcała swą prostotą do wytrwania.

Zresztą wytrwałby dla samego interesu, bo przecież po to jesteśmy na świecie, ale zawsze milej pracować dla Dorrit.

– Sądzę, że oprócz tego pańska praca będzie wynagrodzona bardzo hojnie – zauważył Clennam. – Jestem tego pewny.

– I ja tak samo myślę – rzekł Pancks zupełnie szczerze. – Nie targowałem się z góry – ale gdybym odłożył z tego tysiąc funtów, byłbym zadowolony, a myślę, że tyle jestem wart.

Mówiąc to wszystko, nie usiadł na chwilę, kręcił się po pokoju, rżał, sapał, gryzł paznokcie i wicherzył włosy, na koniec spojrział szybko na zegarek i oświadczył, że musi spieszyć dalej.

– Dziś mała Amy szyje u pani Flory – dodał na pożegnanie – niech się pan tam z nią zobaczy.

Nie potrzebował do tego namawiać. Arthur ubrał się zaraz, żeby uprzedzić jej przyjście, i udał się do pana Casby.

Flora powitała go bardzo zdziwiona, lecz gdy jej powiedział, z czym przychodzi,

najpierw rozplakała się ze wzruszenia, a potem zaczęła go prosić usilnie, ażeby jej pozwolił stać za uchylonymi drzwiami, kiedy będzie rozmawiał z Amy.

Arthur z uśmiechem skinął tylko głową, gdyż właśnie maleńka Dorrit ukazała się na progu.

Ze zdziwieniem podniosła oczy na Arthura i pobladła, ujrawszy wyraz jego twarzy.

– Co się stało, panie Clennam? – zapytała z trwogą.

– Nic złego, moje dziecko. Przyszedłem tutaj, aby zobaczyć się z tobą. Mam dla ciebie dobrą nowinę.

– Dobrą nowinę?

– Najlepszą, jaka być może!

Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i otoczył ramieniem, obawiając się, ażeby nie upadła.

– Najlepszą, jaka być może? – powtórzyła prawie bez głosu.

– Tak, droga, maleńka Dorrit... twój ojciec...

Jej blada twarzyczka zajaśniała nagle radością oczekiwania tej „dobrej nowiny”.

– Ojciec? – spytała z zapartym oddechem.

– Ojciec twój będzie wolny... wkrótce... bardzo prędko... Jeszcze o tym nie wie. Musimy go uprzedzić... przygotować... pamiętaj, że musimy to zrobić niedługo...

Amy przymknęła oczy, jakby je wysłała naprzód tam, gdzie jej ojciec.

– To nie wszystko jeszcze – mówił dalej Arthur – czy chcesz usłyszeć więcej?

Ruchem ust odpowiedziała twierdząco.

– Ojciec nie będzie biedny, wyszedłszy z więzienia. Niczego mu nie zabraknie...

Czy mogę mówić dalej?... Pamiętaj, że musimy go uprzedzić... wkrótce...

Nic nie odpowiedziała. Więc milczał przez chwilę, potem zapytał znowu:

– Czy mam mówić dalej?

Skinęła lekko głową.

– Ojciec twój jest bogaty. Jest już teraz. Jesteście bardzo bogaci, wy wszyscy. I ty, najlepsza córko.

– Ojciec... ojciec... – wyszeptwała bardzo wolno, jej głowa opadła mu nagle na ramię: Amy straciła przytomność...

W tej samej chwili zjawiała się Flora, ułożono troskliwie zemdloną na sofie, ukazały się sole i kolońska woda. Wkrótce przyszała do siebie.

Otworzyła oczy, lecz widoczne było, że nie wie, co się stało. Patrzyła na Arthura

prawie z bezmyślnym wyrazem. Wtem błysnęło w jej oczach przypomnienie, oblała się rumieńcem, usiłowała podnieść.

– Do ojca – rzekła. – Chcę wrócić do ojca... Muszę mu to powiedzieć...

Upadła na kolana i zalała się łzami, wzniosła ku niebu oczy i złożyła ręce, z ust jej padały bezładne wyrazy dziękczynienia, miłości... dla ojca... za ojca.

Pocziwa Flora także wybuchnęła płaczem.

Wkrótce mała Dorrit znalazła się wraz z Arthurem w powozie, który niósł ich szybko przez nędzne ulice do ponurego miejsca, gdzie upłynęła jej młodość.

Arthur malował jej przyszłość jasnymi kolorami. Mówił, że będzie wolna od przymusowej pracy, od uciążliwych zajęć, ale ona słuchała uważnie tylko wtedy, kiedy mówił o ojcu. Dla niej jedynym szczęściem była jego wolność, jego bogactwo i zadowolenie.

Odźwierny spojrzął na nich zdziwiony, gdy wysiedli z powozu i szli przez podwórze. Kilku więźniów widziało ich twarze zmienione i w mgnieniu oka całe Marshalsea obiegła wieść nadzwyczajna, której nikt nie rozumiał.

Małeńka Dorrit zapukała do drzwi ojca i wsunęła się pierwsza z rozchyłonymi ustami, bijącym sercem i płonącym wzrokiem. Arthur wszedł za nią.

Pan Dorrit spojrzął na nich zdziwiony. Nie był przygotowany na te odwiedziny, nie mógł pojąć, co znaczą ich zmienione twarze.

Amy usiadła przy nim i oparła mu obie ręce na ramionach.

– Ojczy – rzekła – taka jestem szczęśliwa!

– Szczęśliwa?

– Tak, ojczy... pan Clennam przyniósł tę dobrą nowinę... taką dziwną... taką nieprawdopodobną... przyniósł dla ciebie, ojczy... ale gdyby mnie nie przygotował... myślę...

Łzy nagle popłynęły jej po twarzy, patrzyła ojcu w oczy rozpromienionym wzrokiem.

Pan Dorrit zbłądł, rękę położył na sercu i spojrzął na Clennama.

– Niech się pan uspokoi – prosił Arthur. – Dobre wieści, lecz trzeba się oswoić, przygotować... Niech pan pomyśli sobie o jakimś wielkim szczęściu. Mówią nieraz o cudach. Zdarzają się i dzisiaj, panie Dorrit.

– Zdarzają się i dzisiaj – z wolna powtórzył ojciec Marshalsea. – Co toaczy? Zdarzają się cuda... dla mnie?

– Tak – odpowiedział Clennam.

– I cóż mnie może spotkać... tu... dobrego...? – mówił, zdejmując binokle i kładąc je na stole.

– Pozwól pan, że odpowiem na to zapytaniem. Powiedz pan, czego byś pragnął najgoręcej?... Nie lękaj się żądać za wiele!

Mężczyzna patrzył uważnie na Arthura. Na zmęczonej, zniszczonej jego twarzy odmalowało się jakieś bolesne uczucie. Z wolna podniósł rękę, którą przyciskał serce, i wskazał mur więzienia, który zamykał widok.

– Już go nie ma – rzekł Clennam.

Dorrit milczał z oczyma utkwionymi w oczach Arthura.

– Już go nie ma – powtórzył Arthur. – Zamiast żelaznej kraty świat otwarty i możność spokojnego korzystania ze swobody. Jest pan wolny, jest pan bogaty. Może dni parę, może kilka godzin i ta przeszłość zniknie na zawsze. Winszuję panu szczerze tej szczęśliwej odmiany losu, która dotyczy również stokroć większego skarbu, jaki posiadałeś zawsze: twojej najlepszej córki.

Maleńka Dorrit zarzuciła ojcu rękę na szyję.

– Co za szczęście! – szeptała. – Zobaczę cię innym! Zobaczę cię swobodnym, bez chmury na czole! Zobaczę cię, jakim byłeś, nim tu wszedłeś! O, dzięki, dzięki Bogu!

Pozwalał jej się pieścić i okrywać pocałunkami, ale ich nie oddawał, nic nie mówił, w końcu zaczął drżeć, jakby z zimna.

Arthur szepnął Amy, żeby posłała po wino, a chłopiec, który je przyniósł z kawiarni, zdobył ciekawą wiadomość, że ojciec Marshalsea odziedziczył wielki majątek.

Tymczasem Amy posadziła pana Dorrit na fotelu i rozpięła mu kołnierzyk. Arthur nalał szklaneczkę wina i przysunął mu do ust. Przełknąwszy parę łyków, pan Dorrit wziął szklankę i wychylił ją do dna, potem oparł się o poręcz fotela i zaczął głośno płakać, zasłaniając twarz chustką.

Arthur pomyślał sobie, że do pewnego stopnia może rozerwać go opowiadaniem o zabiegach Pancksa, który od niego samego umiał zdobyć niejedną pożyteczną szczegół w swoich poszukiwaniach. Pan Dorrit zdawał się słuchać z zajęciem.

– Będzie za to wynagrodzony – rzekł na koniec – hojnie wynagrodzony... Możesz mu pan powiedzieć, panie Clennam... Wszyscy będą wynagrodzeni, panie Clennam – mówił gorączkowo, wstając i przechadzając się tam i z powrotem po swoim maleńkim pokoiku. – Nikt nie powie, że został pokrzywdzony, że zapomniałem o nim, o wyrządzonej mi kiedykolwiek grzeczności. Jakże mi będzie miło zwrócić panu dług, jaki zaciągałem nieraz. Chcę też wiedzieć, ile winien jestem

za syna. Nie chcę żadnego długu. Chivery zostanie hojnie wynagrodzony, John także. Chcę być wspaniałomyślny i szczodry.

– Może pan sobie życzy – odezwał się Clennam – na najpilniejsze wydatki pewnej sumy niezbędnej? Wziąłem ze sobą trochę pieniędzy, przewidując, że mogą być potrzebne.

– Dziękuję panu bardzo. Rzeczywiście, to jest konieczne. Nie mam teraz żadnych skrupułów, gdyż wszystko zostanie zwrócone.

Spojrzał na Amy, zatrzymał się przy niej, zaczął głaskać jej włosy, przytulił do piersi.

– Trzeba wezwać modystkę, ubrać cię inaczej... ta sukienka jest, hm... bardzo skromna... teraz... I Maggie trzeba ubrać... hm, niepodobna tak. A Fanny, Tip, stryj Frederick... Trzeba po nich posłać... natychmiast... powinni wiedzieć, że... hm... o wielkiej zmianie.

W tej chwili na podwórzu pod oknami rozległ się głośny okrzyk. Clennam wyjrzał.

– Wieść się rozeszła – rzekł – wszyscy się cieszą. To radość szczerą. Czy im się pan pokaże?

– Hm, przyznaję... wolałbym przedtem trochę zmienić toaletę... brak zegarka – mówił urywanym głosem, przechadzając się gorączkowo. – Ale skoro trzeba... zapnij mi koszulę, Amy. Może pan będzie łaskaw podać mi błękitną chustkę... jest tam w szufladce... koło pana.

Drżącą ręką poprawił włosy i wsparty na Amy i Arthurze, stanął w oknie. Rozległ się znowu okrzyk szczerzy i serdeczny, pan Dorrit ruchem ręki pełnym godności przesyłał od ust pocałunki.

Clennam chciał odejść, ale Amy uprosiła go, aby pozostał, póki ojciec się nie uspokoi. Namawiała go, aby się położył, lecz nie chciał nawet usiąść i ciągle chodził po pokoju. Wreszcie, najwyraźniej wyczerpany, położył się na łóżku, które Amy przygotowała.

Małeńka Dorrit usiadła obok i chłodziła mu czoło złożoną gazetą.

Zdawało się, że zasnął – nagle podniósł się i usiadł.

– Zdaje mi się, panie Clennam, że pan mówił, że... że... że mógłbym w każdej chwili... wyjść tam... na przechadzkę?...

– Nie sądzę, panie Dorrit – odparł Arthur z wielką przykrością. – Pozostały jeszcze pewne formalności... zdaje mi się, że... trzeba krótki czas zaczekać.

Na te słowa pan Dorrit zaczął płakać.

– Chodzi o kilka godzin – uspokajał Arthur.

– Kilka godzin! – wykrzyknął ojciec Marshalsea z oburzeniem. – Dobrze panu tak mówić! Nie próbowałeś, jak długo trwa godzina, gdy dusi nas brak powietrza!

Odwrócił się do ściany i po chwili już spał.

Arthur siedział w milczeniu, patrząc na małą Dorrit. Ostrożnie, delikatnie przycisnęła usta do siwych włosów ojca, potem schyliła głowę i pogrzyżyła się w myślach.

– Czy wszystkie jego długie muszą być spłacone, zanim stąd wyjdzie? – spytała bardzo cicho.

– Naturalnie.

– I te, za które był więziony całe życie?

– Rozumie się. Panią to dziwi?

– A pana?

– Mnie się bardzo podoba.

– W takim razie... ale nie! Mnie się wydaje niesprawiedliwe płacić długie, za które już zapłacił życiem. Czy mu ktoś zwróci te lata więzienia?

– Moje dziecko...

– Wszystko jedno, niech pan mi nie tłumaczy. Pan może ma słuszość, ale ja tak czuję. Tego nauczyło mnie więzienie.

Siedzieli znów w milczeniu. Twarz małej Dorrit bladła, malowało się na niej znużenie. Opuściła bezwładnie rękę, potem oparła głowę o poduszkę ojca i wyczerpana tyłu wzruszeniami, zasnęła obok niego.

Clennam podniósł się ciężko i wyszedł z pokoju.

Jednak pomimo całego pośpiechu jeszcze kilka dni upłynęło, nim załatwiono wszelkie formalności. Pan Dorrit karciał surowo Pancksa i Rugga: płacił hojnie, lecz chciał być dobrze obsłużony.

Fanny i Edward w ciągu tego czasu zajęli się gorliwie toaletą rodziny i sprawą reprezentacji zewnętrznej. Oboje młodzi prawie w mgnieniu oka zrzucili z siebie dawną skórę, lecz trudniej było z Amy i stryjem Frederickiem, który od dawna zobojętniał na wszystko.

Dla pozostałych więźniów ojciec Marshalsea wydał wspaniałą ucztę pożegnalną, na której przydował Edward. On sam w swoim pokoju przyjmował tymczasem kolejno podług listy dawnych towarzyszy, hojnie rozdając upominki. Próżb

o pomoc otrzymał wiele i nie odmówił żadnej, dbając jednak o pewnego rodzaju ceremoniał.

Clennam otrzymał ściśle obliczony zwrot wszelkich datków i pożyczek, z dołączeniem pięciu procent i zastrzeżeniem, że co do Edwarda należna suma była wydana samowolnie, bez wiedzy pana Dorrit i wbrew jego woli.

Na koniec w oznaczony dzień w południe zajechał powóz na pierwszy dziedziniec Marshalsea, i z pokoiku, który przez lat tyle był jedynym schronieniem pana Dorrit, wyszli obaj bracia, trzymając się pod ręce, dalej młody pan Edward (dawniej Tip) z siostrą Fanny, Maggie i Plornish nieśli jakieś drobne paczki.

Orszak przesunął się z wolna wśród ciżby wypełniającej podwórze, a młody John ze łzami w oczach układał dla siebie nowy napis nagrobny. Wszyscy ci ludzie byli głęboko wzruszeni, a ich szczere okrzyki świadczyły o żalu, z jakim rozstawali się z ojcem Marshalsea.

Już rodzina znajdowała się w powozie, gdy Fanny zawołała nagle.

– Ach Boże! Gdzież jest Amy?

Nikt o niej nie pomyślał, gdyż dotąd nikt się nigdy o nią troszczyć nie potrzebował.

Lecz zanim wszyscy zrozumieli, o co chodzi, Fanny, która ze swego miejsca widzieć mogła wewnątrz Marshalsea, zawołała z najwyższym oburzeniem.

– To wstyd! To doprawdy już za wiele!

– Co się stało? – spytał pan Dorrit z niepokojem.

– Tyle razy ją prosiłam, żeby się przebrała, i odkładała ciągle na ostatnią chwilę, a teraz niesie ją tutaj pan Clennam, zemdloną, w starej sukni.

W tej chwili Arthur stanął przy drzwiczkach powozu, oddając drogi ciężar siedzącej w nim rodzinie.

– Znalazłem ją w jej pokoiku zemdloną – tłumaczył. – Biedne dziecko, zdaje się, chciało zmienić suknię. Niech się nią pani zajmie, panno Fanny, takie ma zimne ręce.

– Dlaczego jeszcze nie ruszamy, ojczy? – zapytała Fanny wzburzona. – Chyba już czas nareszcie?

Lokaj grzecznie odsunął Arthura na stronę i zatrzasnął drzwiczki powozu. Ruszyli.

CZĘŚĆ II

BOGACTWO

ROZDZIAŁ I

W PODRÓŻY

Wczesny zmrok dnia jesiennego osłonił już doliny i podnosił się coraz wyżej na szczyty Alp szwajcarskich. Drogą na Wielki Bernard postępował z wolna szereg mułów niosących do klasztornego schroniska nie zabłąkanych, ale spóźnionych podróżnych. Ostry chłód i ciemność nocy utrudniały drogę i zamykały usta, budząc w duszy znużonych jedno najważniejsze życzenie, aby się znaleźć u celu podróży.

Na koniec ukazały się mury klasztorne. Wywołało to powszechne zadowolenie, które się wyrażało w wymianie zdań i żywszych ruchach. Wśród mgły niewiele teraz było widać, lecz gdy minęli bramę, błysnęły światelka, przewodnicy pomagali podróżnym zsiąść z mułów, i wkrótce całe towarzystwo znalazło się w obszernej, nisko sklepionej sali, która służyła teraz za jadalnię.

Byli zziębnięci i głodni, więc cisnęli się przede wszystkim do kominka, na którym rozpalono suty ogień, i spoglądali z pewną przyjemnością na duży stół, nakryty do wieczery.

Podróżni dzielili się na dwa odrębne towarzystwa, które nie przybyły tutaj jednocześnie. Pierwsze składało się z dwóch starych dżentelmenów, pięknej pani w dojrzałym wieku, bardzo dystygowanej, dwóch młodych panien i młodzieńca z monoklem w oku, druga, mniej liczna grupa, to młoda kobieta, bardzo miła i bardzo piękna, oraz dwóch mężczyzn. Przybyli później i najlepsze miejsca przy ogniu zastali już zajęte. Młodszy widocznie był tym podrażniony, przygryzał usta i znać było z miny, że czeka sposobności, aby powiedzieć coś ostrego na ten temat – drugi, starszy, usiłował zawiązać rozmowę w sposób nader uprzejmy.

– Podróż przy tym chłodzie jest dość męcząca – zwrócił się do całego towarzystwa, lecz głównie do starszego dżentelmena, który zdawał się być głową rodziny. – Dla młodych dam szczególniej mogła być uciążliwa.

– Dziękuję panu, o trudach podróży łatwo się zapomina wobec widoków natury.

– Panie dużo podróżowały? Może pierwszy raz w górach?

– Córki moje, istotnie, pierwszy raz są w górach.

– Lecz dla pana zapewne to nic nowego?

– Dla mnie... hm... nic nowego – odparł stary dżentelmen – chociaż w ostatnich

latach nie tak wiele... hm... podróżowałem.

– Podróż na mule nie stanowi szczytu wygody – przemówił już wyraźnie do starszej z dwóch panien, która z przyjemnością grzała się przy ogniu.

– Musieliśmy zostawić powozy w Martigny – wyniośle odpowiedziała piękna dama – a tu, zdaje się, trudno marzyć o wygodzie.

– Dzika miejscowość!

– A jednakże zwiedzić i poznać ją trzeba – odezwała się poważnie starsza lady – bo każdy o niej mówi.

– Pani zapewne była tu już nie raz?

– Byłam już nie raz – odparła z godnością. – Pozwól sobie powiedzieć, droga panno – zwróciła się do Fanny – że zanadto przysunęłaś twarz do ognia po tym mroźnym wichrze i śniegu.

– Najprzejmiej dziękuję za troskliwość, madame General – odparła, nie zmieniając pozycji, młoda dama – tak mi jest najwygodniej.

Młodzieniec z monoklem w oku, ubrany w podróżny kostium, którego niezliczonych zalet nie wyczerpałaby nawet podróż dokoła świata, otworzył stojący pod ścianą fortepian, brząknął po klawiszach i wrócił do ognia, wystawiając plecy na działanie ciepła.

– Marudzą dziś z tą kolacją – mruknął z niezadowoleniem – ciekawy jestem, co nam takiego podadzą? Chyba nikt nie zgadnie.

– Pewno nie pieczonego człowieka – zauważył młodszy mężczyzna z drugiej grupy, siedzący obok pięknej pani, która wspierała głowę na jego ramieniu.

– Przypuszczam... ale... co pan chce przez to powiedzieć?

– Tylko to, że ponieważ nie przypuszczam, aby to pan był przeznaczony dla nas na kolację, sądzę, że nie masz wyłącznego prawa do ognia, który jest własnością nas wszystkich.

Młody człowiek z monoklem zmieształ się, gdyż istotnie obracał się przed ogniem, niby kurczę na rożnie, odstąpił, lecz po chwili uznał za stosowne odpowiedzieć jakoś z godnością, gdy wtem zauważono, że piękna pani, wsparta na ramieniu męża, osunęła się nieprzytomna.

Zrobiło się powszechne zamieszanie, mąż mówił, że zanieśie ją do pokoju, Fanny wezwała na pomoc pokojówkę, Amy zbliżyła się ze szklanką wody.

Nadbiegły dwie służące i przy ich pomocy piękną damę wyprowadzono z jadalni.

Starszy towarzysz z grupy trzech osób pozostał i podnosząc wąsy do nosa,

gładził je starannie białą ręką.

– Pański przyjaciel – zaczął po chwili poważnie starszy dżentelmen, siedzący przy ogniu – hm... jest... że tak powiem... niecierpliwy. Jest niecierpliwy i z tego powodu może zapomnieć czasem... hm... może zapomnieć... Lecz dajmy temu pokój. Pański przyjaciel jest trochę niecierpliwy.

– Być może – odparł, gładząc wąsy, nieznajomy – lecz poznałem go w Genewie w najlepszym towarzystwie, podróżujemy razem, i wybaczy pan, że nie pozwolę człowiekowi nawet z pańskim stanowiskiem wyrażać się o nim w sposób przynoszący ujmę.

– Nic takiego pan nie słyszał – odparł dżentelmen z godnością – powiedziałem tylko, że jest niecierpliwy.

– Bardzo dobrze, i na tym koniec. Proszę przyjąć ode mnie zapewnienie szacunku. A teraz mogę przyznać, że mój przyjaciel istotnie bywa... sarkastyczny.

– Ma bardzo piękną żonę.

– Prawdziwa perła. Niedawno się pobrali. Jadą do Włoch dla męża, w celach artystycznych.

– Jest artystą?

– Malarzem. Młody malarz z wielkim talentem. A przy tym z arystokratycznej rodziny!

– Sądzę, że słabość żony... hm... prędko przeminie. Zmęczenie...

– Mały wypadek po drodze: muł potknął się i spadła. Podniosła się, śmiejąc, ale odtąd narzekała na ból w boku.

Podano wieczerzę, wszedł młody zakonnik i zajął miejsce u szczytu stołu, grając rolę gospodarza. Powrócił i artysta.

Widział w sieni trzy piękne bernardyny i zaczął na ich temat rozmowę z zakonnikiem. Mówiono o surowym klimacie i śniegach, o smutnym życiu zakonników podczas zimy, zamkniętych jak w więzieniu. Stary dżentelmen milczał i pierwszy wstał od stołu, gdy skończono wreszcie wieczerzę.

Goście powrócili znowu do kominka, uprzejmy nieznajomy spytał zakonnika, czy nie można by podać gorącego wina. Projekt znalazł powszechne uznanie.

Tymczasem młodsza córka dżentelmena nieznacznie wysunęła się z pokoju, błędziła trochę po nieznanym korytarzach, na koniec ktoś ze służby pokazał jej drogę do pokoju damy, która zachorowała.

Była to posępna i sklepiona cela, z oknem zakratowanym i nagimi ścianami –

wiało z niej chłodem, wilgocią i pustką. Na łóżku, pod kilku ciepłymi derkami, leżała piękna pani.

Amy stanęła przy niej i patrzyła długo na uroczą, choć zmęczoną twarz i zamknięte oczy. Potem leciuchno dotknęła jej czoła.

Chora podniosła powieki.

– Niech się pani nie gniewa... proszę... – odezwała się Amy – chciałam się przekonać, czy pani już lepiej. Może się na co przydam?

– Dziękuję... już mi dobrze... Bólu nie czuję żadnego.

– Może zostać przy pani, aż ktoś przyjdzie?

– Dziękuję... tu tak chłodno...

– Nie boję się chłodu. Nie jestem tak wątła, jak się z pozoru wydaje.

Przysunęła krzeselko i usiadła przy łóżku, a chora zarzuciła na nią koniec szala, którym także była przykryta.

– Zdaje mi się, że pani przyszła do mnie stamtąd... z domu rodziców – rzekła ze smutnym uśmiechem.

– W takim razie bardzo mi przyjemnie.

– Myślałam o rodzicach... w tym pustym pokoju... nim się zdrzemnęłam. Im też pusto samym beze mnie...

– Zdaje mi się – zaczęła Amy – chociaż nie powiedziano mi pani nazwiska... lecz z tego, co słyszałam... wyobrażam sobie, że trochę panią znam i... i chyba mam do pani list. Czy tak? – dodała, podając kopertę.

Chora ze zdziwieniem otworzyła arkusz, na którym nakreślone było kilka linijek, i szybko przebiegła je wzrokiem. Lekki rumieniec okrył jej bladą twarz, przyciągnęła Amy do siebie i złożyła na jej czole pocałunek.

– Dobry przyjaciel mówi, że mogę w pani znaleźć pocieszycielkę – rzekła. – I tak się stało przy pierwszym spotkaniu.

– Pani nie wie, kim jestem? Czy opowiadał pani o mnie?

– Nie, nic nie wiem.

– Tym lepiej. Nie mam prawa dziś mówić na ten temat. Zasmuciłabym innych. Ale to nic ciekawego.

– Niech pani schowa ten list – rzekła chora. – Mąż mógłby się o nim dowiedzieć i naraziłabym cię na nieprzyjemność. W pani rękach będzie bezpieczniejszy.

Amy złożyła list bardzo troskliwie i ostrożnie wsunęła za stanik. Na korytarzu dały się słyszeć kroki, więc wstała, aby odejść, przypuszczając, że nadchodzi mąż

nowo poznanej damy.

– Napiszę mu, że panią widziałam, że pani zdrowa i szczęśliwa, prawda? Tak trzeba napisać.

– Tak, tak – szepnęła chora. – Jestem bardzo szczęśliwa... dziękuję mu z całego serca... i nigdy nie zapomnę o... jego przyjaźni.

– Zobaczę panią może jutro rano, a potem... mam nadzieję... spotkamy się znowu – mówiła Amy. – Dobranoc!

– Dobranoc, droga pani... bardzo dziękuję.

Wysunęła się na korytarz, ale tu się przekonała, że nikt nie szedł do celu, tylko przed nią ku schodom zmierzał uprzejmy nieznajomy. Posłyszawszy za sobą kroki, przystanął, a ponieważ było tu prawie ciemno, z największą grzecznością sprowadził ją ze schodów i towarzyszył aż do sali, w której pozostawiła resztę towarzystwa.

Już się wszyscy rozeszli, zmęczeni podróżą, tylko siwy dżentelmen siedział jeszcze przed kominkiem.

Uprzejmy nieznajomy przyniósł nową butelkę wina.

Starzec wstał przed ognia i podał rękę córce.

– Pójdziemy – rzekł. – Dobranoc.

Szedł przez pokój z godnością, zbliżając się do drzwi, które grzeczny jegomość pośpieszył otworzyć przed nim osobiście, kłaniając się nieskończoną ilość razy i powtarzając swoje zapewnienia szacunku i życzenia dobrej nocy.

Ale młoda dziewczyna z jakąś instynktowną trwogą przysunęła się do ojca, ażeby jak najdalej być od nieznajomego, który rzucał na nią błyszczące spojrzenia i podnosił wąsy do góry, aż krył się między nimi koniec długiego nosa.

Zostawszy sam w pokoju, wstrząsnął się i obejrzał jakby z trwogą.

– No i człowiek musi się także położyć – rzekł z niezadowolaniem. – Tak im wszystkim pilno, jakby noc nie była długa, a sen przychodził na rozkazy.

Przechodząc koło fortepianu, wziął do ręki księgę przejezdnych i rzuciwszy okiem na ostatnią kartę, zaczął czytać półgłosem.

William Dorrit, esquire³, Frederick Dorrit, esquire, Edward Dorrit, esquire, panna Fanny Dorrit, panna Amy Dorrit, pani General – ze służbą w drodze z Francji do Włoch.

Państwo Gowan – w drodze z Francji do Włoch.

Wziął pióro i dopisał:

Blandois – Paryż – z Francji do Włoch.

Pani General, polecona panu Dorrit przez pierwszorzędne biuro, była, jego zdaniem, osobą niezbędną, jako dystygowana opiekunka młodych panien niemających dostatecznego doświadczenia w sprawach życia towarzyskiego w wielkim świecie. Córki nie zgadzały się z ojcem pod tym względem, każda naturalnie z innego powodu, lecz William Dorrit w rzeczach dotyczących powagi i honoru rodziny nie był łatwy do ustępstw. Tym sposobem już przez samą swą obecność wносиła pani General w stosunki rodzinne pewne niezadowolenie.

Nazajutrz dosyć wczesnie podróżni mieli opuścić mury klasztorne, lecz zdrowie pani Gowan wymagało pozostania tu trochę dłużej, więc tylko Dorritowie w wielkim refektarzu spożywali śniadanie, oczekując chwili, w której służba ich zawiadomi, że wszystko gotowe do drogi.

– Gowan zostaje – zauważył Edward. – Powinien rad być z tego, gdyż miałem zamiar dać mu porządną nauczkę. Ale nie warto! Jak tam jego żona? Ty, Amy, wiesz z pewnością.

– Czuje się lepiej, ale zostanie dziś w łóżku.

– Mówisz jak pielęgniarka, moja droga, nie możesz zapomnieć swoich przyzwyczajzeń.

– Weszłam do niej tylko na chwilę zapytać, czy nie mogę być w czymś użyteczna. Proszę cię, Tip...

– Drugi nałóg! – przerwał Edward, otrząsając się ze wstrętem.

– Przepraszam cię, Edwardzie, zapomniałam. Tak się przyzwyczaiałam uważać to za twoje imię, że...

– Trzeba się odzwyczaić, głupie dziecko – przemówiła Fanny surowo – i od tego, i od wielu innych rzeczy. Trzeba zapomnieć. Myślisz, że nie wiem dobrze, dlaczego się tak interesujesz panią Gowan.

– Nie gniewaj się, Fanny...

– Ach, moja kochana, każdemu z nas zabraknie w końcu... cierpliwości, skoro nie możesz zrozumieć, czym jesteś.

– Co to znaczy, Fanny? – zapytał pan Dorrit. – Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Amy mnie rozumie – zapewniła Fanny – a zresztą wołałabym nie wymieniać tej osobistości, o której istnieniu chcielibyśmy wszyscy zapomnieć. On jest dla nas tym wszystkim, co powinno zniknąć na zawsze z przeszłością, której nie mamy zamiaru wspominać. Człowiek, który narzucił nam swoją znajomość i jeszcze w ostatniej chwili upamiętnił się brakiem wszelkiej delikatności.

– Wiesz dobrze, Amy, że najczęściej stoję po twojej stronie – odezwał się Edward – lecz w tym wypadku nie mogę zrozumieć, co cię wiąże z człowiekiem, który obszedł się ze mną w tak grubiański sposób. Czyż nie pojmujesz, że to prosty niegodziwiec, z którym nie mamy więcej nic wspólnego!

– To prowadzi do tego – zawołała Fanny – że w obecności całej naszej służby Amy, jak pokojówka, niesie szklanekę wody, aby ratować zemdloną kobietę, której przedtem nawet nie znała.

– To by jeszcze można było wybaczyć – rzekł Edward – lecz co innego Clennam.

– Wcale nie co innego – zaprzeczyła Fanny – bo jego przyjaciele okazują jawnie, że nas lekceważą, pozwalają sobie na niewłaściwe żarty. Ale to naturalne, bo przecież pan Clennam nie omieszkał z pewnością opowiedzieć im wszystkiego, co wyszpiegował o nas.

– Fanny! Ojczy! To nieprawda! To nieprawda! – zawołała maleńka Dorrit z uniesieniem. – Państwo Gowan zupełnie nic o nas nie wiedzą. Nie słyszeli nawet naszego nazwiska!

– Tym gorzej – upierała się przy swoim Fanny – bo nic nie zmusza cię do tego, ażebyś się starała o przyjaźń tych ludzi. To jest w tobie po prostu brak godności, piętno urodzenia w wiadomym ci miejscu. Ale skoro wiesz o tym, bo ci to ciągle powtarzam, powinnaś wreszcie zapomnieć o sobie i kierować się myślą, żeby nie szkodzić rodzinie.

Pan Dorrit skinął ręką na znak, że chce mówić.

– Kochana Amy – zaczął – twoja siostra wyraża się... hm... energicznie, ale w gruncie rzeczy ma słuszność. Nie powinnaś zapominać, że obecnie zajmujesz pewne... hm... dość wysokie stanowisko... że zajmujemy je wszyscy. Musimy więc czuwać nad swoją godnością, unikać wszystkiego, co może... hm... przynieść jej pewną ujmę, na przykład nasunąć służbie przypuszczenie, że kiedyś służyliśmy sobie sami.

– A co do pana Clennama – mówił dalej – nie sądzę o nim tak, jak twoja siostra, ale... hm... nie widzę, co w przyszłości może mieć z nami wspólnego ten... hm... przemysłowiec. Zajmujemy bardzo różne stanowiska i jeśli jest człowiekiem delikatnym, sam to uzna i... hm... zapomni o nas. A, pani General!

Przybycie tej damy przerwało rozmowę o przeszłości i sprawach osobistych. Służba zaczęła wynosić pakunki, rodzina Dorrit wyszła na dziedziniec.

Pan Gowan stał z daleka i palił cygaro, ale pan Blandois zbliżył się uprzejmie, życząc szczęśliwej podróży. Maleńkiej Dorrit przy świetle dziennym wydał się

dziwnie wstrętny, lecz nie śmiała tego okazać, ponieważ Fanny grzecznie odpowiedziała na ukłon.

Obejrzała się jeszcze, kiedy zjeżdżali w dolinę, i widziała z daleka jego wysoką postać na tle ciemnych murów klasztoru.

Dzień był pogodny, słońce grzało dosyć mocno i górskie krajobrazy rysowały się wspaniale po obu stronach drogi. Jechali po zielonych łąkach, nad strumieniami, wzdłuż jezior i po stromych ścieżkach górskich. Niekiedy droga rozszerzała się na tyle, że Amy mogła jechać obok ojca. Wtedy czuła ogromne szczęście, widząc go obok siebie wolnym, bogatym i pięknie ubranym, zamiast ciemnego muru i żelaznej kraty, mającym przed oczami szeroki świat Boży.

Stryj Frederick nie umiał już cieszyć się tym wszystkim, kładł kosztowne ubranie, jakie mu podano, i jadł smaczne potrawy, jakie stawiano przed nim, lecz w gruncie rzeczy spełniał tylko wolę brata. Na troskliwe wymówki odpowiadał, że jest zanadto zmęczony i stary, więc mu to wszystko jedno. Jedynie dla Amy miał jakieś własne uczucie i przy każdej sposobności okazywał jej najgłębszy szacunek. We wszystkim ustępował jej pierwszeństwa, nie siadał, póki ona nie usiadła, przy powitaniu zdejmował kapelusz i nisko schylał przed nią siwą głowę.

Ponieważ pan Dorrit płacił bardzo hojnie i poprzedzał go zawsze kurier, który w oberżach zamawiał pokoje, oberżyci kłaniali mu się aż do ziemi i witali niby udzielnego księcia. Wybierając się na Wielki Bernard, zostawił w Martigny zamówione pokoje i tam właśnie zajechał teraz dwoma ekwipażami, nie licząc podwód dla służby i rzeczy.

Przed oberżą jednak spotkał ich gospodarz z kapeluszem w rękę i z rozpaczliwą miną, tłumacząc się i przeprasząc, że jakaś przejezdna dama zajęła na pół godziny jeden z zamówionych pokoi i dotąd nie ustąpiła.

Trudno wypowiedzieć oburzenie pana Dorrit, nie chciał wysiąść i zapewniał gospodarza, że będzie omijał jego zajazd. Darmo biedak tłumaczył się pokornie i przepraszał, w końcu widząc, iż rzeczywiście znakomity gość chce jechać dalej, pobiegł do owej damy po ratunek.

Powóz angielskiej lady stał już zaprzężony i gotowy do drogi, a w tejże prawie chwili ukazała się i właścicielka obok nieszczęśliwego oberżysty. Poprzedzał ją młody człowiek, który z ukłonem zbliżył się do pana Dorrit.

– Przepraszam bardzo – zaczął – bardzo pana przepraszam... mama bardzo przeprasza i prosi, żeby to załatwić bez awantur.

W tej chwili niewymowny syn angielskiej lady spostrzegł Edwarda i zwrócił się

z większą śmiałością do niego.

– To pan tutaj! – zawołał. – Pan mi pomoże, prawda? Mama sobie bardzo życzy, żebyśmy to załatwili bez awantur.

– Przyzna pan, że oddawać komuś cudzy pokój... – przemówił Edward.

– Edmundzie – odezwała się wspaniała lady, stając na progu oberży – czyś wytłumaczył państwu, że ten człowiek nic nie jest winien? Postąpiłam samowolnie w tym wypadku.

– Przepraszam pana osobiście – dodała, postępując parę kroków w stronę pana Dorrit – chciałam tylko zjeść obiad w jednym z pokoi przez pana zajętych, i nie wątpiłam, że przez uprzejmość dla damy właściciel apartamentu wybaczy mi to nadużycie. Nie przypuszczałam zresztą, że państwo tu będą tak prędko. Mam więc nadzieję...

Nagle urwała w pół słowa, jakby zamieniona w słup soli. Jej nieruchome źrenice utkwione były w siostry Dorrit z wyrazem nieskończonego zdumienia. Fanny, oparta lekko na ramieniu Amy, odpowiadała uśmiechniętą twarzą i nieco wyzywającym spojrzeniem, wachlując się swobodnie drugą ręką.

Małeńka Dorrit stała też nieporuszona, poznając w nieznanym panią Merdle, a w niewymownym młodzieńcu odgadując owego wielbiciela siostry, który przyczynił matce tyle trwogi.

Na koniec pani Merdle zapanowała nad swoim zdumieniem, oznajmiła, iż sądzi, że sprawa załatwiona i znakomity gość nie zechce za nią karać niewinnego oberżystę. Pan Dorrit, uspokojony jej słowami, oświadczył z galanterią, iż pozostaje mu tylko nazwać się szczęśliwym, skoro taką drobnostką mógł oddać przysługę damie. Wymieniła z obu siostrami najuprzejmiejszy ukłon ze słodkim uśmiechem i rozstała się ze spotkanym towarzystwem jak z obcymi, których poprzednio nigdy nie widziała.

Pan Sparkler zachował się wszakże inaczej. Na widok Fanny również oniemiał, skamieniał i nie był w stanie odzyskać ruchu ani mowy. Kiedy matka zwróciła się do niego ze słowami: Edmundzie, podaj mi rękę – to właściwie ona wzięła go pod rękę, z trudem doprowadziła do karety i z trudem wepchnęła do niej. Lecz i tutaj młodzieniec przyłgął oczami do szyby i patrzył nieprzytomny na swoje bóstwo.

Niespodziewane to spotkanie i efekt, jaki wywołało, wprawiło Fanny w tak wyborny humor, że przestała dręczyć Amy wymówkami i zadziwiła panią General swą wesołością.

Pogoda ducha Fanny cieszyła małeńką Dorrit, ale jej się nie udzielała. Dręczyła ją

bezczytność i przymusowe stosowanie się do otoczenia, do nieznanych jej dotąd ceremonialnych wymagań. Siedząc na przeciw ojca w wygodnym powozie i patrząc na malownicze krajobrazy, myślała o więzieniu, o swoim pokoiku na poddaszu, z którym się nie pożegnała i którego obraz cały czas jej towarzyszył. Zbudziła się od razu w jakimś innym świecie i zadawała sobie pytanie, czy to wszystko nie sen ludzacy, który się nagle rozwieje i zniknie?

Bo czyż było rzeczywistością to dziwne nieznanie jej życie, bez pracy, bez zajęcia, bez troski o swoich, skrępowane niewidzialnymi więzami, które nie pozwalały jej nawet służyć ojcu. To było ze wszystkiego dla niej najsmutniejsze i nie mogła pogodzić się z tą nową rolą, póki pan Dorrit w długiej rozmowie sam na sam nie zażądał ojcowską władzą posłuszeństwa, aby nie podsuwać służbie niepotrzebnych myśli.

Czyż to jest rzeczywistość? Im wspanialsze otaczały ją widoki, tym bardziej wydawały się sennym widziadłem. Wszystko było snem, oprócz Marshalsea, chociaż nie mogła sobie wyobrazić, jak wygląda Marshalsea bez jej ojca.

A tymczasem przesuwały się przed jej oczami coraz nowe, nieprzeczuwane nawet w snach zjawiska. Góry, doliny, potoki, wille, pałace i olbrzymie miasta. Złoczone pokoje, kolumnowe ganki, balkony, w oknach festony świeżej zieleności i cudne, wonne kwiaty. To znów dalekie drogi pośród winnic, wysadzone drzewami, i stacje pocztowe, gdzie jedynie ludzie ubodzy wydawali się rzeczywistymi istotami. Gdy widziała biedną dziewczynkę, prowadzącą starego ojca, łzy zasłaniały jej oczy i przeszłość jak żywa stawała w pamięci. Rozdawała ubogim pieniądze i siedziała w kąciaku, cicha, zamyślona, marzeniami odbiegająca stąd daleko.

Mijając miasta i liche wioseczki, pałace i lepianki, zatrzymując się nieraz po kilka tygodni w jakimś miejscu, gdzie trzeba było zwiedzać galerie obrazów, kościoły i osobliwości mało zrozumiałe, rodzina Dorrit przybyła wreszcie do Wenecji.

Tu mieli zamiar pozostać czas dłuższy, zamieszkali w jednym pałacyku, urządzali pyszne obiady, wycieczki, bawili się, przyjmowali, młodzi używali świata, spędzali wesołe noce poza domem, a dzień na wypoczynku.

Amy Dorrit, dla której światowe uciechy najmniejszej nie stanowiły przyjemności, zdołała po jakimś czasie wyprosić sobie choć tyle swobody, że wesołe rodzeństwo pozostawiała ją w spokoju. Wówczas siadała niekiedy w gondolę i płynęła sama po długich kanałach, patrząc na dziwne domy i ulice, podobniejsze do sennych widziadeł niż wszystko, co oglądała dotąd.

W innych gondolach zwracano uwagę na samotną dziewczynę, zawsze zamyśloną, z wyrazem twarzy poważnym i smutnym, lecz Amy nie domyślała się tego.

Lubiła także marzyć na swoim balkonie, jak gdyby zawieszonym nad kanałem, i pieszcząc oczy cudnymi barwami południowego nieba, szafirowej wody, tonących w mroku wieczornym konturów, lub blaskiem gasnącego na zachodzie słońca, myślała o świecie fantastycznych baśni, który stał się rzeczywistością.

W końcu na ciemnym niebie ukazywały się gwiazdy i mrugały jej jakieś ciche pozdrowienie, a wówczas przypominała sobie chłodny wieczór i noc samotną, którą spędziła z Maggie pod murem więzienia. I wtedy gwiazdy widziały ją także.

Wtedy! W jej duszy żyła ta przeszłość minioną, i ona żyła ciągle tą przeszłością. To była dla niej rzeczywistość. A teraz!... Czy zbudzi się znowu i kiedy?... Po co ona żyje?... Komu jest potrzebna?... Czyż sen taki może trwać wiecznie?...

3 *esquire* – szlachcic.

ROZDZIAŁ II

LIST MALEŃKIEJ DORRIT

Drogi panie Clennam.

Piszę do pana w moim pokoju w Wenecji, gdyż wyobrażam sobie, że panu będzie przyjemnie odebrać więc ode mnie. Choćby tak było, jednak nigdy mój list nie sprawi panu tyle przyjemności, ile mnie to pisanie. Bo dla pana wszystko zostało, jak było, niczego nie zabrakło w pańskim życiu – może trochę mojej niewielkiej osoby, ale to przypomina się rzadko, na krótko – a tymczasem wkoło mnie wszystko tak dziwne, i obce, i tyle mi brakuje!

W Szwajcarii – zdaje mi się przed wiekami, choć zaledwie kilka tygodni upłynęło od tego czasu – spotkałam na wycieczce państwa Gowan. Młoda pani kazała napisać panu, że jest zdrowa i szczęśliwa. Dziękuję panu za list, który jej oddałam, i wspomina pana serdecznie. Jest tak dobra i miła, że pokochałam ją prawie od pierwszego spojrzenia. Ale to nic dziwnego: nie wyobrażam sobie, aby ktoś mógł nie kochać tak przeszlicznej istoty!

Przypuszczam, że nie wzbudzę w panu niepokoju, jeżeli powiem szczerze, że, co do mnie, wolałabym, ażeby wybrała sobie kogo innego na męża. Zdaje się, że pan Gowan bardzo ją kocha, a ona z pewnością kocha go ogromnie, lecz on wydaje mi się nie dosyć poważny – nie w obejściu z żoną, tylko tak, w ogóle. Ja przynajmniej na miejscu pani Gowan czułabym się opuszczona i samotna, nie umiałabym z nim rozmawiać i dzielić wszystkich myśli. Może i ona czuje to troszeczkę, choć nawet nie wie o tym. Powiedziała przecież, że jest bardzo szczęśliwa.

Mam nadzieję, że spotkamy się z nią wkrótce, może za dni kilka, i przez pamięć o panu postaram się być dla niej przyjaciółką. Drogi panie Clennam, pan może dziś nie myśli nawet o tym, że był pan moim przyjacielem wtedy, kiedy nikt inny nie troszczył się o mnie. I dziś niech pan nie sądzi, że mam tu przyjaciół, wcale mi nie chodzi o to. Wolę myśleć o przeszłości, której nie zapomnę nigdy.

Tak bardzo chciałabym wiedzieć – ale – niech pan nie pisze do mnie, chciałabym bardzo wiedzieć, co się dzieje z Plornishami i jak im się wiedzie w sklepiku, który im ojciec kupił. O, to była szczęśliwa chwila! Pan Nandy pewno teraz mieszka z nimi, co dzień ogląda wnuczki i śpiewa cichym głosem od rana do wieczora. Biedna Maggie, nie potrafię jej wspominać bez łez – wiem, że jej tam na pewno brakuje Matusi, choć wszyscy są dobrzy dla niej. Niech jej pan powie, jak ją pan zobaczy, że ja więcej od niej żałuję naszego rozstania. Niech pan powie im wszystkim, że myślę o nich co dzień, tęsknię do nich i nigdy się nie zmienię. O, gdyby wiedzieli, jak mi tu źle bez nich, żałowaliby maleńkiej Dorrit.

Wiem, że sprawi panu przyjemność dowiedzieć się, iż ojciec mój kochany czuje się bardzo dobrze. Ta zmiana dobroczynnie wpłynęła na niego, nie mógłby go pan poznać pod wielu względami. Co do stryja, zdaje się, że mu to wszystko obojętne. Dawniej nie skarżył się nigdy, teraz nie okazuje radości. Za to Fanny od razu stała się światową damą, piękną, zręczną i śmiałą w towarzystwie.

O sobie tego powiedzieć nie mogę i często wątpię, czy się kiedykolwiek nauczę tych mądrości. Pani General ciągle jest z nami, uczymy się po francusku i po włosku, ale moje postępy są bardzo nieznaczne. Skoro tylko zaczynam myśleć albo marzyć, myśl i marzenie biegnie w tę minioną przeszłość, zaczynam się kłopotać o wydatki, pracę, biednego ojca, i nagle przypominam sobie, że to wszystko zniknęło bezpowrotnie, a terazniejszość tak jest nieprawdopodobna, i wszystko zdaje mi się snem, złudzeniem, z którego może kiedy się obudzę. Mówię o tym do pana tak otwarcie, choć nikomu nie śmiałabym tego powiedzieć. Bo im wszystkim z tym dobrze, bardzo dobrze.

Nie będę pisała panu o tych pięknych krajach, przez które przejeżdżamy – zna pan je i tyle innych. Jednak muszę się przyznać, że nie doceniam dosyć ich piękności. Nie jestem do tego jakoś dobrze przygotowana, nie umiem skupić uwagi, sama siebie nie dość rozumiem. Nie wiem, czy się wyrażam dosyć jasno, ja nie mogę się jeszcze oderwać od tego, czym żyłam dotąd, na przykład gdy jechaliśmy pomiędzy górami, często zdawało mi się, że za każdą skałą, gdy skęcimy – ujrzę – Marshalsea. Nawet przed panem

wstyd mi się przyznać do tego, a przecież to jest prawda. To znowu w jakiejś posepnej dolinie spodziewałam się ujrzeć pokój pani Clennam, gdzie tyle dni upłynęło mi przy pracy. Albo pański pokój, ten, w którym byłam z Maggie, towarzyszył mi w podróży całe mile, widziałam go w mroku przez okno karety, jak gdyby jechał z nami. Pan nie wie o tym, żeśmy się tej nocy nie dostały z Maggie do domu, chodziłyśmy do rana po ulicach i siedziałyśmy pod bramą więzienia. Patrzyłam wtedy na gwiazdy, które widzę co dzień z okna mego balkonu, i czasem mi się zdaje, że znów siedzę z Maggie przed zamkniętą żelazną bramą.

Po ulicy snują się ludzie, tacy sami, jak tam w Londynie. Kiedy płynę gondolą, zaglądam mimo woli w inne płynące gondole, czy nie zobaczę tam znajomej twarzy. Byłaby to wielka radość, ale chyba większe jeszcze zadziwienie. Szukam ich jednak wszędzie i prawie oczekuję, że lada chwila ujrzę drogie mi oblicze na moście, na wybrzeżu...

Jeszcze jedna rzecz wydaje mi się bardzo dziwna i na pewno każdemu taka by się wydawała: bardzo często czuję dla – niego (nie chcę mówić wyraźnie) tę samą dawną litość i współczucie. Pomimo zmiany losu, dzięki której on jest tak szczęśliwy, a ja dziękuję za nią Bogu, ogarnia mnie chwilami tak potężny żal i współczucie, iż chciałabym zarzucić mu ręce na szyję, przytulić się do piersi i płakać, płakać długo. Potem byłabym dumna i zadowolona. Ale wiem, że nie mogę tego zrobić: on uczułby się dotknięty boleśnie, Fanny by się gniewała, pani General dziwiła. Więc nic nie mówię i jestem spokojna. Przez to jednak jestem od niego daleko, a mam takie uczucie, jakby wśród tej licznej służby i znajomych on potrzebował mnie już, jak dawniej.

Drogi panie Clennam, tyle napisałam o sobie, a przecież muszę jeszcze coś napisać, o co mi najbardziej chodzi. Wypowiadam panu wszystkie swoje myśli, choć wiem, że nie są mądre, ale pan mnie zrozumie i będzie pobłażliwy, prawda? Pan czasem myśli o mnie, chociażby niekiedy, bo pan bardzo zajęty, ale się obawiam, że pan myśli o mnie jak o kimś zupełnie nowym, nie o tej maleńkiej Dorrit, którą znałeś. O, nie chcę, nie chcę tego! Niech pan zapomni o tych wszystkich zmianach, kiedy pan myśli o mnie. Niech pan pamięta tylko ubogą dziewczynkę, w skromnej, znoszonej sukni, która grzała zziębnięte nogi w przemokłych bucikach u pańskiego ognia. Niech pan pamięta o tym przywiązaniu i wdzięczności za wszystko, co zrobiłeś niegdyś dla biednego dziecka.

Maleńka Dorrit

PS Niech pan przede wszystkim będzie spokojny o panią Gowan. Jest zdrowa i szczęśliwa, to jej własne wyrazy. A przy tym taka śliczna!

ROZDZIAŁ III

NOWE ŻYCIE I NOWI LUDZIE

Już około miesiąca rodzina Dorrit bawiła w Wenecji, gdy pan Dorrit zdecydował się rozmówić z wychowawczynią swych córek o Amy. Jej odsuwanie się od towarzystwa, odrębny sposób życia od innych członków rodziny, nawet wyraz twarzy drażnił go i męczył. Czyż mógł pozwolić, aby tak zostało nadal? Byłby może wcześniej poruszył tę sprawę, lecz stosunki z markizami i hrabiami zabierały mu tyle czasu, że nie mógł znaleźć odpowiedniej chwili. Obawiał się także prawie mimo woli, że rozmowa może potrącić o drażliwe dla niego kwestie, więc odkładał ją tym chętniej. Lecz wreszcie wyczerpała się jego cierpliwość.

Uprzejmie zaproszona dystyngowana dama stawiała się niezwłocznie na wezwanie.

Umieściwszy ją jak najwygodniej na fotelu, pan Dorrit przystąpił do rzeczy.

– Ośmieliłem się prosić panią – rzekł z rozmysłem – ponieważ młodsza córka niepokoi mnie, muszę powiedzieć. Czy pani zauważyła różnicę usposobienia pomiędzy siostrami?

– O tak – odparła dama, gładząc delikatnie swoje rękawiczki. – Fanny ma wolę i silny charakter, robi, co zechce i zawsze na swoim postawi. Amy tego brakuje.

Pan Dorrit był zdziwiony: pomimo wszystko nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Sunęła mu ona wiele wspomnień, ale odpowiedział spokojnie.

– Hm, ma pani słuszność. Więc moja starsza córka...

– Nie chciałam przez to powiedzieć, że już nie potrzebuje kierunku – poprawiła się madame General roztropnie – przeciwnie, ma duże braki, jest zanadto śmiała, zbyt otwarcie wypowiada swoje zdanie, lecz w każdym razie widzę w niej dobry materiał.

– Moje córki – zaczął pan Dorrit z namysłem – wcześniej straciły matkę, nie posiadałem wtedy wielkiego majątku i przez czas dłuższy byliśmy zmuszeni prowadzić życie skromne i odosobnione. Amy była moim ulubionym dzieckiem, a dzisiaj... hm... jest przyczyną niepokoju. Nie chce z nami bywać, towarzystwo ją onieśmiela, słowem, różni się od nas wszystkich tak widocznie, że... hm... postanowiłem poradzić się pani, w jaki sposób można by wpłynąć na nią.

– Pracuję nad tym od dawna – odparła pani General z godnością – rozmawiałam z nią na ten temat nie raz. Amy mówi, że wszystko zanadto ją dziwi, że nie może

przywyknąć do nowego życia. Tłumaczyłam jej wprawdzie, że dobrze wychowana panienska niczemu się dziwić nie może, nie powinna, ale chociaż moje uwagi przyjmuje spokojniej niż Fanny, pozostaje zawsze przy swoim. Dlatego zdaje mi się, że pan sam powinien o tym pomówić z Amy.

– W takim razie każę ją zaraz poprosić.

Wezwana przez kamerdynera Amy stawiała się wkrótce.

– Proszę cię, usiądź, Amy – uprzejmie rzekł pan Dorrit. – Mówiliśmy właśnie o tobie. Widzimy oboje, że nie możesz dotąd przywyknąć do naszego życia. Co to znaczy?

Amy pobladła, nie mogła zrazu odpowiedzieć.

– Zdaje mi się, ojczu – rzekła na koniec cicho – że potrzebuję jeszcze trochę czasu.

– Lepiej powiedzieć: *papo* – odezwała się madame General. – Wyraz „ojciec” jest pospolity, a słowo „papa” daje miły układ ustom. Papa, pierścień, perły – to są wyrazy, które młoda osoba powinna powtarzać, wchodząc pomiędzy ludzi.

– Widzisz, moje dziecko... hm... trzeba korzystać z rad waszej opiekunki. Mówisz, że potrzebujesz trochę czasu. Na co?

– Żeby przywyknąć do nowego życia – odpowiedziała cicho po chwili milczenia.

– Dziwne żądanie, Amy – mówił ojciec. – Fanny dała dowód, że nie jest to trudne, jeżeli będziesz tylko chciała. Byłaś zawsze moim ulubionym dzieckiem. Dlaczego dzisiaj stajesz się moją zgryzotą?

– Ojczu! Papo! Ja się poprawię – błagała, podnosząc na niego serdeczne spojrzenie. – Postaram się zastosować do twojej woli.

– W takim razie – zauważyła pani General – przypominam, że zwracałam nieraz uwagę, iż nie należy patrzeć tak na przechodzących. Dobrze wychowana panna nie widzi ludzi nieznanomych.

Wstała majestatycznie, ukloniła się i wyszła, pozostawiając ojcu dalszy ciąg rozmowy.

Na twarzy Amy odbiło się żywe wzruszenie. Tak dawno nie widziała się z ojcem sam na sam, tak dawno nie rozmawiała z nim jak niegdyś – gdyby teraz przytulić się do jego piersi...

Ale jedno spojrzenie na twarz ojca wystarczyło, aby ją onieśmielić. To byłoby dla niego przypomnieniem przeszłości, o której chciał zapomnieć wszelkimi siłami. Ona go rozumiała. Kilka miesięcy swobody nie zdołało rozproszyć posępnego cienia,

który prawie ćwierć wieku utrwałyły posępne mury. Choć jej nie mówił o tym, ona rozumiała. W niej drażniło go dzisiaj to, że zapomnieć nie mogła. A więc była złą córką – teraz to pojęła. Poznała swój obowiązek względem ojca i postanowiła spełnić go jak zawsze: gorliwie, szczerze, z zaparciem się siebie.

– Przebacz, ojcze – prosiła – jestem winna.

– Tak – potwierdził, nie patrząc na nią – jesteś winna. Jest okres w moim życiu... długi okres... który pragnę... muszę wygnać z pamięci... A ty jedna, ty jedna stoisz przede mną ciągle... niby to przypomnienie.

– Ojcze, nie mów o tym – rzekła maleńka Dorrit, przysuwając się szybko i kładąc delikatnie maleńką rączkę swoją na jego drżącej dłoni. – Nie mów o tym i... i... uwierz swojej Amy, że... będzie się starała... Będę się starała, ojcze!

Z piersi pana Dorrit wyrwało się łkanie i Amy przytuliła się do niego.

Było tak, jak dawniej, a jednak stali chwilę nieruchomo. Amy doznała rozkoszy i ulgi, mając znowu przy sercu najdroższego ojca. Pan Dorrit uspokajał się z wolna.

Wreszcie odzyskał panowanie nad sobą i oznajmił, że musi się przebrać, gdyż nadchodzi godzina drugiego śniadania.

Wkrótce znaleźli się wszyscy przy stole. Fanny trochę pobladła od bezsennych nocy pełnych bezustannych zabaw i rozrywek, Edward miał także podsiniałe oczy i zmęczony wyraz twarzy. Żył teraz w gronie złotej młodzieży, sypiąc hojnie złotem, a ponieważ znał się na koniach i bilardzie, uchodził za młodzieńca znakomicie wychowanego.

Stryj Frederick, jak zawsze, przyszedł z głową zwieszoną, jakby nie chciał wiedzieć, co się koło niego dzieje. W ostatnich czasach znalazł upodobanie i spędzał całe godziny w różnych galeriach obrazów, z nadzwyczajną uwagą przypatrując się starym portretom. Od pewnego czasu Amy bardzo często towarzyszyła mu w tych wycieczkach i to przejmowało go niezmierną dumą i sprawiało mu wielką przyjemność. Opiekował się bratanicą z galanterią starego dżentelmena, nawet podnosił głowę, kiedy szła u jego boku.

Pod koniec śniadania stryj mimochodem wspomniął, że spotkali wczoraj tych państwa, którzy nocowali w klasztorze Świętego Bernarda.

– Tak? – zwróciła się Fanny do siostry podejrzliwie. – Dlaczegoż robisz z tego tajemnicę? Gdyby się stryj nie wygadał...

– Droga panno – odezwała się pani General – to jest bardzo niewłaściwe, gminne wyrażenie. Należało powiedzieć: gdyby stryj nie wspomniął.

– Bardzo jestem pani obowiązana za uwagę, madame General – odparła Fanny –

lecz wolę swoje wyrażenie.

Zwykle odpowiadała pani General w ten sposób, choć w pamięci notowała sobie jej uwagi i korzystała z nich przy późniejszej sposobności.

– Dlaczego tak myślisz, Fanny? – odezwała się łagodnie maleńka Dorrit. – Wiesz dobrze, że nie widziałam się z tobą od wczoraj. Właśnie zamierzałam powiedzieć, że chciałabym się poznać z panią Gowan, jeżeli ojciec nie ma nic przeciwko temu.

Ostatnie słowa były zapytaniem. Pan Dorrit spojrział na madame General.

Pani General nie mogła mieć zdania, wyraziła się tylko, iż zależy to od stosunków i towarzystwa, w jakim ci państwo się obracają.

Pan Dorrit był pochmurny: widział w nich niteczkę łączącą go z przeszłością za pośrednictwem Clennama. Wtem odezwał się Edward.

– Mnie chyba nie posądzicie o stronnicość, zwłaszcza względem tego gburą, jej męża, ale muszę powiedzieć, że ci Gowanowie mają stosunki z pierwszorzędnymi osobami z towarzystwa. Słyszeliście zapewne o znakomitym Merdle'u, którego zna świat cały?

– O wielkim Merdle'u! – zawołała madame General.

– Tak, o wielkim bankierze. Jego żona jest w przyjaźni z panią Gowan, i wiem, że tam bywają.

– Skądże ty wiesz to wszystko? – zapytał pan Dorrit zdziwiony.

– Bardzo łatwo to zrozumiecie, pani Merdle, to jest ta dama, która zajęła nasz pokój, pamiętacie, tam...

– W Martigny – podpowiedziała Fanny, wachlując się szybko, aby ukryć rumieniec.

– Pani Merdle? – spytał pan Dorrit. – A mówiłeś mi przecież, że ten młody człowiek, z którym rozmawiałeś, nazywa się Sparkler?

– Tak, bo jest jej synem z pierwszego małżeństwa. Pani Merdle jest teraz w Rzymie, gdzie zapewne i my się z nią poznamy. Sparkler przyjechał tutaj i wczoraj bawiliśmy się razem. Trochę nudny, bo zakochał się po uszy w pewnej młodej damie...

Przestał mówić i popatrzył przez szkiełko na Fanny.

– W takim razie – odezwała się pani General z naciskiem – stosunek z panią Gowan, naturalnie, uważam za niezmiernie pożądanym.

Amy była zadowolona, liczyła, że potrafi zbliżyć się z Pieszczotką i już przez to samo nie będzie raziła ojca swoim odosobnieniem. Chciała wybrać się sama z tą

wizytą, lecz Fanny oświadczyła, że ma zamiar jej towarzyszyć, i nie mogła tego uniknąć.

Wsiadły więc obie do pysznej gondoli. Długo przesuając się po splątanej sieci kanałów, dopłynęły na koniec do małej wysepki, położonej dość daleko od środka miasta, i stanęły przed domem o posępnym wyglądzie.

Podobny do rozbójnika odźwierny wskazał obu siostrą mieszkanie na piętrze, gdzie w obszernym pokoju siedziała pani Gowan przy oknie z jakimś szyciem.

Powitała gości z pewną nieśmiałością, choć Fanny wprost zasypała ją grzecznościami, przesyłając ukłony i pozdrowienia od ojca, który mimo najlepszych chęci nie mógł dziś przybyć z nimi.

– Bardzo cieszymy się wszyscy, że państwo przyjaźnią się z Merdle’ami – mówiła. – Mam nadzieję, że będziemy się tam spotykali.

– To stosunki towarzyskie mojego męża – powiedziała Mini. – Nie miałam dotąd przyjemności poznać pani Merdle. Mamy być u niej w Rzymie. Pani zna ją bliżej?

– Któż w Londynie się nie zna? – rzekła Fanny z całą swobodą. – Potem spotkaliśmy się w drodze, w Szwajcarii, przypadkiem, gdy pani Merdle zajęła chwilowo wynajęte przez nas pokoje. Naturalnie, skoro się rzecz wyjaśniła, powiedzieliśmy sobie: do widzenia.

Małe Dorrit nie miała dotąd sposobności wtrącić się do rozmowy, pomimo to rozmawiały z panią Gowan wzrokiem i obie były pewne, że się rozumieją.

– Pani nie chorowała już po tym wypadku? – spytała wreszcie Amy.

– Jestem zupełnie zdrowa – odparła młoda kobieta z uśmiechem – ale dziękuję pani za troskliwość. Czy pani wie, że często rozmawiamy z mężem o pani i... bardzo by się gniewał, gdybym mu nie powiedziała, że panie są u mnie. Jeśli panie wybaczą nieporządek, jaki znajdziemy w malarskiej pracowni, to możemy tam zajrzeć.

Pytanie było skierowane do Fanny, która natychmiast wyraziła chęć zobaczenia pracowni pana Gowana.

Pierwsze, co zdziwiło obie siostry, był to stojący na podwyższeniu pan Blandois w szerokim kapeluszu i bandyckim płaszczu zarzuconym na ramię. Wyglądał w tej pozie tak wiarygodnie, że Amy z przykrym dreszczem zatrzymała się na progu.

Blandois głęboko skłonił się wchodzącym.

– Przepraszam najpokorniej, lecz nie wolno mi się poruszyć – przemówił.

– Proszę uprzejmie – witał gości Gowan – przepraszam za malarski nieład. To mój model. Proszę nie ruszać się z miejsca. Mam nadzieję, że panie, patrząc na oryginał,

łatwiej zrozumieją treść mego obrazu, który chcę podpisać jednym słowem: Bravo. A widz niech odgaduje, czy to prosty rozbójnik czyhający na ofiarę lub triumfujący, że się pozbył wroga, czy mściciel ściskający sztylet w dłoni.

Blandois zaśmiał się nerwowym śmiechem, jego niepewne oczy obieżyły całe towarzystwo i przez chwilę zatrzymały się na maleńkiej Dorrit, która zadrżała nagle pod tym wzrokiem.

– Niech się pani nie lęka. Lew nie kąsa – odezwał się łagodnie Gowan, który zauważył jej lekkie wstrząśnienie, lecz sądził, że przyczyną jest wielki pies stojący tuż przy niej.

– Ja się go wcale nie obawiam – odpowiedziała żywo – lecz proszę, niech pan spojrzy.

W tej chwili Gowan rzucił pędzel i paletę i obu rękami ujął psa mocno za obrożę.

– Po co go drażnisz, Blandois! – zawołał. – Doczekasz się, że cię rozerwie w kawałki. Leżeć, Lew! Leżeć! No już.

Lecz pies szarpał się tak gwałtownie, nie zwracając uwagi na rozkazy, iż stało się widoczne, że wyrwie się lada chwila i skoczy na wroga.

– Nie drażniłem go – zapewniał Blandois, błądy i wystraszony.

– Uciekaj! – krzyknął Gowan. – Nie utrzymam go! Coś mu zrobił, u diabła? Uciekaj, bo cię zdusi.

Blandoisa już nie było.

Pies gwałtownie rzucił się do drzwi z ujadaniem, lecz Gowan powalił go uderzeniem w głowę i kopnął parę razy.

– Leżeć, bo cię zastrzelę! – krzyknął groźnie.

Pies, warcząc, położył się w kącie pracowni i patrzył dzikim wzrokiem.

– Nie obawiaj się, Mini – zwrócił się malarz do żony – wiesz przecież, że Lew jest łagodny. Tylko nie cierpi pana Blandois. Psy miewają takie swoje antypatie. Choć pierwszy raz dzisiaj był aż tak wściekły.

Było to usprawiedliwienie dla wszystkich. Lew rozumiał widać, o co chodzi, i zawstydzony przycołgał się do swojej pani, ocierając się pokornie o nogi.

Po tym niemiłym zajściu nikt nie miał chęci do rozmowy, nawet Fanny straciła humor. Po kilku więc grzecznościach i frazesach, w których nie było treści, obie panny pożegnały swych nowych znajomych. Gowan odprowadził je aż do gondoli, gdzie ujrzeli pana Blandois, jeszcze bladego ze strachu czy gniewu.

Po wymianie nowych grzeczności panny znalazły się wreszcie w gondoli

i płynęły spokojnie wśród sieci kanałów. Wkrótce jednak Amy zdziwiona spostrzegła, że Fanny przybiera jakieś dziwne pozy, i dopiero wówczas zwróciła uwagę na młodzieńca, który od pewnego czasu płynął obok lub tuż za nimi, nie odwracając oczu od jej siostry.

– Któż to? – spytała cicho.

– Ten gapa? Nie poznajesz? – Wzruszyła ramionami, a ponieważ wzrok Amy mówił jej wyraźnie, że nic nie rozumie, dodała z pogardliwą minką: – Młody Sparkler. Widziałś go przecież w Martigny.

– Po cóż on płynie z nami?

– Ach, dzieciaku! – zaśmiała się starsza panna Dorrit. – Zdaje się, że tych rzeczy nigdy nie zrozumiesz; a ja nie mam ochoty ci tłumaczyć, więc jeśliś ciekawa, zapytaj Edwarda. Zdaje mi się, że Sparkler zrobił go swoim powiernikiem. Choć zresztą cała Wenecja dziś mówi o tej jego miłości!

– Czy myślisz, Fanny, że on złoży nam wizytę?

– Bardzo się dziwię, że jej nie złożył dotychczas. Widocznie brakowało mu odwagi. Ale to nas nie minie, bądź spokojna.

– I cóż ty zrobisz, Fanny?

Starsza siostra ruszyła ramionami.

– Zobaczymy – odparła. – Nie jestem dziś zdecydowana. Lecz mam wielką ochotę dojść do tego, ażeby w obecności jego matki podarować swojej pokojówce bransoletkę i suknię dziesięć razy większej wartości od tej, który ona ofiarowała niegdyś biednej dziewczynie za to, że odrzuciła małżeństwo z tym głupcem.

Zbliżali się do domu i Amy ujrzała gondolę Sparklera, stojącą u podjazdu do pałacu, który zajmowali Dorritowie.

Młody człowiek przedstawił się głowie rodziny jako znajomy z oberży w Martigny, złożył uszanowanie od „mamy” i był tak onieśmielony dostojnością Williama Dorrit, że pozyskał zupełnie jego względy i został zaproszony na obiad.

Przy obiedzie rozmawiano o Gowanach i pan Dorrit postanowił prosić młodego artystę o portrety całej rodziny. Fanny popierała ten zamiar bardzo żywo.

Wieczór spędzono wraz ze Sparklerem w teatrze, ale przy wyjściu Amy doznała przykrego wrażenia, gdyż Blandois oczekiwał na nich ze zwykłą uprzejmością, ażeby odprowadzić damy do gondoli.

Idąc obok, zaczął mówić o stracie, jaką poniósł pan Gowan.

– Strata? – spytała Fanny ze zdziwieniem.

– Tak, zdechł mu pies ulubiony, którego panie widziały.

– Lew – szepnęła ze współczuciem maleńka Dorrit.

– Zdaje się, że otruty – dodał Blandois niedbale.

Amy zadrżała i spuściła oczy. Nie śmiała się zapytać nawet w myśli, kto mógł biednego psa otruć.

Zbliżenie z towarzystwem, którego dotąd unikała, nasunęło Amy dziwne porównanie. Im częściej widywała tych ludzi, tak strojnych, rozmawiających głównie o rozrywkach, powtarzających zdania bez istotnej treści, tym podobniejszymi wydawali się jej do śmietanki więźniów w Marshalsea. Nie rozumiała wcale, dlaczego jej się tak wydaje, ale nie mogła się pozbyć tych spostrzeżeń.

Lubiła tylko odwiedzać panią Gowan, o ile mogły porozmawiać same, czemu najczęściej przeszkadzał Blandois. Obie czuły wstręt do niego, obie go podejrzewały o rzeczy brzydkie, a może okropne, choć on okazywał im szczególne względy, jakby się starał związać je ze swoją osobą w jakimś nieznanym, tajemniczym celu.

To samo powtórzyło się i w Rzymie, dokąd cała rodzina przyjechała po kilku tygodniach i gdzie zaraz zawiązał się bardzo uprzejmy towarzyski stosunek z panią Merdle.

Maleńka Dorrit nie mogła nigdy wyjść z podziwu, słuchając jej rozmowy z Fanny. Nie, ona nigdy w życiu nie umiałaby mówić tak swobodnie ani o miłym poznaniu się w Martigny, ani o trwających całe lata podróżach. Spuszczała wtedy oczy i tłumiła westchnienie.

Lecz ojciec był zadowolony, że nie usuwa się od towarzystwa, i to ją pocieszało. Nie myślała o sobie i swoich przyjemnościach, jak nie myślała dawniej o zniszczonych sukniach i podartym obuwiu. Żyła znów dla rodziny i spełniała bez oporu jej życzenia.

ROZDZIAŁ IV

MROKI I CIENIE

Firma Doyce i Clennam napełniała Rozdarte Serce szumem maszyn, odgłosem uderzeń młota lub świszczącym tarcie żelaza. Warsztaty były pełne, a współpracownicy zbliżali się i rozumieli coraz lepiej.

Arthur Clennam z zamiłowaniem badał tajemnice mechaniki i wynalazków, które pochłaniały umysł pana Doyce, Daniel Doyce nie tylko szanował współpracownika, lecz darząc go zupełnym zaufaniem, dzielił z nim w wolnych chwilach myśli i uczucia jak z przyjacielem, bratem.

Pomimo to jednakże Arthur odczuł pustkę, jaką zniknięcie Amy spowodowało w jego cichym życiu. Teraz dopiero poznał ze zdziwieniem, ile miejsca w nim zajmowała ta drobna i niepozorna istotka. Odczuł to tym dotkliwiej, iż nie miał nadziei, aby się kiedykolwiek między nimi mógł zawiązać nowy stosunek. List Amy sprawił mu wielką przyjemność, lecz potwierdził to przekonanie: ona została taką, jaką była, lecz jej rodzina nie chce nic z przeszłości.

W niedzielę bardzo często sam lub ze współpracownikiem odwiedzał Twickenham, gdyż lubił to miejsce, i prosili go oto oboje państwo Meagles, wyjeżdżając do Rzymu dla zobaczenia się z córką. Niekiedy przychodził tutaj już w sobotę i zostawał do poniedziałku, odczuwając dobroczynny wpływ pięknej natury, łagodzący nawet bolesne wspomnienia.

Pani Tickit, miejscowa gospodyni, witała go zawsze ze szczerą radością, gdyż goście ci wnosili ze sobą trochę życia, i myślała potem o nich cały tydzień, oczekując nowej wizyty w niedzielę.

Ale razu pewnego starszuszka wybiegła sama aż do furtki, żeby mu otworzyć i z tajemniczą miną oznajmiła:

– Mam panu coś powiedzieć.

– Cóż takiego?

Pani Tickit zamknęła drzwi pokoju i zbliżywszy się do Clennama, mówiła cicho, ze świecącymi oczyma.

– Widziałam Tatty.

– Gdzie?

– Tutaj. Wczoraj o zmroku. Siedziałam sobie w oknie i myślałam o różnych rzeczach... jak to bywało dawniej, choćby i w tym domu. Patrząc, ktoś, idąc szybko, stanął przy sztachetach i zagląda do ogrodu. Jeszcze nie mogłam wierzyć, aby to była ona. Chyba że mi się śniło. A nie spałam, może pan być przekonany. Zerwałam się i wybiegłam na ulicę... nie było jej już nigdzie... nigdzie. Czekałam potem długo... nie wróciła!

– Myślę, że już nie wróci – rzekł Arthur. – Trudno.

– O państwo tak by się ucieszyli!

– Nic na to poradzić dzisiaj nie możemy. Ona nie chce.

Rzeczywiście zdawało mu się, że państwo Meagles dbali więcej o biedne dziecko, niż na to zasługiwało. Potem przyszła mu na myśl panna Wade. Dziwna, szczególna postać. Dlaczego jest taka? Nie wątpił, że to ona doprowadziła Tattycoram do uciezki, lecz dlaczego? Co ją obchodzić mogła ta dziewczyna i co może dla niej uczynić?

Pod wpływem tej rozmowy nieraz zdawało mu się, że widzi Tattycoram na ulicy, zwracała jego uwagę każda młoda dziewczyna, przypominająca ją wzrostem i ruchem.

Spotkał ją istotnie kilka dni po tej rozmowie. Szedł bulwarem nad rzeką, kiedy przeciął mu drogę długi szereg wozów wiozących węgiel kamienny. Zatrzymał się, obejrzał dokoła, jak człowiek rozbudzony z zamyślenia, i ujrzał ją tuż blisko. Szła z nieznanym, wysokim mężczyzną, który wydał się Arthurowi cudzoziemcem. Szereg wozów zatrzymał również ich w drodze.

Nieznajomy pochylił się do Tattycoram i coś mówił jej cicho, oglądając się od czasu do czasu, jakby się kogo obawiał. Arthur zauważył, że miał błyszczące oczy, duży garbaty nos i wąsy sterczące do góry.

Clennam postanowił iść za nimi z daleka. Obcy zrobił na nim bardzo niemiłe wrażenie, cóż on może mieć wspólnego z Tattycoram?

Było już ciemno, dokoła latarni rysowały się mgliste kręgi, Arthur szedł z wolna, nie tracąc ich z oczu.

Wtem trzecia osoba przyłączyła się do grupy. Była to panna Wade.

– To lepiej – szepnął Arthur.

Panna Wade rozmawiała z cudzoziemcem, Tattycoram szła za nimi, postępowali z wolna, ale w przeciwną stronę niż poprzednio. Tym sposobem musieli przejść koło Clennama, który nie chcąc być dostrzeżonym, cofnął się w zagłębienie pomiędzy domami.

Minęli go o parę kroków i widział bardzo dobrze wyniosłą i zimną twarz panny Wade, lisi uśmiech nieznanego i spuszczoną na piersi główkę Tattycoram. Usłyszał także kilka słów rozmowy.

– Nie mam dzisiaj tej sumy, musi pan poczekać do jutra – powiedziała wzgardliwie pani Wade.

– Może późno wieczorem?...

– Powiedziałam, że jutro. Nie jestem obowiązana płacić dzisiaj. Zjawił się pan niespodzianie.

– Gorliwe chęci.

– Dosyć. Henryko, powiedz panu, gdzie jutro otrzyma pieniądze.

I poszła naprzód, zaledwie skinąwszy mu głową.

Arthur widział wyraźnie Tattycoram rozmawiającą chwilę z cudzoziemcem i zdawało mu się, że czyta w jej ruchach jak gdyby wstręt i trwogę. Wkrótce potem rozdzielili ich przechodnie, a zresztą – jaki cel śledzić ich dalej? Tattycoram nie wróci do swych opiekunów.

Spotkanie to jakimś skojarzeniem pojęć nasunęło Arthurowi na myśl dom rodzinny. Nie był tam od dni kilku, ostatnio rzadko tam zachodził, gdyż odczuwał, że bytność jego nie jest pożądana, a jemu rzuca posępny cień w duszę.

Dziwny dom i dziwne całe otoczenie, posępne, smutne, tajemnicze. Takie wrażenie cała ta dzielnica wywierała na niego od czasów dzieciństwa, a życie nie rozproszyło go bynajmniej. Bo czyż nie kryły może okropnych tajemnic te wszystkie sklepy i domy handlowe z wąskimi, zakratowanymi oknami, w żelaznych szafach, księgach rachunkowych i posępnych, ciemnych komnatach?

Pogrążony w tych myślach, mimo woli prawie skierował się ku domowi, a im bardziej się zbliżał, tym mocniej odczuwał ten mrok chłodny, który ogarniał go tutaj. Na tle ciemności widział skamieniałą prawie, zimną i nieruchomą twarz matki, a gdzieś w mrocznej głębi bolesne oblicze umierającego na obczyźnie ojca i błagalne jego spojrzenie.

Było już koło dziewiątej wieczorem i z ulic prowadzących do domu Clennama wiała zupełna pustka. Dlatego też wyraźnie usłyszał Arthur za sobą szybkie kroki, a gdy, chcąc puścić przechodnia przed siebie, cofnął się do muru na wąskim chodniku, ujrzał zbliżającą się postać człowieka, którego przed godziną widział obok Tattycoram.

Nie mógł się mylić, gdyż ubiór, ruchy i ostry profil twarzy wyróżniały go zupełnie spośród tłumu. Musiał być cudzoziemcem i nie wzbudzał bynajmniej

zaufania.

Zanim jednakże Arthur zdał sobie z tego sprawę, nieznajomy minął go szybko i kroki jego znowu umilkły w oddali.

Na koniec zarysował się przed nim dom matki, przypominający mu krzywym konturem Jeremiaha Flintwincha z przechyloną głową. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy znowu ujrzał tu nieznajomego. Obcy człowiek stał na ulicy i uważnie wpatrywał się w słabo oświetlone okna pokoju pani Clennam.

Widząc nadchodzącego Arthura, poprawił teatralnym ruchem szeroki płaszcz zarzucony na ramię jednym końcem, ujął kołatkę i zapukał do drzwi śmiało i energicznie.

Arthur zbliżył się i stanął obok niego. Człowiek z garbatym nosem nucił włoską piosenkę, spojrzawszy na niego krzywo i wyzywająco, następnie ujął kołatkę i zapukał powtórnie.

– Pan bardzo niecierpliwy – zauważył Arthur.

– To prawda, panie, do stu diabłów! Niecierpliwość jest cechą mego charakteru.

Dźwięk łańcucha, który przezornie zakładano przed otwarciem, zwrócił na drzwi uwagę obu mężczyzn. Przez uchyloną szparę ujrzeli panią Flintwinch ze świecą w ręku.

– Któż tam tak późno? A to pan, Arthurze. Pan tak mocno nigdy nie stuka? O Boże! – zawołała, spostrzegając nagle drugiego. – Znowu on!

– Tak, tak, najukochańsza pani Flintwinch, on sam i nikt inny! Otwórz drzwi z łaski swojej i pozwól mi uściskać przyjaciela mego, Flintwincha.

– Nie ma go w domu – broniła się Affery.

– To go sprowadź, zawołaj, jak tam chcesz, moja najdroższa! Powiedz mu, że go czeka najlepszy przyjaciel, Blandois, który tylko co przybył do Anglii. No, dalej, stara, żywo! Ja tymczasem pójdę na górę złożyć moje uszanowanie. Otwierajże do licha. Pani żyje? Zdrowa?

Ku zdumieniu Arthura Affery zdjęła łańcuch i nieznajomy wszedł bez ceremonii, zostawiając za sobą Arthura.

– Teraz idź, powiedz pani, że tu jestem, i biegaj po Flintwincha – rozkazywał obcy, zdejmując płaszcz i głośno stąpając po kamiennej posadzce.

– Kto to jest, Affery? – odezwał się surowo Arthur, ruchem głowy wskazując przybyłego.

– Kto to jest, Affery? – powtórzył cudzoziemiec, ruchem głowy przez ramię

wskazując Arthura.

W tej chwili z góry dał się słyszeć donośny głos pani Clennam.

– Affery! Niech tu wejdą obaj. Arthurze, chodź natychmiast!

– Arthur? – powtórzył obcy. – Syn lady z góry? Moje uszanowanie.

I zdejmując kapelusz, schylił się w niskim ukłonie.

Arthur skierował się prosto na schody, jakby nie zauważył tego powitania.

Blandois szedł tuż za nim. Affery pobiegła po męża.

Pani Clennam sztywno skinęła głową wchodzącym, lecz choć Arthur nie był obecny przy pierwszym spotkaniu z Blandois i tym samym nie mógł ocenić różnicy w zachowaniu się matki, zauważył w niej jednak pewną zmianę, coś jak gdyby niepokój, jakby chęć pozostania sam na sam z przybyszem i złagodzenia niezbyt ukrywanej jego niecierpliwości. Z pozorów wprawdzie była to ta sama kamienna pani Clennam, ale drobne nerwowe jej ruchy miały dla Arthura wymowne znaczenie.

– Pani – rzekł Blandois po pierwszych słowach powitania – racz mnie przedstawić synowi. Widzę, iż ma zamiar poskarżyć się na mnie, muszę jednak powiedzieć pierwszy, że zarzucam mu brak grzeczności.

– Panie – żywo odparł Arthur – nie wiem, kim jesteś i po coś tu przyszedł, ale gdybym był gospodarzem tego domu, prosiłbym cię, abyś go natychmiast opuścił.

– Na szczęście nie jesteś tutaj gospodarzem – powiedziała surowo pani Clennam, nie patrząc na syna. – Nie jesteś tutaj gospodarzem.

– Nie roszczę sobie tego prawa, matko. Jednak zachowanie tego dżentelmena tak dalece wydaje mi się niewłaściwe, iż prosiłbym go, żeby stąd wyszedł przez wzgląd na ciebie, matko.

– Radziłam sobie zawsze w życiu sama i nie wzywałabym twojej pomocy do załatwienia się z panem Blandois.

Obcy roześmiał się głośno, uderzając ręką w kolano.

– Nie masz żadnego prawa – mówiła dalej pani Clennam swym suchym, stanowczym tonem – ganić postępowania cudzoziemca, ponieważ się różni od twego. Bardzo być może, że panu Blandois twoje postępowanie w równym stopniu wydaje się niewłaściwym.

– Bardzo być może – rzekł spokojnie Arthur.

– Pan Blandois – zaczęła znowu pani Clennam – został nam polecony przez jednego z naszych korespondentów w Paryżu, i jakkolwiek nie miał dotąd sposobności powiedzieć mi o celu swych odwiedzin, nie mogę wątpić, że chodzi

o sprawy pieniężne, których załatwienie jest naszym prostym obowiązkiem. Pan Blandois w tym domu nie jest obcy. Podczas ostatniej bytności poznał się bliżej z Flintwinchem i spędzili noc całą na przyjacielskiej pogawędce. Dlatego uważam za słuszne wyrazić panu Blandois ubolewanie z powodu zachowania się twego, Arthurze. Nic innego zrobić nie mogę, jak przeprosić go za ciebie.

W tej chwili ciężkie kroki dały się słyszeć na schodach, drzwi skrzypnęły i wszedł Flintwinch.

Blandois wstał z okrzykiem i pośpieszył naprzeciw niemu.

– Jak się masz, przyjacielu! – wołał, otwierając szeroko ramiona – Cudnie kwitniesz! Jak wiosna! Cóż, słodki chłopczyku, świat różowy, nieprawdaż? Musiałeś oczekiwać mnie niecierpliwie?

– Domyślałem się, że przyjdiesz na wino – odparł spokojnie Flintwinch.

– Ach, ty kpiarzu! he, he, he! – zaśmiał się Blandois i trzepnąwszy Jeremiaha po ramieniu, zaczął go obracać w kółko, aż mu się końce chustki przekęciły z boku na tył szyi.

Arthur w milczeniu patrzył na tę scenę, gdyż zdziwienie i oburzenie w połączeniu z jakimś pełnym podejrzeń lękiem głos mu zatamowały. Spojrzał na matkę i spotkał jej oczy, z dziwnym wyrazem utkwione w panu Blandois, który zmieszał się pod tym wzrokiem i nie wiedział, co z sobą zrobić.

W pokoju zapanowało milczenie.

– Bądź łaskaw, Arthurze, zostaw nas i pozwól zająć się interesami – odezwała się wreszcie pani Clennam suchym lodowatym tonem.

– Będzie mi bardzo przykro odejść, matko.

– Czy przykro, czy przyjemnie, proszę cię, żebyś mnie zostawił samą, przyjdź kiedy indziej, jeżeli uważasz za swój obowiązek spędzić tu nudną godzinę. Dobranoc.

Podążyła mu obandażowaną rękę, której dotknął ostrożnie, pochylił się następnie nad jej krzesłem i jak zwykle złożył lekki pocałunek na jej zimnej i gładkiej twarzy. Zauważył przy tym, że wzrok pani Clennam był utkwiony w pana Blandois, a ten wykrzywił usta pogardliwie i w szczególny sposób pstryknął wielkim palcem.

– Panie Flintwinch – zwrócił się teraz do współnika matki – z niechęcią i oburzeniem zostawiam w domu matki pańskiego przyjaciela.

Blandois znowu pstryknął pogardliwie.

– Dobranoc, matko.

– Miałem przyjaciela, mój przezacny Flintwinch – odezwał się Blandois, stając plecami do ognia i mówiąc głośno, aby go jeszcze usłyszał Arthur we drzwiach – miałem przyjaciela, który tyle historii słyszał o tej dzielnicy w Londynie, że nigdy by tu nie został sam wieczorem z ludźmi mającymi interes pozbycia się go raz na zawsze! Nie zostałyby sam nawet w tak szanownym domu jak ten, mości Flintwinch. Chyba że czułby się fizycznie silniejszym od swego otoczenia. To był tchórz, panie Flintwinch, nieprawdaż?

– Tak sądzę – odparł Jeremiaś.

– I ja także. W każdym razie, mój przyjacielu, nie byłby został z nimi, chyba gdyby wiedział, że nie mają władzy zrobić go na zawsze niemym. Dlatego nie wypiłby z ich ręki szklanki wody, nawet w tak szanownym domu jak ten, panie Flintwinch, o ile by jej przedtem ktoś z obecnych nie skosztował.

Mówiąc to, Blandois rzucał spojrzenia ku drzwiom, jakby chciał się upewnić, że ma świadka swoich przypuszczeń. Arthur jednakże milczał. Spojrzał tylko raz jeszcze na kamienną, nieporuszoną twarz matki i odszedł szarpany najsprzeczniejszymi uczuciami.

– Na Boga, Affery, co się tutaj dzieje? – zapytał cicho drżącym głosem, kiedy służąca odprowadzała go na dół ze świecą.

Lecz Affery miała oczy obłąkane, zarzuciła fartuch na głowę i bełkotała prawie nieprzytomna.

– Nie pytaj mnie, Arthurze, o nic mnie nie pytaj. Ja nic nie wiem. Chodzę jak we śnie i nic nie rozumiem.

ROZDZIAŁ V

SZCZĘŚLIWA CHATKA

W Rozdartym Sercu panowała epidemia. Prawda, że panowała ona stokroć potężniej jeszcze w innych dzielnicach, i w całym Londynie, i w całej Anglii, może nawet dalej, lecz choć podlegał jej może świat cały w taki czy inny sposób, dziwne się wydać może, iż zagnieżdżyła się tutaj.

Nie była to tym razem zaraza fizyczna, lecz może niebezpieczniejsza i bardziej zabójcza gorączka spekulacji. Imię Merdle'a powtarzały wszystkie usta, wstrząsało ono nerwy bogaczy i nędzarzy, zapalało niezdrowe namiętności.

Mieszkańcy Rozdartego Serca, którzy z takim trudem wypłacali tygodniowe swe komorne albo nie byli w stanie go zapłacić – przy każdej sposobności rozmawiali o wielkim bankierze i jego milionach, o potędze złota, którą umiał zdobyć.

Ciekawe i zajmujące te rozmowy ogniskowały się głównie w sklepiku Plornishowej, który pan Dorrit pomógł jej otworzyć, najwyższą zaś temperaturą gorączki wyróżniały się dni, kiedy Pancks zbierał komorne.

– Płacić! Płacić! – wołał ten energiczny człowiek, stając w progu skromnej izdebki. – Powiniście mieć przygotowane pieniądze, nim przyjdę.

– Cóż zrobię, panie, kiedy nie mam ani szylinga.

– To nie racja, moi kochani, wiecie dobrze, że płacić trzeba. No, żywo.

– Czy to ja Merdle, mój panie? Gdybym był takim bogaczem...

Tak odpowiadał każdy, kto nie miał pieniędzy, i Pancks nie znajdował na to argumentu. W końcu się zirytował.

– Zwariowaliście wszyscy z waszym Merdle'em! – wołał. – Co wam do niego. Płaćcie. Nic więcej od was nie chcę! Ja też nie jestem Merdle'em.

– Wielka szkoda – mówili ubodzy płatnicy – byłoby nam lepiej, gdyby pan był Merdle'em. Nie byłby pan taki srogi.

Pancks gryzł paznokcie, groził i odchodził z niczym, na pociechę i odpoczynek wstępując do Plornishów, którzy teraz wypłacali się szczęśliwie. Toteż stosunki z poborcą były zupełnie przyjazne i Pancks zachodził tu nieraz, aby porozmawiać z nimi o tej maleńkiej kochanej Dorrit.

Mieszkanie Plornishów pięknie teraz wyglądało. Wprost ze sklepu tylnymi

drzwiami wchodziło się do izby dość obszernej, gdzie pod okiem samej gospośi i według jej wymagań na tej właśnie ścianie, dzielącej od sklepu, była namalowana chata wiejska z żółtym słomianym dachem i kominem, z którego dym wzbijał się w górę. Drzwi tej chaty były prawdziwymi drzwiami do sklepu, a okno prawdziwym oknem. Przed chatą kwitły wielkie malwy i słoneczniki, a na progu leżał pies, wierny i czujny, gotów rzucić się na przechodnia. Z boku wznosił się okrągły gołębnik, otoczony latającymi gołębiami.

Na drzwiach była namalowana miedziana tabliczka z napisem:

Szczęśliwa chata T. i S. Plornishów.

Ten przepiękny obraz *al fresco* był dumą i szczęściem rodziny. Oboje małżonkowie patrzyli z zachwytem na dach słomiany i kwitnące malwy, zdawało im się, że z tej strony płynie jakiś świeży powiew wiejskiego powietrza, że słyszą szelest skrzydeł i gruchanie gołębi. O, to był śliczny pomysł i cudne malowidło!

Kiedy wieczorem zamykano sklepik, zbierali się wszyscy w tej „szczęśliwej chatce”, pan Nandy śpiewał cichym, drżącym głosem, dzieci piły mleko, przegryzając chlebem, i wszystkim się zdawało, że los przeniósł ich nagle w dawne czasy, kiedy na całym świecie byli tylko szczęśliwi ludzie.

Pancks prychnął parę razy, usiadł na podanym krześle, słuchał śpiewu pana Nandy i patrzył na szczęśliwe twarze. Potem obejrzał się nagle i spytał, gdzie jest mały, wesoły Altro, który odnajmował od nich małą izdebkę pod strychem.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie wrócił – rzekła Plornishowa – poszedł odnieść robotę i miał być przed wieczorem, ale dotąd go nie ma.

Pancks wziął w rękę kajet, należący do pierworodnego syna tego domu, który już chodził do szkoły, i dowiedział się, że starsi uczniowie, którzy już doszli do litery *M*, pisali dzisiaj: Merdle, milion.

– Milion – powtórzył Pancks – mało ludzi rozumie, co to znaczy. A państwa interesy jakże idą?

– Wcale nieźle – odpowiedziała śpiesznie pani Plornish i natychmiast zwróciła się do pana Nandy.

– Może by ojciec, póki jeszcze widno, uporządkował nam wystawę w oknie – prosiła starca – prawdę mówiąc, nikt tak dobrze tego nie zrobi.

Pan Nandy, zachwycony propozycją, opuścił „szczęśliwą chatkę” na czas krótki, nie domyślając się wcale podstępu. Ale córka usuwała go za każdym razem, gdy mówiono o interesach, z obawy, aby skutkiem nieostrożnego słówka nie zechciał

wrócić do przytułku.

– Byłoby wszystko dobrze – dodał, zniżając głos, Plornish – gdyby ludzie się wypłacali, ale długi!...

W Rozdartym Sercu była to największa plaga, robak toczący wszystkich. Kiedy Plornishowa otworzyła sklepik dzięki hojności szlachetnego pana Dorrit, wszystkie sąsiadki dały sobie słowo, że tylko u niej będą kupowały wszystko. I dotrzymały słowa. Więc ruch był ogromny. Cóż, kiedy kupowały przeważnie na kredyt. Przy tym przez przyjaźń, żeby miała dobry obrót, a po części dlatego, że było tak łatwo, brały więcej niż zwykle, niż dotychczas, pozwalały sobie na maleńki zbytek, w domu było obficie, ale w sklepiku Plornishów rosły rachunki, zmniejszał się kapitał, i pocziwi ludzie bali się przyszłości.

Pancks, słuchając tych zwierzeń, burzył włosy i prychał, toteż wyglądał niby dziki człowiek, kiedy pan Nandy cicho uchylił drzwi od sklepu i skinął na obecnych, aby przyszli zobaczyć pana Altro.

Baptysta Cavaletto przemknął się ukradkiem przez podwórze, blade, wzburzony, z wyrazem przerażenia w oczach. Wbiegł jak kot na drabinę stojącą przy murze i kryjąc się, i wyglądając ostrożnie, rzucał wystraszone spojrzenie w ulicę. Potem wybiegł znowu za bramę, podążył w jedną stronę, w drugą, wszedł do innego domu wreszcie, widocznie okrążywszy wielką przestrzeń zaułkami i wewnętrznymi przejściami, dostał się z innej strony na podwórze. Łatwo było domyślić się, że chciał zmylić komuś ślady. Wrócił tak zadyszany i z twarzą tak zmienioną, że nie można go było poznać.

– Cóż to, stary? – zawołał Pancks, gdy wszedł do sieni. – Cóż ci się przytrafiło?

Altro mówił już teraz bardzo płynnie po angielsku, więc swobodnie mógł powiedzieć, ale pochylił głowę i szepnął tajemniczo:

– Wejźmy do szczęśliwej chatki, *padrona*.

Plornishowa niezmiernie dumna była z tego tytułu i nadawała mu inne znaczenie: wyobrażała sobie, że oznacza profesora, bo ktoś, jeśli nie ona, nauczyła Baptystę po angielsku.

– Co się stało? – powtórzyła, kiedy znaleźli się w izbie.

– Widziałem jednego człowieka – odparł bardzo cicho – ja go *rincontrato*.

– Kogo?

– Bardzo zły człowiek... straszny człowiek... ja nie chciałem jego widzieć nigdy, nigdy...

– A dlaczego on straszny? Skąd wiesz? – pytała *padrona*.

– Wiem... o, wiem... bardzo dobrze!

– I widział cię?

– Nie, nie! Zdaje mi się, że nie widział. Nie widział.

– A skąd wiesz, że cię nie widział?

– Nie, nie – powtarzał Altro – piękna *padrona*, nie mówmy już o tym. Ja się go bardzo boję. To zły człowiek. Ja nie chcę go widzieć już nigdy. Nie mówić więcej o tym!

Widoczne było, że pragnie zapomnieć o spotkaniu, które go pozbawiło zwykłej wesołości. Więc zacna pani Plornish zajęła się herbatą, choć uprzejme milczenie nie zmniejszyło jej ciekawości. I Pancks widocznie był zaciekawiony, nie spuszczał oka z pana Cavaletto i rozmawiając niby o czym innym, wszyscy myśleli o dziwnym spotkaniu.

Jan Baptysta usiadł przy oknie i, ukryty za ramą, rzucał na podwórze niespokojne spojrzenie. Nie był widocznie pewny, że go nie widziano. A ile razy dzwonek odezwał się przy drzwiach wejściowych, wzdrygał się i mimowolnie starał ukryć głowę.

Nawet Maggie zwróciła uwagę na jego niezwykajne zachowanie i szerzej niż zwykle otwierała usta.

W końcu wypili, zjedli, sprzątnięto ze stołu i pani Plornish zamierzała właśnie prosić ojca, żeby zaśpiewał, kiedy dzwonek zadzwęczał znowu i do izby wszedł Clennam.

W ostatnich czasach Clennam miał dużo zajęcia, gdyż wspólnik jego wyjechał na dłużej, przyjmując korzystne miejsce urzędzenia warsztatów mechanicznych, i na barkach Arthura pozostawił cały interes. Tym sposobem oprócz ksiąg rachunkowych, korespondencji i dozoru pracy Arthur musiał myśleć o wszystkich szczegółach, gdyż pan Doyce na czas swej nieobecności zostawił mu we wszystkim pełnomocnictwo nieograniczone.

Niekiedy rad był temu, że nie ma czasu myśleć o sprawach osobistych, ale czasem czuł się ogromnie zmęczony.

Dziś był w usposobieniu dziwnie przygnębnym i może dlatego wstąpił do Plornishów, przynosząc jednocześnie miłą wieść, że Amy napisała po raz drugi.

Radość była powszechna, musiał powtarzać wyrazy, którymi pozdrawiała każdego z osobna. Pancks czuł się bardzo dumny, że wspomniała o nim. Pani

Plornish nakryła znów do stołu, ażeby podać gościowi herbatę, ale Clennam dziękował. Nie jadł jeszcze obiadu, dlatego musi iść zaraz do domu. Bardzo wdzięczny jest za gościnę i chętnie skorzysta z niej innym razem.

Pancks zaczął także sapać, co oznaczało, że motor parowy zabiera się do drogi, wyszli więc razem ze szczęśliwej chatki.

– Może pan wstąpi do mnie – odezwał się Arthur, gdy znaleźli się na ulicy. – Spełnisz dobry uczynek, jeśli zjesz ze mną obiad, bo jestem jakoś dziwnie przygnębiony.

– Bardzo chętnie – odparł Pancks szybko – chciałbym oddać panu jakąś większą, niż ta, usługę.

Od owego wieczoru, kiedy Pancks przeskoczył na podwórzu Marshalsea przez swego towarzysza Rugga, między nim i Clennamem zawiązała się milcząca przyjaźń. W dniu odjazdu z więzienia wzbogaconej rodziny Dorrit stali tam obok siebie i odeszli razem, pogrążeni w pokrewnych myślach. Pierwszy list Amy żywo obszedł Pancksa, wzruszyła go jej pamięć o nim. I chociaż tak niewiele rozmawiali dotąd o sprawach osobistych, Arthur był zupełnie pewny, że energiczny człowieczek ma dla niego szczerze uczucie.

– Czy pan dziś zwrócił uwagę na Altro? – zapytał Pancks po chwili.

– Nie. Dlaczego?

– Taki wesoły człowiek, bardzo go za to lubię. Dziś spotkał kogoś na mieście i był niepodobny do siebie.

– Nic nie zauważyłem – rzekł zamyślony Arthur.

– Szkoda. Może by warto rozpytać go bliżej. W każdym razie to cudzoziemiec i nic nie wiemy o jego przeszłości.

– O co mam go rozpytać? O przyczynę trwogi? Przypuszczam, że sam powie, jeśli naprawdę istnieje. A co do jego życia i przeszłości, widzimy przecież wszyscy, jakiego to rodzaju człowiek. Nic mu nie mam do zarzucenia, wierzę zupełnie w jego przywiązanie, i byłoby niesprawiedliwością i krzywdą z mojej strony posądzać go o ukrywanie. Czego? Podejrzanych stosunków?

– Może ma pan i słuszność w tym wypadku, biorąc jednak na ogół, zdaje mi się, że pan zbyt ufa ludziom, jak na zwyczajnego zwierchnika.

– Czyż ja jestem zwierchnikiem Cavaletto? Zarabia na życie wyrzynaniem z drzewa bardzo zręcznych cacek. Powierzam mu tylko klucze i straż nad warsztatem w nocy. Jestem raczej jego doradcą, bankierem... choć mój wpływ bardzo mały, bo w ostatnich czasach zawróciły mu głowę głupie spekulacje.

– Spekulacje? Jakież?

– Naturalnie Merdle’a. Epidemia.

– Epidemia? Hm, nie wiem. Pan tak się zapatruje?

Doszli do mieszkania i rozmowa się przerwała. Obiad był skromny, lecz na kominku płonął jasny ogień. Arthur wyjął dwie długie fajki, i obaj otoczyli się kłębamii dymu, który łagodzi troski.

– Więc pańskim zdaniem – zaczął Pancks niespodziewanie – biednemu Cavaletto Merdle zawrócić głowę? Na to odpowiem panu, że na ten zawrót głowy chorują tutaj wszyscy. Gdzie przyjdę po komorne, słyszę: Merdle, Merdle’a, Merdle’owi.

– Gorączka – mruknął Arthur. – Chorobliwy obłąd w sprawach, których nie rozumiem.

– Nie rozumiem – powtórzył Pancks z mocnym przekonaniem – ale mają instynkt. Ja rozumiem. Ja to zba-da-łem. Ja rozpatrzyłem wszystko, obliczyłem, zważyłem i, mówię panu, to wcale nie obłąd. Ci ludzie mają słuszność.

– Hm! – zauważył Clennam po chwili milczenia – sądzę jednak, że gdyby szło o pański tysiąc funtów, nie oddałbyś go pan Merdle’owi?

– Nie oddałbym? Już to zrobiłem – rzekł Pancks z miną człowieka, który składa dowód przekonująco.

Puścił ogromny kłąb dymu i bacznie spojrział na Clennama.

– Tak, panie Clennam – zaczął – już to zrobiłem. Zbadałem rzecz i przekonałem się na cyfrach, że to człowiek niepospolicity. Zresztą kapitał i poparcie rządu, więc jakież tu ryzyko? Powinieneś pan zrobić to samo.

Arthur pochylił głowę. W słowach Pancksa widział zarazę, ale nie usiłował jej zwalczać, zajmowały go i dręczyły inne myśli: pierwsze – odpowiedzialność za interesy wspólnika, druga – nieokreślony niepokój o przeszłość, rozbudzony na nowo ostatnim spotkaniem pana Blandois w domu matki. Tak dalece był opanowany przez te troski, że musiał o nich mówić. Nie wymieniając więc nazwiska matki, jakby chodziło o daleką krewną, zwierzył się ze swych obaw i przypuszczeń, łącząc to wszystko z chęcią naprawienia złego, o ile by je znalazł i o ile by jego środki mogły wyrównać jakąś przypuszczalną krzywdę.

W ciągu tego opowiadania Pancks burzył gwałtownie włosy i kręcił się na krześle, zapominając o fajce, przejęty zaufaniem przyjaciela i gorliwą chęcią usłużenia mu dobrą radą.

– Ja na to widzę jeden tylko sposób – odezwał się nareszcie – zrobić duży

majątek, żeby wystarczyło na wszystko. Chcesz pan ocalić krewnych od jakiegoś wstydu, pańska w tym wola, ale trzeba mieć pieniądze. Chcesz pan dostarczyć swemu wspólnikowi środków do wydoskonalenia wynalazku, znowu trzeba pieniędzy. A tam płyną rzeki złota, tylko czerpać. Dlaczego tylko spekulanci mają korzystać z tego? Nie rozumiem. Na miejscu pana za całą gotówkę kupiłbym akcje Merdle'a i byłbym spokojny o jutro. Nic więcej w tej sprawie powiedzieć nie mogę.

– A gdybym stracił?

– Niepodobieństwo. Obrachowałem wszystko i wszystko wziąłem pod uwagę. To dziś prawie rządowy pieniądz.

Rozstali się wreszcie około północy. Pancks, prychnąwszy, dążył do domu, Arthur został z myślami o tym, co mu dziś włożono w głowę, i choć nie miał zamiaru usłuchać tej rady, nie mógł jednak pozbyć się myśli, że Pancks, praktyczny, energiczny człowiek, jedyne tysiąc funtów powierzył Merdle'owi i jest o swoją własność zupełnie spokojny.

ROZDZIAŁ VI

MARY PRZESZŁOŚCI

Pan Dorrit towarzyszył Fanny Sparkler do Londynu w jej poślubnej podróży. Młoda para musiała wracać, ponieważ wszechpotężny ojczym zdobył dla swego pasierba godne zazdrości stanowisko. Jako etatowy urzędnik w służbie państwowej Edmund Sparkler był obowiązany jedynie umieć podpisać swoje imię i nazwisko, resztę załatwiali za niego podwładni, za to piękny tytuł i wysoka pensja zabezpieczała mu łatwe i przyjemne życie.

Edmund Sparkler był dobrym chłopcem, choć zasługiwał na nazwisko głupca, Fanny też do pewnego stopnia miała słuszość, zapewniając siostrę, że robi dobrą partię. Fanny była bardzo logiczna.

– Zastanów się – mówiła – za kogo ja mogę wyjść. Każdy zapyta, skąd się wzięłam w świecie, do którego należę dzisiaj? Gdzie upłynęły moje młode lata? Przy tym mąż rozumny będzie wymagał liczenia się z sobą, z jego rodziną, zdaniem, upodobaniem, a ja jestem samowolna i nie chcę ulegać nikomu. Edmund zawsze będzie moim niewolnikiem, bo sam nic nie wymyśli.

– Ale go nie kochasz – smutno szepnęła Amy.

– Moja droga, nie każdy tego potrzebuje, mnie wystarcza to, co zdobywam. Możesz być o mnie spokojna.

Przyczyniło się do jej szczęścia, że mogła w przeddzień ślubu podarować swojej pokojówce w obecności pani Merdle kosztowną bransoletkę i suknię dziesięć razy droższą od tej, którą jej niegdyś podarowano. Był to słodki i miły dla niej triumf.

A teraz w pałacu Merdle'ów, do którego wchodziła niegdyś po upokorzenie, czuła się także dumna i szczęśliwa. Była tu panią. Otaczał ją zbytek, złocenia, brązy, aksamity, służba, pochlebstwa, hołdy – czegóż żądać więcej?

Sam bankier Merdle, wielki Merdle, oczekiwał na nią w salonie, gdy przyjechała z mężem, i witał z uprzejmością synową i piękną kobietę. Wielki Merdle. Jego dom stał się chwilowo jej domem, póki nie urządzi sobie własnego gniazda.

Pan Dorrit nie skorzystał z gościnności Merdle'ów, lecz zatrzymał się w pierwszorzędnym hotelu na Grosvenor Square, gdzie zajął odpowiedni do swojej godności apartament. Przyjechał do Londynu głównie w sprawach majątkowych i,

rzecz prosta, pod tym względem pragnął zasięgnąć rady znakomitego Merdle'a, z którym obecnie był w powinowactwie.

Uczuł się jednak szczerze zakłopotany już nazajutrz, gdy w południe wszedł kamerdyner z oznajmieniem o przybyciu samego pana Merdle'a. Takiego zaszczytu, takiego honoru nie spodziewał się wcale. Doprawdy za wiele dobroci.

Zaczęła się wymiana komplementów. Pan Dorrit podziwiał panią Merdle, pan Merdle podziwiał Fanny, i obaj byli zachwyceni.

Jednocześnie jak gdyby obaj byli rozgorączkowani. Pan Merdle kilkakrotnie ocierał chustką czoło, głos pana Dorrit był chwilami drżący.

– Pan tak zajęty – mówił, wracając do myśli, że wielki bankier znalazł chwilkę czasu, ażeby go odwiedzić.

– Zapewne – odparł bankier. – Uważałem jednak za pierwszy obowiązek stawić się u pana i ofiarować mu swoje usługi. Bardzo bym rad być panu pożyteczny. Chciałem też prosić, abyś pan był tak łaskaw i jadał z nami obiady przez cały czas pobytu w mieście. Długo pan tu zabawi?

– Około dwóch tygodni. Pobyt za granicą pod względem zdrowia jest nieoceniony, dla dwóch przyczyn jednakże wybrałem się osobiście do Londynu: po pierwsze, pragnąłem dostąpić zaszczytu poznania człowieka, o którym mówi Europa, a po drugie, myślę o korzystniejszym niż dotąd umieszczeniu swojego kapitału, w czym ośmieliłem się liczyć na pomoc i życzliwość najgenialniejszego z finansistów Anglii.

Pan Merdle gotów był służyć z całą przyjemnością. Jechał właśnie do City, a ponieważ pan Dorrit musiał zobaczyć się ze swoim bankierem, więc pojechali razem w karecie pana Merdle'a, budząc wokół ciekawość i zazdrość.

Niemniejszym upojeniem były wspaniałe obiady, na których królowała pani Sparkler wśród znakomicie dobranego towarzystwa i wszelkiego rodzaju tytułów. Bilety wizytowe jak śnieg posypały się w hotelu pana Dorrit, życie zaczęło mu się zdawać snem rozkosznym, a mijało tak szybko, iż zdziwił się prawie, gdy spostrzegł, jak bliski jest dzień wyjazdu.

Tak, pojutrze chce jechać, choć jeszcze tyle wizyt, że doprawdy nie ma pojęcia, jak załatwi te wszystkie sprawy. Za bilety trzeba zostawić bilety, a chociaż odnosi je kamerdyner, należy być w karecie, która się zatrzyma przed pałacami tyłu dostojników.

Kiedy rozmyślał o tym, zrobił się ruch w korytarzu i służący go zawiadomił, iż jakaś dama przysłała swój bilet i pragnie go widzieć koniecznie.

Pan Dorrit nie znał wprawdzie nazwiska tej damy, ale nie mógł odmówić jej przyjęcia, i tym sposobem Flora, zacna córka szanowanego ojca rodziny, zdobyła audiencję.

Z wrodzoną wielomównością zasypała go gradem pytań, objaśnień, podziękowań i zapewnień, których nie mógł wcale zrozumieć, dopiero kiedy wspomniała o miłej maleńkiej Dorrit, którą lubiła serdecznie, która tak pracowicie i dokładnie spełniała obowiązek, gdy przychodziła szyć do niej, panu Dorrit krew uderzyła do głowy. Zapewnił wprawdzie damę, że nic o tym nie wiedział, lecz nie był nawet pewny, czy go słyszy. Nadaremnie chciał przerwać potok jej wymowy, zapytując, w jakiej sprawie przyszła, słyszał tylko nazwiska Clennam i S-ka, Blandois, i widział całą przeszłość, wywołaną z grobu, głośną, gadatliwą, straszną.

Nogi chwiały się pod nim i pot wystąpił na czoło, usiadł na wpół przytomny, już prawie nie rozróżniając wyrazów, słysząc tylko jak gdyby turkot młyna, głoszącego światu jego tajemnice.

Nagle Flora zauważyła stan biednego człowieka, gdyż w gruncie rzeczy miała dobre serce, i sama pospiesznie zakończyła wizytę. Wyjęła z kieszeni złożoną gazetę i wskazała mu zakreślone miejsce.

– Przyznaję się, że byłam niezmiernie ciekawa poznać ojca kochanej maleńkiej Dorrit – powiedziała z naiwną otwartością – lecz nie byłabym śmiała zabierać panu czasu, gdyby nie myśl, że mogę tylu ludziom oddać przysługę. Jakaż wdzięczność Arthura, gdyby dzięki mojemu pośrednictwu można było sprawdzić, że ów Blandois żyje. Przyjechał z Rzymu, może pan go tam spotkał?

– Blandois? – powtórzył pan Dorrit zdumiony. – Znałem Blandois. A cóż mu się stało?

– Zginął bez wieści. Widziano go po raz ostatni w domu matki Arthura, pani Clennam.

– Pani Clennam – powtórzył bezmyślnie pan Dorrit. – Cóż to jest za osoba?

– Matka Arthura. Clennam i S-ka, dom handlowy. Sparaliżowana. Jej współnikiem jest Flintwinch, nieprzyjemny starzec. W ogóle dom ponury. Tam kończy się ślad Blandois, choć na pewno musiał wyjść stamtąd. Czy pan widział kiedyś dom Clennama w City? Brrr! Nie lubię tam chodzić.

– Lecz cóż ja mogę zrobić? – zapytał się pan Dorrit, z trudem zbierając rozproszone myśli.

– Pan powraca do Włoch, do Rzymu, pan tam z pewnością spotka owego Blandois, pan o niego zapyta i da znać, że podejrzenia są niesłuszne i że nie mogą

ciążyć na nazwisku Clennam.

– Ciążyć na nazwisku Clennam – powtarzał pan Dorrit, jakby to mu pomagało rozumieć treść zdania. – Jakież to podejrzenie? – spytał znowu.

– Pan Blandois wszedł do domu pani Clennam i odtąd nikt go nie widział. Dopóki się nie znajdzie, biedna sparaliżowana staruszka jest pod nadzorem policji.

Podawał zakreślony ustęp w gazecie. Pan Dorrit czytał go, usiłował zrozumieć i zapewniwszy na koniec Florę, że gotów zrobić wszystko, co będzie w jego mocy, uwolnił się szczęśliwie od jej towarzystwa.

Pozostawszy sam, odetchnął głęboko. Straszna mara przeszłości zniknęła mu z oczu, ale była i żyła, krążyła w pobliżu, przenikając go drzeniem trwogi.

Usiadł przed kominkiem, ażeby odpocząć i zebrać wreszcie myśli. Napisał do pana Merdle, że nie może być tego dnia na obiedzie, i to był pierwszy jego czyn spokojny. Nie miałyby siły pokazać się wśród ludzi. Wyczytaliby z jego twarzy wrażenia – hm – niepożądane.

Z wolna się uspokajał, przychodził do siebie. Wziął gazetę i uważnie, z namysłem przeczytał ogłoszenie policji o zaginionym Blandois. Co powie na to Gowan i inni znajomi?

Nagle wezbrała w nim dziwna ochota pojechać tam, na miejsce, do domu sparaliżowanej kobiety, zasięgnąć informacji. Nikt go przecież nie zna, a będzie mógł dokładniej zdać sprawę z wypadku w gronie wspólnych znajomych.

Wolał jednakże zrobić to o zmroku. Samotnie zjadł obiad, a potem wyszedł z domu, wsiadł do powozu, który stał na placu, i rozkazał jechać do City, do domu Clennam i S-ka.

Posępna, pusta, mroczna, słabo oświetlona dzielnica zrobiła na nim tak przygnębiające wrażenie, że gdy woźnica zatrzymał się wreszcie przed wymienionym domem, pan Dorrit nie miał prawie odwagi wyjść z powozu.

Widział na murze wielkie ogłoszenie, przyklepione z obu stron wejścia. Migotliwe światło pobliskiej latarni rzucało na nie z wiatrem jakieś błędne cienie, które zdawały się na coś wskazywać. W cieniach nocy widocznie kryła się policja, gdyż zaledwie stanął przed domem, z jednej strony ulicy zjawił się jakiś człowiek i mijając go, uważnie w twarz mu spojrzał, a z drugiej strony zjawił się tak samo drugi.

Pan Dorrit wysiadł i zapukał do drzwi. Miał wrażenie, że już nie może się cofnąć. Usłyszał wewnątrz kroki, drzwi się uchyliły i ujrzał przez szparę kobietę z zarzuconym na głowę fartuchem i zapaloną świecą.

– Kto tam? – zapytała.

Pan Dorrit, zadziwiony tym zjawiskiem, oświadczył, że przyjechał z Włoch i przybył tutaj zapytać o zaginionego cudzoziemca, który jest jego znajomym.

– Jeremiahu! – zawołała wówczas kobieta w fartuchu.

Niski starzec z głową pochyloną na bok i końcami chustki na szyi, niby odciętym postronkiem, zjawił się zaraz, krzyżąc na staruszkę.

– Otwieraj, ty wariatko! Proszę – spokojnie zwrócił się do pana Dorrit. – Dom otwarty dla wszystkich. Nie mamy tu żadnych tajemnic.

– Jeremiahu, a kto tam? – rozległ się głos z góry.

– Znów to samo. Pytania. Jakiś dżentelmen z Włoch.

– Przyrowadź go tutaj.

– Proszę pana na górę – rzekł Jeremiah. – Pani Clennam tego żąda.

W słabo oświetlonym pokoju pani Clennam siedziała przy stoliku, na którym rozłożone były księgi.

– Pan z Włoch? – spytała krótko. – Czego pan sobie życzy? Może pan nam coś powie o panu Blandois?

– Przeciwnie... hm... chciałbym się czegoś dowiedzieć – przemówił wreszcie pan Dorrit.

– Na szczęście nie mam panu nic do powiedzenia. Jeremiahu, pokaż panu ogłoszenie. Poświęć panu. Daj mu kilka egzemplarzy, może zabierze z sobą.

Pan Dorrit machinalnie odczytał znów w całości ogłoszenie.

– Teraz pan wie tyle, co i my – rzekła pani Clennam, kiedy odłożył papier. – Czy to pański przyjaciel?

– N... nie... hm... znajomy.

– Czy pan ma do niego jakieś polecenie?

– Ja?... nie!... żadnego... Spotykałem go w Wenecji, Rzymie. Teraz, będąc w Londynie... dowiedziałem się przypadkiem o... o tym zdarzeniu, i... chciałbym... rad bym jego przyjaciołom zawieźć... hm... pewniejsze wieści. Czy pani pozwoli zadać sobie trzy pytania?

– Trzydzieści, jeśli się panu podoba.

– Czy dawno pani zna pana Blandois?

– Około roku. Można to sprawdzić w księgach, przybył tu z polecenia paryskiego korespondenta, co nie ma wielkiego znaczenia.

– I często tutaj bywał?

– Wszystkiego był dwa razy. Raz wtedy... przed rokiem i... drugi raz teraz.

– A czy wolno mi spytać jeszcze hm... pan Blandois był zapewne tym ostatnim razem... hm... w interesie?

– On tak to nazwał.

– Czy można wiedzieć w jakim?

– Nie.

Odpowiedź była krótka i stanowcza, wypowiedziana zimno.

– Zadawano nam to pytanie – odezwała się znowu pani Clennam – lecz nie mamy żadnego obowiązku opowiadać całemu światu o naszych interesach.

– Chciałem tylko wiedzieć, czy nie otrzymał tu pieniędzy.

– Nie.

– I pani nie umie wytłumaczyć sobie tej zagadki?

– Owszem. Ja tłumaczę ją sobie jasno. Pan Blandois się ukrywa.

– Ukrywa?... A dlaczego?

– Powiedziałam, że rozumiem tę zagadkę, lecz nie mówiłam, że ją mogę panu wytłumaczyć. Nie chcę i nie mam obowiązku.

Pan Dorrit skłonił się, jakby przepraszając, a pani Clennam utkwiła wzrok w ziemię i zdawała się czekać na kolejne pytanie.

Nagle Affery krzyknęła, upuściła świecę i kryjąc głowę w fartuch, powtarzała głosem drżącym z przerażenia.

– Słyszycie? Ach, słyszycie! Znowu, znowu!

Panu Dorrit wydało się, iż rzeczywiście usłyszał w tej chwili delikatny szelest jakby spadających liści.

– Ty wariatko! – krzyknął Jeremiaś, grożąc małżonce pięścią, a następnie z powagą zwrócił się do gościa.

– Może panu poświecić na schodach?

Pan Dorrit z ukłonem opuścił komnatę, zszedł na dół, wyszedł za drzwi, które zamknęły się za nim z łoskotem, i tutaj znów minęło go dwóch ludzi, oglądając uważnie.

Toteż rad był, gdy znalazł się wreszcie w powozie i wyjechał z ciemnej, posepnej dzielnicy.

Lecz gdy wysiadł na placu, woźnica mu oznajmił, iż w czasie jego bytności w „tym domu” zanotowali szczegółowo numer powozu, nazwisko stangreta, czas najęcia, drogę, którą przebywali, słowem, nie można wątpić, że w tej chwili znajdują się obaj pod dozorem.

Nic dziwnego, że następstwem takich wrażeń była noc niespokojna i gorączkowe marzenia. Widział siebie w Marshalsea, ponury dom pani Clennam, starą kobietę w fartuchu zarzuconym na głowę i nieszczęsnego Blandois, który jęczał zamurowany gdzieś w ścianie czy w piwnicy.

Na szczęście światło dzienne spłoszyło te mary. Wszak musiał zebrać dzisiaj całą siłę ducha, całe poczucie godności, gdyż oczekiwał go wielki obiad pożegnalny w najbardziej doborowym towarzystwie.

Zapanował nad sobą i zachował wyraz twarzy odpowiedni, wiedząc, że do dna myśli nikt człowiekowi nie sięgnie. Zresztą wrażenia tej wspaniałej uczyt upoiły go wkrótce i zatarły wszystko. Czuł się tu otoczony szacunkiem, przyjaźnią, Fanny tak czarująco grała rolę pani domu, z taką godnością przyjmowała hołdy, iż był rozrzuwiony jej widokiem.

Kiedy odjeżdżał, wielki Merdle chciał go odprowadzić aż na dół. Cała służba była świadkiem pożegnania, toteż wracał zadowolony i upojony swym triumfem.

Wtem w korytarzu, w swym własnym hotelu, spostrzega... kogo? Kogo? Skąd tu zjawił się John Chivery? Czy to mara?

– Młody człowiek – objaśnia portier – chciał koniecznie widzieć się z panem.

Pan Dorrit patrzy prawie nieprzytomnie, lecz przemawia spokojnym głosem:

– Ach... młody człowiek... John... jak mi się zdaje?

– Tak jest, John Chivery – powtarza wzruszony młodzieniec.

– Bardzo pięknie. Możesz iść za mną. Pomówimy na górze.

Kamerydner wprowadził pana Dorrit na schody, zapalono w pokoju świece, służba się oddaliła.

Wtedy ojciec Marshalsea zwrócił się do Johna z twarzą pałającą gniewem.

– Jak pan śmiałeś! – syknął przez zęby. – Jak śmiesz mnie tu nachodzić?

John zbladł jak ściana, nogi zachwiały się pod nim, w oczach odmalowała się trwoga, zdumienie.

– Kto pana upoważnił! – syczał Dorrit stłumionym głosem. – To zuchwalstwo, obraza! Czego tu chcesz, u licha!

– Ja... ja... – jękał się biedny młodzian – ja myślałem, że mogę... panu ofiarować paczkę cy...

– Możesz ją sobie zabrać do stu diabłów. Nie palę.

– Przepraszam... nie wiedziałem... dawniej...

– Milcz! – krzyknął pan Dorrit i rzucił się prawie na gościa, jakby mu chciał te

słowa wtłoczyć z powrotem w gardło.

John cofnął się ku drzwiom, drżący z przerażenia.

– Stój! – zawołał pan Dorrit, widząc, że młodzieniec gotów w tym stanie wybiec na korytarz. – Usiądź, do licha, usiądź!

Gość padł na krzesło przy drzwiach, nie będąc w stanie dłużej utrzymać się na nogach. Pan Dorrit gwałtownie chodził po pokoju.

Chodził długo i coraz wolniej, na koniec stanął w oknie, oparł czoło o chłodną szybę.

Po długiej chwili odwrócił się znowu.

– Po co przyszedłeś, Johnnie?

– Ch... chciałem... chciałem spytać o zdrowie pana i panny Amy... Nie wiedziałem, że pan się tak rozgniewa – szeptał i jękał się biedak drżącym głosem.

Pan Dorrit odwrócił się znowu do okna i znów na zimnej szybie trzymał czoło. Wreszcie wyjął chustkę, otarł załzawione oczy i ukazał twarz bladą, ogromnie zmęczoną.

– Przykro mi, Johnnie, że się tak uniosłem... hm... bardzo przykro – rzekł niepewnym głosem. – Widzisz... pewne wspomnienia nie mogą być miłe... powinieneś to być rozumieć... i nie przychodzić do mnie.

– Teraz to rozumiem – szepnęła John ze łzami w oczach – nie pomyślałem o tym. Bardzo pana przepraszam.

– Daj mi rękę, Johnnie... Dobry z ciebie chłopiec. Daj mi rękę, pocziwy chłopcze.

John podał rękę, lecz na poblądłej twarzy pozostał wyraz przerażenia.

– Siadaj, Johnnie – prosił łaskawie pan Dorrit. – Cóż u was słychać? Ojciec, matka, zdrowi? Interes dobrze idzie? Zawsze pełno? Bywasz tam czasem...

John odpowiadał cicho. Wszyscy zdrowi i zawsze pełno. On zastępuje ojca. Już sobie pójdzie.

– Czekaj, Johnnie. Dajże mi te cygara. Bardzo ci dziękuję. Powinieneś pamiętać, że jestem wam bardzo życzliwy, bardzo życzliwy, ale dzisiaj... lepiej mnie nie odwiedzać... Jeszcze chcę cię prosić... chcę przez ciebie posłać tamtym upominek. Rozdasz wedle uznania, kto potrzebuje najbardziej.

– Z przyjemnością, panie Dorrit... Wielu jest potrzebujących.

Pan Dorrit wyjął książeczkę czekową, lecz ręka mu tak drżała, że z trudem stawił litery. Podał mu wreszcie czek na sto funtów, ucisnął dłoń, dziękował, pożegnał życzliwie.

– Spodziewam się, że nie masz zamiaru opowiadać tutaj, z jakiej racji do mnie przyszedłeś?

– Och! – zawołał John z takim wyrazem godności, że pan Dorrit uspokoił się zupełnie.

Ale się cieszył, że jutro o świcie wyjeżdża. W starej Anglii nie ma dla niego spokoju.

Wschodzące słońce ujrzało go już w drodze do Dover, potem witało w Calais, a następnie przez Paryż, Alpy, wygodnym powozem, pod opieką kamerdynera i służby, dążył do Rzymu najszybciej jak się dało.

Drogi w owych czasach były uciążliwe, często niebezpieczne, pomimo to pan Dorrit zatrzymywał się późno, rzadko odpoczywał dłużej, pozwalał się obdzierać i zmierzał do portu jak okręt skołatany burzą.

W Rzymie oczekiwano go w domu z dnia na dzień, ale służba nie przypuszczała, aby mógł przyjechać w nocy, i dlatego nikt prawie nie wyszedł na jego spotkanie.

Pan Dorrit doznał przykrego uczucia.

– Panny Amy nie ma w domu? – spytał pierwszego lokaja, który zjawił się wreszcie.

– Panienska jest w domu.

Wysiadł bardzo zmęczony i udał się na górę, aby odszukać Amy.

Znalazł ją w jej pokoju, który był jakby rodzajem namiotu, oddzielonego portierami od wielkiego salonu. Siedziała przy kominku, na którym płonął ogień, naprzeciw stryja Fredericka. Tak byli zajęci rozmową, że nie spostrzegli, gdy stanął na progu.

– Stryj naprawdę wygląda dużo lepiej – zapewniała małeńka – patrzę na to z przyjemnością, bo to dowód sił i zdrowia.

– Tobie to zawdzięczam – zapewniał Frederick – chociaż twój ojciec młodziej wygląda ode mnie. On nie poddał się nigdy troskom. A... jesteś!

Ujrzał brata i podniósł się na powitanie. Amy uszczęśliwiona przytuliła się do ojca, w którym walczyła radość, rozrzewnienie i coś w rodzaju nieśmiałej zazdrości, z której nie umiał sobie zdać wyrażnie sprawy.

– Nie liczyliśmy już dziś na twój powrót – mówił Frederick. – Podróż nocą męczy.

– Czuję się zdrow i silny – odparł William Dorrit. – Dziękuję ci, Amy, sam sobie poradzę. Każ tylko podać wina, trochę ciasta.

– Kolacja będzie w tej chwili, ojczulku, już dzwoniłam i podadzą nam natychmiast – mówiła, nie spuszczając z niego oczu, gdyż wydał jej się zmęczony, mizerny, jak gdyby postarzały.

– I cóż tak patrzysz na mnie? – spytał niezadowolony. – Cóż takiego we mnie spostrzegłaś?

– Dawno nie widziałam cię, ojczu, nic więcej.

– Może ci się wydaje, że nie jestem zdrow zupełnie?

– Myślę tylko, że ojciec musi być zmęczony.

– Ani trochę. Czuję się zdrowszy i silniejszy niż przed wyjazdem do Anglii.

Usiadł pomiędzy nimi przed kominkiem i na chwilę się zdrzemnął. Ale trwało to kilka minut. Nagle otworzył oczy, zwrócił się do brata i rzekł stanowczym tonem:

– Kochany Fredericku, radzę ci, idź się położyć.

– Wolałbym zostać z wami przy kolacji.

– A ja cię bardzo proszę, abyś się położył. Musisz być niezdrów dzisiaj.

Widząc, że brat jest rozdrażniony, Frederick wstał z krzesła i powiedział im dobranoc.

Po jego odejściu William zasnął znowu. Córka czuwała nad nim, aby nie spadł z krzesła. Po chwili się przebudził.

– Czy stryj nie chorował w czasie mojej nieobecności? – zapytał.

– Nie, ojczu.

– Bardzo źle wygląda. Ogromnie się zestarzał w ciągu tych paru tygodni. Wielką w nim znalazłem różnicę. Biedak.

Przy kolacji Amy siedziała przy ojcu, jak niegdyś tam, w Marshalsea, i byłoby to dla niej wielką przyjemnością, gdyby nie stan znużenia pana Dorrit. Jadł bardzo mało, zasypiał kilkakrotnie, zawsze na parę minut, budził się jakby przestraszony i rozglądał się po ścianach, żeby zdać sobie sprawę, gdzie właściwie jest. Gdy przychodził do siebie, rozmawiał o bracie i ubolewał nad tym, że się zmienił, że starość odcisnęła na nim swoje piętno.

Zapytał o znajomych, o panią Merdle i dowiedział się od córki, że ta wspaniała dama powraca do Anglii i pojutrze wydaje obiad pożegnalny. Bardzo się troszczyła, czy pan Dorrit wróci, ażeby go pożegnać osobiście.

Z trudnością wszedł schodami do swego pokoju i natychmiast usiadł w wygodnym fotelu. Odesłał służbę, siedział, drzemał, budził się znowu i dopiero o świcie położył się do łóżka.

Nazajutrz był zmęczony – nic dziwnego po tak dalekiej podróży. Posłał jednak do pani Merdle bilecik, dziękując za uprzejme zaproszenie i obiecując stawić się nazajutrz.

Zszedł na obiad, lecz chociaż zapewniał, że czuje się zupełnie dobrze, zasypiał kilka razy i ubolewał ciągle nad widoczną bezsilnością Fredericka. Chciał popłynąć gondolą, czas jednak upływał tak prędko, że odłożył tę rozrywkę na kolejny dzień, sam zaś wcześniej udał się na spoczynek, nie dlatego wcale, że czuł się zmęczony – bynajmniej – lecz chciał wypocząć ze względu na jutro.

Pierwszy raz się zdarzyło, że Amy ubrana czekała, aż pan Dorrit będzie gotów. Ukazał się na koniec i prawie przeraził ją bezbarwną cerą i zamglonymi oczami. Nie chcąc jednak wyrządzić mu przykrości, nie wspomniała, że źle wygląda, i oboje spokojnie wsiedli do gondoli.

Pani Merdle przywitała ich bardzo uprzejmie, pan Dorrit ożywił się nieco w towarzystwie złożonym przeważnie z Anglików. Przy stole zajął miejsce koło pani Merdle, Amy zaś posadzono dość daleko, tak, że ojca widzieć nie mogła.

Po chwili służący oddał jej karteczkę, napisaną przez panią Merdle.

„Proszę Panią do ojca, zdaje się, że chory”.

Amy wstała cichutko, ale jednocześnie pan Dorrit podniósł się także z hałasem, wołając głośno:

– Amy! Amy! Amy!

– Jestem tu, ojcze – szepnęła, obejmując go, maleńka Dorrit, przerażona nie tylko stanem ojca, lecz wrażeniem, jakie sprawiło jego niezwykle zachowanie się.

Wszyscy nagle umilkli, wszystkie spojrzenia zwróciły się na nich.

– Amy, moje dziecko, idź, poszukaj Boba. On najlepszy z dozorców, a mnie tak słabo... tak słabo... Niech przyjdzie Bob sprowadzić mnie ze schodów.

– Chodź ze mną, drogi ojcze – cicho błagała Amy – oprzyj się na mnie, zejdziemy wygodnie.

– Nie, nie... przyprowadź Boba... poszukaj go... poślij po niego!

Obejrzał się dokoła przytomniejszym wzrokiem, a ujrawszy tak liczne zgromadzenie, wyobraził sobie, że jest w kawiarni w Marshalsea.

– Szanowne panie i panowie – zaczął – hm... moim obowiązkiem jest powitać was tutaj, jako ojciec Marshalsea. Trochę nam tutaj... hm... że tak powiem... ciasno, ale można... z czasem przyzwyczać się do tego... a powietrze w ogóle zdrowe... Ta kawiarnia, szanowne panie i panowie, jest naszym klubem, który utrzymujemy

z dobrowolnych składek... hm... daje nam to pewne dogodności. Nie mówię, że w tym nie ma i mojej zasługi... Jako najstarszy tutaj obywatel piastuję pewną godność, uznaną przez wszystkich, którzy też czują się obowiązani zaznaczać mi swoje uznanie... szacunek... hm... przez pewnego rodzaju podarki. Jestem dumny, szanowne panie i panowie, lecz nie wstydzę się tego, ponieważ pieniądź w życiu...

W ciągu tej długiej przemowy Amy nadaremnie usiłowała wyprowadzić ojca. Nie wstydziła się go ani tego, co mówił, lecz była przerażona tym zdarzeniem, zdawała sobie sprawę, że jest ciężko chory. Goście po większej części przeszli do innych pokoi, wzywani przez zgorszoną panią Merdle, pozostało niewielu świadków, oprócz służby.

Udało się na koniec biednej Amy skłonić ojca do wyjścia pod pozorem, że poszukają Boba, pierwszego odźwiernego, który dawno umarł. Z wielkim trudem z pomocą służby sprowadziła go po szerokich schodach, które zdawały mu się stromymi schodami w Marshalsea. Umieszczono go na koniec w karecie, przewieziono do domu, ułożono w łóżku.

Przez kilka dni następnych aż do śmierci nie odzyskał zupełnie przytomności. Nie uskarżał się na nic, nic go nie bolało, lecz zapomniał o wszystkim, prócz życia w Marshalsea. Oprócz Amy i Fredericka nie znosił przy sobie nikogo, wołał niekiedy Boba, rozmawiał z więźniami, interesował się wszystkimi szczegółami więziennego życia, posyłał Amy po wino do kawiarni, kazał jej zastawić kosztowny zegarek, potem pierścionki, spinki... i wino niby za te pieniądze kupione lepiej mu smakowało.

Małeńka Dorrit nie odstępowała go ani na chwilę, nie spała i nie jadła, nie odpoczywała. Jej oczy nie odwracały się od jego twarzy, na której zachodziły coraz nowe zmiany. Znikały z niej z wolna troski, niepokoje, wygładzały się nawet zmarszczki. Głos stawał się słabszy, odzywał się rzadziej – coraz częściej i na dłużej zasypiał, aż przyszedł sen, z którego już się nie obudził.

Rozpacz Fredericka była w pierwszej chwili tak gwałtowna i rozdzierająca, że biedna Amy musiała panować nad sobą, aby ukoić stryja.

– Stryju kochany, zlituj się nade mną, dla mnie oszczędzaj siły – prosiła błagalnie, uspokajając go jak małe dziecko.

Do późnej nocy siedzieli oboje w przyległej komnacie, płacząc, pocieszając się, mówiąc o zmarłym. W końcu znużenie przypomniało Amy, że stryjowi też należy się wypoczynek. Odprowadziła go więc do jego pokoju, widziała, jak się rzucił w ubraniu na łóżko, i sama go przykryła.

Potem udała się wreszcie do siebie i zasnęła mocno, spokojnym snem utrudzenia i młodości.

Dnia tego księżyc w pełni późno wszedł na niebo i jeszcze później zajrzał do komnaty, gdzie zgasło życie, pełne trosk i wzruszeń. Ujrzał tu obok siebie dwie martwe postacie: jedna leżała spokojnie na łóżku, druga klęczała przy niej z załamanymi nad głową rękami, przyciskając raz ostatni martwe usta do zimnej ręki zmarłego.

Frederick nie przeżył Williama.

ROZDZIAŁ VII

ZABIEGI ARTHURA

Od chwili ogłoszenia przez policję zniknięcia pana Blandois Arthur Clennam nie miał minuty spokoju. Wszystkie obawy, wszystkie podejrzenia zbudziły się na nowo w jego sercu, dręczyły niepokojem i pozbawiały spoczynku. Jakkolwiek stosunek z matką nie mógł być serdeczny, mimo najszczerzych chęci z jego strony, była to przecież matka, i pamiętał o tym. Lecz cóż miał począć?

Pośpieszył do niej natychmiast, ofiarując swoje usługi, zapytując, co może zrobić, aby jej pomóc w tej sprawie. Lecz przyjęła go zimno, z kamiennym spokojem, zdawała się być zdziwiona, że się tym interesuje, i oświadczyła, że najlepiej uczyni, nie troszcząc się o jej sprawy. Cóż go to może obchodzić, czy Blandois zniknął. Jej samej jest to zupełnie obojętne.

Zupełnie nie chciała na ten temat rozmawiać. Zrozumiał, że jeżeli kryła tajemnicę, to mu jej nie odsłoni.

A jednak myślał o tym bez ustanku, mimo tysiącznych zajęć, ciężkiej pracy i odpowiedzialności w interesach nieobecnego współnika.

I nagle błysnęła mu słaba niteczka nadziei: wszakże tego człowieka widział z panną Wade. A więc i ona go zna. Może zna jego adres. Miał od niej wziąć jakieś pieniądze, może widziała go później.

Teraz pojawiło się zapytanie, gdzie szukać panny Wade. Był u niej raz w Londynie, ale przekonał się szybko, że w tym mieszkaniu nic już o niej nie wiedzą. Musiał ją najpierw znaleźć.

Nie miał na to czasu, nie widział sposobu i udał się do Pancksa. Motor parowy lubił tego rodzaju zagadki i po jakimś czasie rozwiązał szczęśliwie i tę: panna Wade mieszkała w Calais.

Arthur pojechał tam natychmiast.

Panna Wade nie odznaczała się uprzejmością, a jednak liczył na to, że ją wzruszy i że zdobędzie tak cenne dla niego wskazówki.

Przyjęła go z zimną i zdziwioną twarzą, wyobrażała sobie, że znów chodzi o Tattycoram, więc wyjaśnił od pierwszego słowa, że pragnął ją widzieć w sprawie osobistej, niemającej z Henryką nic wspólnego.

Zażądała, żeby się jasno wytłumaczył. Pokazał jej gazetę i zapytał, czy widziała to ogłoszenie. Na jej twarzy odmalowało się takie zdziwienie, iż nie mógł wątpić, że nie czytała go wcale... Wpatrywała się długo, w końcu dumnie podniosła głowę.

– Nie rozumiem, dlaczego zwraca się pan do mnie.

– Pani zna tego człowieka.

– Słucham?

– Widziałem go obok pani na wybrzeżu tego samego dnia, kiedy był u mojej matki.

Panna Wade milczała chwilę.

– W każdym razie zabraniam panu uważać go za mego znajomego – odezwała się sucho. – Mogłeś mnie pan z nim widzieć, gdyż jest to szpieg, którego opłacałam. Nic o nim więcej nie wiem, nie widziałam go od tego czasu.

– Miała mu pani płacić. Słyszałem urywek rozmowy.

– Dałam mu czek, nim odszedł. Nie można było inaczej.

– Może go wymienił.

– To już do mnie nie należy. Nie był nigdy w moim domu i nic o nim nie wiem. Sądzę, że pańska matka, która widocznie miała z nim bliższe stosunki...

Gorąca krew uderzyła do głowy Arthura.

– Moja matka – przerwał jej żywo – miała z tym człowiekiem stosunki handlowe.

– Wątpię – odparła chłodno i dumnie panna Wade. – Interesów handlowych nie załatwia się o północy.

Arthur milczał, panna Wade uśmiechała się złośliwie. Triumf nad zmieszonym Clennamem dał jej tyle zadowolenia, że prawie złagodniała.

– Sądzę, że nasza rozmowa skończona – przemówiła mniej twardo. – Może pan życzy sobie zobaczyć Henrykę?

Otworzyła drzwi i wezwała Tattycoram.

– Pan Clennam nie przyszedł po ciebie.

– Nie mam do tego prawa. Ale... może panna Henryka wie coś o cudzoziemcu, którego poszukują, nazwiskiem Blandois.

– Nic o nim nie wiem. Czy tamci wszyscy zdrowi? – zapytała mniej pewnym głosem.

– Kto taki?

– Państwo Meagles.

– Zdrowi. Czy istotnie widziano cię kiedyś przy sztachetach w Tuckenheim?

– Henrykę? – zawołała panna Wade wyniośle. – Nie bywa w tamtych stronach.

– Owszem... byłam niedawno... i przechodząc, zajrzałam do ogrodu przez sztachety. Czyż nie wolno mi? Nie było nikogo, okiennice zamknięte...

– Niewdzięczna! – zawołała panna Wade.

– Gdybyś chciała powrócić, przyjmą cię zawsze życzliwie.

– Nigdy nie wrócę. Panna Wade wie o tym tak dobrze jak ja sama. Lecz jeżeli uciekłam tam z niewoli, to i tutaj nie będę niewolnicą.

Arthur rzucił okiem na te dwie kobiety, które mierzyły się dumnymi spojrzzeniami, i zrozumiał, jak bardzo musi im być ciężko razem.

Lecz z wyprawy do Calais wrócił przygnębiony. Nie tylko nic nie zyskał, lecz usłyszał z obcych ust przykre słowa, których sam nie chciał powtórzyć głośno. I czy tylko panna Wade je powtarza? Co się pod nimi kryje?

Siedział przy biurku nad otwartą księgą, w której cyfry czekały jego uważnej myśli, lecz nie był zdolny w tej chwili pracować. Bezmyślnym wzrokiem patrzył na podwórze, gdzie wesoły Altro bawił się i gonił z dziećmi.

Wtem odgrywając jakąś pantomimę, zaczął śpiewać włoską piosenkę. Dzieci śmiały się i klaskały, lecz Arthur zmarszczył czoło. Tę samą piosnkę nucił Blandois w ów pamiętny wieczór.

Nie było w tym naturalnie nic dziwnego, każdy znać może ludową piosnkę.

– Skąd znasz tę piosnkę, Cavaletto? – spytał jednak, wychylając się przez okno.

– Skąd ją znam? Któż jej nie zna? Każde dziecko. Ostatni raz słyszałem ją w Italii, cudny głosik dziewczynki! Cudny! *Altro!*

– Ja z innych ust słyszałem ją niedawno – rzekł Arthur na w pół do siebie i mimowolnie robiąc ruch ustami, jakby chciał wsunąć nos pomiędzy wąsy, dodał półgłosem: – Do stu diabłów, niecierpliwość jest cechą mego charakteru!

Nagle umilkł, spojrzawszy na pobladłą twarz Jana Babtysty.

– Co ci jest, Cavaletto? – spytał zadziwiony.

– Panie... panie... kto śpiewał tę piosnkę? – powtarzał Włoch przerażony.

– Cudzoziemiec, Blandois. Znasz go?

Altro potrząsnął głową, lecz nie odwracał oczu od Arthura.

– Pan słyszał go?... On śpiewał tę piosnkę? – szeptał.

– Jeśli go nie znasz... Czekaj...

Sięgnął po gazetę i głośno odczytał ustęp odnoszący się do Blandois,

z dokładnym rysopisem.

Cavaletto słuchał uważnie, oczy mu błyszczały, na twarzy malowała się trwoga i radość, nagle uderzył dłonią po gazecie, jakby chciał zabić wstrętnego robaka, i szepnął kilkakrotnie:

– To on! To on! To on!

– Więc znasz go? – zapytał Clennam głosem drżącym ze wzruszenia. – To dla mnie bardzo ważne. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o tym człowieku.

Włoch zadrżał i cofnął się o parę kroków, strzepnął ręką o rękę, najwyraźniej walczył ze sobą.

Arthur czekał, badając go bystrym spojrzeniem.

– W Marsylii – szepnął wreszcie – w więzieniu... zabójca...

Arthur zasłonił oczy, jakby uderzony piorunem. Nagle uczuł, że Altro klęczy przy nim, w jego pokoju i błagalnie powtarza:

– Słuchać... słuchać!

I zaczęła się spowiedź. Pod łagodnym wzrokiem Arthura Jan Baptysta opowiadał dzieje swej ostatniej wyprawy z włoską kontrabandą. Schwytany, uwięziony, kilka miesięcy siedział w jednej celi z tym człowiekiem, Rigaud, nazywa się Rigaud. Sam opowiadał mu o swojej sprawie. Uwolnili go z braku dowodów, lecz wypuścili w nocy, aby go lud nie rozszarpał.

– Och, Altro go się boi, bardzo boi! Widział go tu w Londynie.

– Słuchaj, Cavaletto – rzekł Arthur, kładąc mu rękę na ramieniu. – Czy chciałbyś oddać mi wielką przysługę?

– O tak! – zawołał, podnosząc oczy i kładąc rękę na sercu.

– Szukaj tego człowieka. Idź tam, gdzie go widziałeś, pytaj o niego wszędzie. Jakże byłbym ci za to wdzięczny!

Włoch pochwycił rękę Clennama i przycisnął do ust.

– Nie wiem gdzie... nie wiem – mówił. – Ale pójdę... Boję się... ale pójdę. Idę zaraz.

– Nie mów o tym nikomu ani słowa!

– *Altro!* – zawołał Jan Baptysta, wybiegając.

Teraz Arthur nie mógł usiedzieć na miejscu. Więc taki człowiek był w domu jego matki? Przychodził do niej w nocy i drzwi się przed nim otwierały? Cóż za okropne rzeczy muszą się kryć za tym wszystkim!

A może matka nie wie, nie zna tego bandyty? Może narzucił go jakimś podstępem

Flintwinch? O, gdyby Affery chciała z nim mówić otwarcie, ona jedna mogłaby rzucić jakieś światło na tę ciemną zagadkę. Dawniej dla niego zrobiłaby wszystko.

Bądź co bądź, nie mógł tu siedzieć beczynnienie – musi tam iść, uprzedzić, przekonać się, czy nie zaszło coś nowego.

Złożył księgi, załatwił najważniejsze sprawy i z pochyloną głową zapuścił się w labirynt posepnych uliczek, które wiodły do celu bardziej jeszcze ponurego.

Stary Jeremiaś otworzył drzwi domu.

– Co słyhać? – spytał Arthur.

– Nic nowego.

– Pytam o zaginionego cudzoziemca.

– Nie znalazł się i nic nie wiemy.

Miał tak skrzywioną szyję i sterzącą chustkę, tak podobny był w tej chwili do odciętego wisielca, że Arthurowi nagle błysnęła myśl nowa. Matka mogła przecież o niczym nie wiedzieć, jeśli ten człowiek potrzebował się pozbyć Blandois jako niebezpiecznego narzędzia. Był dość chytry, aby się sam z nim załatwić tu na dole, przy wyjściu, bez żadnego świadka, chociaż odpowiedzialność ciąży na całym domu.

– Może pan pójdzie na górę – przerwał milczenie pan Flintwinch, niezadowolony widocznie z baczego spojrzenia Arthura. – Nie rozumiem, co pana to wszystko obchodzi, po co tyle hałasu.

– Jak to może mnie nie obchodzić?! – zawołał Arthur oburzony. – Ogłoszenie policji dotyczące domu mojej matki na rogu każdej ulicy! Czy myślisz, że się skończy na tym? Człowiek zaginął i znaleźć się musi żywy albo...

Jeremiaś już nie słuchał i wchodził ze świecą na schody, z pokoju pani Clennam dochodziły jakieś głosy, zdziwiony Arthur spytał, kto jest u niej.

– Pan Casby z panią Florą – odparł Flintwinch.

Arthur miał ochotę zakląć. Uniemożliwiało to zupełnie jego zamiar jakiejś poufnej rozmowy, zawsze była trudna, może nieprawdopodobna, a tym bardziej w pokoju, gdzie przyjmowano gości.

Powitania, radosne wykrzykniki Flory, resztki skończonej uczyty, za które dziękował, i to kamienne i zimne oblicze, które jakby pytało, po co przyszedł.

Ponieważ pani Clennam nie wychodziła z pokoju, więc ukształtował się zwyczaj, że jeśli ktoś chciał z nią mówić na osobności, odsuwał ją z fotelem do biurka w ten sposób, że do obecnych była zwrócona plecami. Arthur musiał poprzestać na tym odosobnieniu i prosił matkę o chwilę rozmowy na boku.

Gadatliwa Flora mówiła tymczasem dużo, głośno, wesoło, pani Clennam milczała, patrząc zimnym wzrokiem.

– Dowiedziałem się dzisiaj niektórych szczegółów o przeszłości tego człowieka – rzekł Arthur – i dlatego przyszedłem.

– Cóż mnie to może obchodzić? – odparła pani Clennam. – Nie znam jego przeszłości i znać jej nie potrzebuję.

– Jednak to rzeczy ważne i z pewnego źródła.

– Więc mów – odparła, lekko wzruszając ramionami.

– W Marsylii był w więzieniu, sądzony jako zabójca.

Pani Clennam pobladała i milczała chwilę, w jej nieruchomych oczach malowało się przerażenie, lecz wkrótce zapanowała nad sobą.

– Nie dziwi mnie to wcale – rzekła sucho – ale skąd masz te wieści?

– Od więźnia, który z nim siedział.

– Znałeś tego człowieka dawniej?

– Nie, ale...

– Więc jesteśmy w tym samym położeniu – przerwała sucho pani Clennam – nasze stosunki mają równą wartość, tylko że twego znajomego nie polecił ci prawdopodobnie handlowy dom z Paryża. Na tej zasadzie mogę ci dać jedną radę: nie sądz zbyt pośpiesznie ludzi i rzeczy, których nie poznałeś dostatecznie.

Umilkła i patrzyła na niego surowo.

– Więc nie mogę ci być pożyteczny, matko? – przemówił z bólem Arthur.

– Nie.

– Nie chcesz być ze mną szczerą, nie masz do mnie zaufania...

– Milcz! – zawołała pani Clennam z oburzeniem. – Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? Sam porzuciłeś mnie i mój interes, sam oddałeś mnie Flintwinchowi, on zajmuje dziś twoje miejsce.

Arthur obejrzał się mimo woli i zauważył, że Jeremiaś, stojąc dość blisko, z natężoną uwagą stara się łowić wyrazy tej poufnej rozmowy.

– Więcej nic nie masz mi do powiedzenia...?

– Nic, matko.

– W takim razie możemy podzielić się z gośćmi tą interesującą rozmową.

Chciała odwrócić fotel, lecz Arthur ją powstrzymał.

– Matko – rzekł – moim zdaniem tego nie można powtarzać, tego lepiej nie mówić wszystkim, proszę cię o to, matko.

Pani Clennam spojrzała na niego uważnie.

– Żądasz tajemnicy? – spytała z ironią. – Pamiętaj, że ty wniosłeś ją do tego domu. Tak samo jak podejrzenia i badanie. Twoja odpowiedzialność.

Przesunął się z fotelem do stolika i nie słysząc, co mówią koło niego, myślał, w jaki sposób spełnić drugi zamiar, wzruszyć Affery i skłonić ją do otwartości. Nie sprzyjały mu dziś warunki.

Flora bezustannie mówiła do niego, więc błysnął mu nowy pomysł i zapytał cicho, czy nie byłaby ciekawa obejrzeć starego domu.

Natychmiast wyskoczyła z tym projektem, po prostu trudno jej było odmówić, Arthur – rzecz naturalna – będzie przewodnikiem, a Affery im poświęci.

Lecz usłużny Jeremiaś przyłączył się do towarzystwa. Arthur zrozumiał manewr. Nie pozbędzie się go.

Zeszli na dół, oglądając stare i ciemne komnaty, które im nasuwały wspomnienie dzieciństwa, bardzo miłe i zajmujące dla Flory. Arthur skorzystał z chwili, gdy Jeremiaś oświetlał jakąś ścianę i nachylił się do Affery.

– Chciałbym bardzo pomówić z tobą – szepnął cicho.

Lecz w odpowiedzi Affery wydała krzyk trwogi i nakryła głowę fartuchem, gdyż właśnie w tym momencie na dole rozległo się mocne uderzenie kołatką, a w ścianie najwyraźniej lekki szelest, jakby kto rzucił piaskiem.

– Już ja się porachuję z tobą za te strachy! – krzyknął Flintwinch ze złością. – Dam ci taką naukę, że popamiętasz do śmierci.

– Tymczasem jednak trzeba drzwi otworzyć – chłodno zauważył Arthur.

Flintwinch rzucił na niego tak wściekłe spojrzenie, iż nie można było się mylić co do uczuć, z jakimi zostawiał ich z żoną.

Zaledwie się oddalił, Arthur zwrócił się do Flory.

– Błagam cię, pozwól mi pomówić na stronie z Flintwinchową.

I posadził ją na krześle, a sam zbliżył się do Affery.

– Affery – szepnął półgłosem – zlituj się, powiedz prawdę, co się w tym domu dzieje?

– Nie wiem... nie wiem... boję się... on zabije!

– Słyszysz go przecież, że rozmawia przy drzwiach. Możemy być spokojni, nim je zamknie.

– Ściany słyszą – szeptała stara – tu coś chodzi... kroki, westchnienia, szum... Boże mój, Boże!

– Ale oprócz tych strachów. Ja tego nie słyszę. Affery, przypomnij sobie, jak mnie kochałaś. Byłaś dla mnie jak matka! Affery, ja cię tak kochałem... W dziecinnych troskach tyś mnie jedna pocieszała, dziś ty jedna możesz mi pomóc. Czyż nie ma żadnych już uczuć w twoim sercu?

– Czego chcesz ode mnie, Arthurze?

– Chcę wiedzieć wszystko o tym człowieku, Blandois.

– On był tylko dwa razy. Pierwszy raz oglądał dom. Jeremiaś go oprowadzał.

Jeremiaś wraca!

– Nie, widzę go stąd we drzwiach uchylonych.

– A drugi raz... wtedy... Gdy wyszedłeś, Jeremiaś zamknął drzwi za tobą, a potem wziął mnie za kark tak, że o mało się nie udusiłam, popchnął do sypialni i kazał się rozebrać, położyć do łóżka, potem drzwi zamknął i...

– I cóż dalej?

– A cóż, kiedy byłam w łóżku... Nie, Arthurze, nic już nie powiem, nie mogę. Nie jesteśmy sami. Ja żyję we śnie, sny mnie otaczają. Weź w garść tych dwóch mądrali, jak ci już raz mówiłam, wtedy może coś powiem. Nie dzisiaj, już idzie!

Stuknięcie drzwi dało się słyszeć na dole, w tej chwili Arthur zdmuchnął świecę.

– Idę naprzeciw Jeremiaha – szepnął, biorąc z jej ręki świecznik – a ty Affery, pamiętaj, żądam od ciebie pomocy jak dziecko, które dawniej kochałaś. Przemów, a ja cię wezmę pod swoją opiekę.

Spotkał Jeremiaha na połowie schodów i oświadczył, że niechcący zgasił świecę. Flintwinch trząsł się ze złości i pchnął żonę tak mocno, że zatoczyła się z krzykiem na ścianę, a potem szedł w milczeniu, niby dozorca więzienny.

ROZDZIAŁ VIII

KATASTROFA

Państwo Sparkler zajmowali już własne mieszkanie. Urządzeniem zajęła się Fanny tak gorliwie, że było gotowe we wszystkich szczegółach, zanim pani Merdle wróciła do Londynu. Rozumie się, że panował tu komfort i zbytek, że młoda pani w niczym ustąpić nie chciała kosztownym wzorom, jakich jej dostarczył wspaniały pałac Merdle'ów.

Wiść o śmierci ojca zaskoczyła ją nagle pośród światowych rozrywek i zabaw, pogrążyła się na czas pewien w szczerym smutku i zmusiła do zajęcia się żałobnym strojem, od którego wymagała bardzo wiele.

Żałoba odsunęła ją od świata, skazała na nudy w domowym zaciszu, w towarzystwie męża, który całą miłością swoją nie umiał jej skracać godzin osamotnienia.

Nudne i smutne było letnie popołudnie. Dzień gorący i duszny, brak powietrza. Fanny, leżąc na sofie, zasypywała męża wyrzutami za upał, nudy, źle zastosowane wyrazy, Edmund znosił zły humor małżonki cierpliwie, posłusznie wypełniając drobne jej rozkazy.

– Otwórz balkon... usiądź, nie kręć się po pokoju... podnieś żaluzje... podaj mi wachlarz... nie ruszaj się z miejsca.

Rozmawiali o Amy i Edwardzie, którzy lada dzień mogli zjawić się w Londynie. Amy byłaby przyjechała wcześniej, ale musiała czekać na Edwarda, który kończył jakąś kurację na Sycylii. W każdym razie jej pokój był przygotowany i Edmund szczerze jak dziecko cieszył się nadzieją jej obecności w domu.

Fanny jednakże wyraziła zdanie, że dla Amy muszą koniecznie stworzyć kółko towarzyskie, nie czekając końca żałoby, gdyż inaczej piękne przymioty jej siostry nigdy nie rozwiną się na właściwym polu.

W tej chwili na dole ktoś zastukał do drzwi. Uderzenie było tak silne i dziwne, że Fanny drgnęła, Edmund zaś bez rozkazu poskoczył na balkon, aby spojrzeć z góry, co za gość w taki sposób bytność swoją zapowiada.

– Zdaje mi się, że ojczym – rzekł, składając raport.

Rzeczywiście po chwili pan Merdle wszedł do pokoju.

– Światła! – zawołała Fanny, usprawiedliwiając się jednocześnie przed gościem, że przyjmuje go po ciemku.

– Dla mnie dość jasno – odpowiedział bankier.

Wniesiono jednak światło, pasierb przysunął mu fotel.

– Chciałem was odwiedzić, przechodząc – rzekł Merdle. – Wyszedłem na przechadzkę... tyle pracy...

– Ojciec był u kogoś na obiedzie? – spytał Edmund, widząc ojczyma we fraku.

– Nie... zdaje się... nie byłem nigdzie na obiedzie... matka pojechała sama... wołałem się przejść...

– Jeśli ojciec nie jadł obiadu – zauważyła Fanny – to może podać szklankę kawy lub herbaty?

– Nie... nie... coś jadłem... tak... wstąpiłem do klubu na kieliszek wina – mówił, jak gdyby przypominał sobie te szczegóły. – Chciałem was odwiedzić – powtórzył.

– Bardzo nam przyjemnie... gość tak rzadki – mówiła Fanny. – Rozmawialiśmy z Edmundem o śmierci mego ojca.

– Dziwny zbieg okoliczności – zauważył bankier.

Fanny nie rozumiała, co to znaczy.

– Chciałem was odwiedzić – jeszcze raz powtórzył bankier – przechodziłem tędy... nie będę zabierał wam czasu... Ale... może mi pożyczycie... scyzoryka.

– O – zawołała Fanny – pan Merdle pożycza ode mnie! – roześmiała się i kazała Edmundowi podać sobie perłową neserkę.

– Wołałbym inny... w ciemniejszej oprawie – mówił, oglądając go, pan Merdle.

– Więc szylkretowy. Podaj, Edmundzie, to ciemne pudzeczko. Przebaczam, jeśli będzie splamiony atramentem.

– Postaram się, żeby nie był poplamiony – odpowiedział z dziwnym uśmiechem.

Pożegnanie banalne, wizyta skończona. Fanny westchnęła głęboko. Prawda, że Edmund nie był zajmujący, ale ten wielki bankier...

A jednak inni ludzie muszą w nim coś widzieć, każdy mu ufa, powierza majątek, mówią, że ma otrzymać tytuł.

O tym toczyła się właśnie rozmowa na proszonym obiedzie u doktora, który pani Merdle raczyła zaszczyścić swą obecnością. Słodkie i pełne nadziei półśłówka tak mile pieściły jej ucho.

Towarzystwo, które dziś stanowiła tak zwana inteligencja mieszczańska, było dość jednolite, zespólone, i obiad przeciągnął się długo. Pozostawszy wreszcie sam,

znakomity doktor usiadł w otwartym oknie z książką w ręku. Lubił czytać i miał piękną bibliotekę, starannie uzupełnianą podług gustu.

Było późno, koło północy, służba spała, kiedy usłyszał silne stukanie na dole. Sam zszedł ze świecą i otworzył. Ujrzał przed sobą człowieka bez tużurka i kapelusza, z rękawami koszuli zawiniętymi po łokcie. Twarz jego wyrażała gwałtowne wzruszenie, a był tak zdyszany, że nie mógł przemówić, i w milczeniu podawał mu jakąś karteczkę.

– Jestem... kąpielowy... – wyjąkał wreszcie głosem urywanym – niedaleko... może pan będzie łaskaw ze mną... to znaleźliśmy na stole.

Doktor przeczytał swoje nazwisko i adres, zmarszczył czoło i zmrużył oczy, wpatrując się w litery nabazgrane ołówkiem. W milczeniu zdjął z wieszaka palto i kapelusz, zamknął drzwi na klucz i pośpiesznie wyszedł.

W zakładzie kąpielowym zastał całą służbę, czekającą na niego w korytarzu, na twarzach był niepokój i wzburzenie.

– Niech się wszyscy oddalą, a ty mnie zabierz, gdzie trzeba – rzekł doktor do człowieka, który go przyprowadził.

W końcu korytarza kąpielowy jakby z wahaniem cicho otworzył drzwi i cofnął się natychmiast, ustępując miejsca doktorowi.

Ten wszedł.

W kącie pokoju stała wanna marmurowa bez wody, w niej jak w trumnie leżał człowiek nakryty prześcieradłem. Na dnie wanny była krew skrzepła i ciemna, obok na stoliku pusta buteleczka i mały scyzoryk w szylkretowej oprawie – zaplamiony.

– Przecięcie żyły... śmierć szybka... co najmniej przed pół godziną.

Rozejrzał się dokoła. Na kanapie leżało ubranie samobójcy, na stole zegarek i notatnik. Z notatnika wyglądała zapisana kartka, złożona w formie listu.

– Do mnie adresowana – rzekł doktor i otworzył bilecik.

Dnia następnego Londyn zbudziła wieść przerażająca, że bankier Merdle, największy z oszustów, odebrał sobie życie.

ROZDZIAŁ IX

W STAREJ KLATCE

Pośpieszne kroki i głośnie sapanie poprzedziły wejście Pancksa do kantoru, gdzie spodziewał się zastać Clennama.

Ale na progu zatrzymał się nagle. Jakże wyglądał dzisiaj ten przybytek porządku, spokoju i systematyczności! Na stole listy nierozpieczętowane, porzrzucone w nieładzie papiery, a pośród tego Clennam nieruchomy, z głową na rękę, oparty na stole.

Pancks długo nie był zdolny poruszyć się z miejsca, wreszcie ruchliwy jego temperament zwyciężył skamieniałość.

– To ja namówiłem pana, panie Clennam! – wybuchnął. – Moja wina, wiem o tym. Ukarz mnie pan, jak zechcesz. Chciałbym, żebyś ukarał mnie surowo.

– O Pancks, Pancks! – westchnął Clennam. – Tyś zawinił, ale jakże ja zawiniłem! Zrujnowałem Doyce’a, zrujnowałem Doyce’a! Tego najzaciejszego człowieka. Zrujnowałem go, chociaż mnie ostrzegał! Zrujnowałem go, bo mi ufał! Zrujnowałem cały dorobek jego życia! Czymże jestem?

Na te słowa Pancks zgrzytnął zębami i zanurzył dłonie w swoich czarnych włosach, które z widoczną ulgą wyrwał garściami.

– Jestem łotr! Jestem zbrodniarz! Jestem osioł! – powtarzał. – Wariat! Podlec! Niedołęga!

– O, Pancks! – jęknął znów Clennam. – Gdybyś się był nie zaraził tą gorączką, lepiej byłoby dla ciebie... i dla mnie!

– Lepiej – potwierdził Pancks. – Biegam od wczoraj rana, ale nic nie pomoże, wszystko stracone, wszystko!

– A właśnie wczoraj miałem sprzedać akcje – westchnął znów Clennam – przyszedłem do rozumu, pragnąłem się wycofać ze spekulacji... właśnie wczoraj!

– A ja nie wątpiłem do ostatniej chwili, stary osioł! – narzekał Pancks skruszony.

Arthur podniósł się i wyprostował.

– Nie mam czasu do stracenia – rzekł poważnie – muszę zrobić, co w mojej mocy, aby ocalić dobre imię Doyce’a. Sam zawiniłem, sam jestem odpowiedzialny za wszystko. Jestem niewyplącalnym dłużnikiem Doyce’a i wszystkich jego

wierzyteli. Niech mną rozporządzają.

– Czy pan wie, co to znaczy? – zawołał Pancks, odstępując od niego z przerażeniem.

– Może więzienie – rzekł Clennam ponuro – lecz zasłużyłem na to.

– W każdym razie powinieneś pan wezwać prawnika, to pański obowiązek w interesie Doyce’a. Przyślę panu Rugga.

Arthur skinął głową na znak, że uznaje słuszność tej rady, i Pancks pomknął niezwłocznie, aby wprowadzić ją w czyn. Clennam zajął się porządkiem w kantorze i napisaniem listu, który chciał ogłosić w pismach, wyznając swoją winę.

Szybkie przybycie Rugga było bardzo pożyteczne, gdyż Arthur stracił głowę. Wprawdzie pan Rugg miał inny pogląd na tę sprawę i chciał uważać za swój obowiązek ratowanie swego klienta, ale pod tym względem spotkał się z wolą stanowczą. Klientem ma być Doyce i jego interes, jego opinia i ocalenie warsztatu. Clennam chce pokutować.

Nie oczekiwał długo na spełnienie tego życzenia. Nazajutrz rano pierwszy z wierzyteli zażądał aresztowania i uwięzienia Arthura.

Ojciec i syn Chivery znajdowali się na stanowisku, gdy Arthur Clennam zjawił się w Marshalsea jako więzień.

Stary odźwierny był zdumiony i wzruszony, uściskał Arthurowi rękę i wyznał, że nie wita go z radością. John skurczył się i zniknął.

Arthur według obowiązujących przepisów w izdebce odźwiernego czekał na załatwienie formalności. Nie mając chęci mówić, wyjął z kieszeni gazetę i udawał, że czyta, póki nie zjawił się John z zawiadomieniem, że może iść do siebie.

Zszedł z nim na podwórze. John wzdychał głęboko, lecz prowadził go na znane schody, do mieszkania, które Clennam dobrze pamiętał.

– Myślałem... że tu panu będzie lepiej – odezwał się ponuro. – Nie podam panu ręki... ale przygotowałem dla pana ten pokój. Czy pan zadowolony?

– Dziękuję ci, Johnie – rzekł Clennam roztargniony, wodząc zdumionym okiem po ścianach i sprzętach, które zdawały się wołać jednym głosem: „Maleńka Dorrit!”.

Usiadł na krześle i pogrążył się w chaosie myśli, wspomnień, trosk i bólu. Ogarniała go dziwna niemoc, znieczulenie, zdawało mu się, że zapada w sen jakiś, który obezwładnia go zupełnie.

A jednak w szarym mroku, który go otaczał, świeciło drobne, lecz miłe światelko: Maleńka Dorrit.

Nigdy dotąd nie zdawał sobie jasno sprawy, jaki wpływ na jego życie miało to drobne dziewczę. Teraz widział, iż była dla niego przykładem. Zbudziła w nim nowe, najlepsze uczucia. Kto czynem, nie słowami, uczył zapomnienia o sobie, pracy dla innych, miłości wytrwałej i bezinteresownej, walki cichej i mężnej z drobnymi, lecz ciągłymi przeszkodami? Gdy myślał o jej pracy, zniszczonym obuwiu, lichej sukience, niedojedzonych obiadach, które przynosiła do domu, gdy przypominał sobie, jak gorąco musiała bronić słabości ojca – czuł się sam mały, słaby, niegodny przyjaźni tej szlachetnej istoty.

A jednak tej przyjaźni nie myślał się wyrzec, ona była mu dzisiaj jedyną gwiazdeczką rozjaśniającą ponure ciemności.

Do pokoju wszedł odźwierny Chivery.

– Czy pan niczego nie potrzebuje? Wychodzę na miasto. Przepraszam, że wszedłem, lecz nie mogłem się dostukać, myślałem, że pan słaby.

– Stukaliście? – spytał Arthur zadziwiony.

– Kilka razy. Przyniesiono pańskie rzeczy. John zaraz je przyniesie. Chciałem też prosić pana, żeby nie zwracał pan uwagi, jeśli John będzie dziwaczył. To bardzo dobry chłopiec i bardzo szlachetny, tylko... tylko... ma serce.

Skinął głową i wyszedł. Clennam nic nie rozumiał, co też miał na myśli. John przyniósł jego walizkę z rzeczami, skrzynkę z papierami, umieścił wszystko na właściwym miejscu.

– Dziękuję, panie Johnie – rzekł Clennam uprzejmie – może pozwolisz teraz podać sobie rękę.

John spojrział na niego i zachmurzył czoło.

– Nie... nie... – rzekł – nie mogę... Nie mogę podać panu ręki.

– Co to znaczy, Johnie? Nie wiem, o co ci chodzi. Jakieś nieporozumienie.

– Nie ma żadnego nieporozumienia. Ja wiem, o co mi chodzi, i gdyby to było możliwe, wyzwiałbym pana do walki na pięści. Ale... ha... przepraszam!

I wybiegł z pokoju.

Arthur usiadł na krześle i pogrążył się znowu w myślach.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, gdy usłyszał pukanie i ujrzał na progu Johna.

– Przyszedłem – rzekł – bo... czy pan nic jeść nie będzie?

– Nie mam apetytu, Johnie.

– Tak nie można... doprawdy... Nie można cały dzień siedzieć na krześle i nic nie jeść. Ośmieliłbym się zaprosić pana do siebie na herbatę, ale jeśli nie łaska, to

przyniosę.

Arthur chciał mu okazać, że jest wdzięczny za pamięć, domyślał się, że odmowa sprawiłaby przykrość młodzieńcowi, i zgodził się iść do niego na herbatę.

John mieszkał w małej izdebce na strychu, którą Clennam znał także i pamiętał, gdyż tu znalazł zemdloną Amy w dniu wyjazdu, kiedy rodzina Dorrit opuszczała Marshalsea.

Izdebka była świeżo wyklejona i miała lepsze sprzęty, lecz Arthur, stojąc w progu, widział żywo obraz, jaki wtedy miał przed oczami.

John gryzł paznokcie i patrzył na niego spod oka.

– Pan pamięta ten pokój? – spytał wreszcie.

– O, tak! Drogie dziecko! Kochana, maleńka Dorrit.

John zbłądł i zadrzał, zasłonił twarz rękami i gwałtownie wybiegł z pokoju.

Arthur z rozrzewnieniem patrzył na lichą izdebkę, w której płynęło życie cichej bohaterki, widział ją przy tym oknie, które pozwalało sięgnąć wzrokiem za mur więzienny, tu siedziała, myślała, pracowała zawsze dla innych, zawsze dla kochanych.

John zjawił się na koniec, przyniósł chleb, masło, wędlinę, sałatę, nakrył stół, poukładał te specjały na talerzach i listkach kapusty, nalał herbatę i zaprosił gościa do stołu.

Ale Arthur jeść nie mógł. Nie mógł przełknąć chleba, który rozsypywał mu się w ustach niby piasek, czuł wstręt do mięsa. Pił tylko herbatę, żeby gospodarzowi nie robić przykrości.

John zapraszał, w końcu sam stracił apetyt.

– Powinienem był zanieść panu tam posiłek – odezwał się po chwili – tu... wobec tych ścian, świadków jej miłości... nie, niepodobna!

Arthur otworzył oczy, patrząc ze zdziwieniem na wzburzoną twarz Johna, wreszcie spytał cicho:

– Czyjej miłości?

John oblał się rumieńcem, a jego większe oko cisnęło błyskawicę gniewu.

– Czyjej? – powtórzył. – O, nie przypuszczałem, że... pan chce... tak udawać!

– Słowo ci daję, Johnie, że nic nie rozumiem. Miłości maleńkiej Dorrit? Mówiłem o tym z twoją matką... wiesz zapewne... pytałem także maleńkiej... o ile mogłem delikatnie... gdyby się przyznała... pragnąłem bardzo szczerze pomóc waszemu szczęściu... Jednak... zdaje mi się...

Teraz John miał szeroko otwarte źrenice, a wyraz jego twarzy takie wyrażał zdumienie, że Clennam umilkł nagle.

John zbudził się jak ze snu.

– Och... ona! – jęknął. – Ona nie mogła mnie kochać... Za nisko jestem dla niej! Ona... Dlaczego pan to wszystko mówi? Dlaczego pan udaje? – powtórzył znów z gniewem. – Pan wie dobrze, że oddała serce panu!

Arthur cofnął się, jak gdyby te słowa były dla niego uderzeniem pięści, patrzył na Johna prawie nieprzytomny, jego usta poruszyły się dwukrotnie, niezdolne wydać głosu.

– Mnie? – wyszeptał na koniec. – Chyba mylisz się, Johnie?

– Ja się mylę! – zawołał młodzieniec ze zgrozą. – Ja, co cierpiałem tyle, jakby strzały tysiąca dzikich ludzi przeszły moje serce!... Ja, co bym skonał dawno, a może targnął się na własne życie, gdyby matka mogła beze mnie poradzić sobie z tym sklepikiem... gdyby ojciec nie liczył na to, że go zastąpić mogę! Nie, panie Clennam, takich rzeczy się nie mówi!

Wyjął z kieszeni chustkę i otarł zapłakane oczy. Arthur podniósł się z miejsca.

– Szanuję twoje szlachetne uczucia, panie Johnie – rzekł z powagą – jesteś zacnym młodzieńcem, bezinteresownym, daruj mi jednak, że cię pożegnaw w tej chwili. Czuję się tak zmęczony. Kiedyś pomówimy o tym... teraz potrzebuję odpocząć.

Wolnym krokiem wyszedł z pokoju, zszedł ze schodów, minął podwórze i na koniec zamknął się w swoim pokoju.

Ach, jakże potrzebował samotności! Czuł chaos w głowie, zupełną niezdolność myślenia. Małeńka Dorrit – jej miłość – czy to może być prawda? – małeńka Dorrit.

Siedział na krześle, nie śpiąc, lecz nie wiedząc, co się wkoło niego dzieje. Teraz w głębi duszy, może nieświadomie płynął wzburzony potok wszystkich uczuć, lecz on nie zdawał sobie z tego sprawy. Upływały godziny, on nie zmieniał miejsca, zastał go w tej samej pozycji wieczór, gdy zjawili się Plornishowie.

Oboje byli ogromnie zmartwieni, Plornishowa płakała, mularz w zmienności losu wskazywał pociechę. Przynieśli mu cały koszt zapasów żywności, obiecywali odwiedzać go często, mówili o zmartwieniu wszystkich znajomych z Rozdartego Serca. Tylko Cavaletto nic o tym jeszcze nie wie, bo dotąd nie był w domu. Rzadkim teraz jest gościem.

– Całe szczęście, że panienska Dorrit o tym nie wie i nie dowie się nigdy – zapewniła go wreszcie Plornishowa. – To byłoby dla niej za wiele.

– O, tak – powtórzył za nią Plornish, westchnąwszy z silnym przekonaniem.

Arthur pożegnał wreszcie dobrych ludzi i pośpiesznie położył się do łóżka, aby uniknąć jakichkolwiek już odwiedzin. Leżał bezsenny i rozgorączkowany, a gdzieś w górze, w czarnej przestrzeni, świeciła nad nim maleńka gwiazdeczka, o której wiedział tylko, że nazywa się maleńka Dorrit.

To światełko było dla niego kotwicą, latarnią wśród odmętów burzy morskiej dla skołatanego okrętu. Nic nie chciał i nie pragnął, lecz dobrze, że była.

W izdebce maleńkiej Dorrit John spał snem spokojnym. Na stole leżał arkusz pięknego papieru, a na nim tekst na ostatni nagrobek:

*Tu spoczywa w spokoju
JOHN CHIVERY,
umarł w sędziwych latach po wielkim zwycięstwie nad sobą.
Spotkał swojego rywala w nieszczęściu i zamiast go wyzwąć
na pięści, okazał się – wspaniałomyślnym.*

ROZDZIAŁ X

ODSZUKANY

Towarzysze niedoli nie powzięli dla Clennama życzliwości, nie potrafił zyskać tu dobrej opinii. Nazwano go dumnym, gdyż unikał towarzystwa, szukał samotności w czterech ścianach swego pokoju, nie bywał na zebraniach w więziennej kawiarni i stawał się posępny, milczący, leniwy, ulegając wpływow zamknięcia.

Od czasu uwięzienia upłynęło już prawie dwa i pół miesiąca, a w życiu jego nic się nie zmieniło, i sprawy, przez pana Rugga prowadzone, nie obiecywały pomyślnego rezultatu. Gorliwy prawnik wraz z Pancksem robili, co było w ludzkiej mocy, aby ocalić Doyce'a. Rugg nalegał usilnie, aby Clennam przynajmniej pozwolił się przenieść do królewskiego więzienia za długi, gdzie warunki bez porównania były lepsze, lecz Arthur z uporem odmawiał, choć zdrowie jego cierpiało widocznie i budziło obawy życzliwych mu ludzi.

Pewnego dnia usłyszał obce kroki na schodach i nieznane stukanie do drzwi. Arthur obojętnie odezwał się:

– Proszę!

W tej samej chwili drzwi otwarły się z hałasem i na progu z zuchwałą miną ukazał się Blandois.

– *Salve!* – zawołał. – Życzyłeś pan sobie podobno mnie widzieć... i otóż jestem!

Clennam nie zdołał jeszcze zebrać myśli, kiedy weszli za przybyłym Pancks i Cavaletto. Obydwaj po raz pierwszy byli tu u Arthura. Pancks sapał, chrapał, świstał, zdradzając tymi głosami wzruszenie, Jan Baptysta usiadł na ziemi przy progu i nie spuszczał z oka pana Blandois.

– *Altro*, jest – rzekł z uśmiechem głębokiego zadowolenia, zwracając się na chwilę do Arthura – znalazłem! Znalazłem, choć się schował jak ten kret pod ziemię. Ale znalazłem, *altro!* Rozpytywałem Włochów, Francuzów i Niemców... nikt, nikt go nie znał. Usłyszałem wreszcie, że w jednym domu ukrywa się siwy jegomość. Siwy jegomość! No, i dopilnowaliśmy go razem z panem Pancksem. To on... i musiał przyjść.

– Tych dwóch wariatów doprowadziło do tego – rzekł pogardliwie Blandois – ale kto na tym skorzysta, pytanie.

– Złowieszczy ptaku – wyrzekł Arthur z oburzeniem – więc rozmyślnie chciałeś na dom mojej matki rzucić podejrzenie? I po co? Dlaczego? Skąd ci przyszła do głowy taka nikczemna komedia?

– Ciekawość! ha, ha, ha! Radzę ci... ostrożnie, panie Arthurze Clennam, żebyś gwałtownością nie skompromitował swej szanownej mamy.

– Milcz, oszczerco i podły tchórz! – krzyknął Arthur. – Nie wyobrażaj sobie, że nie mam dość siły, aby zrzucić cię ze schodów. Rozkazuję ci mówić, czego chcesz od mojej matki, w jakim celu wymyśliłeś ten ohydny podstęp.

Blandois zbladł i stracił wyzywającą zuchwałość, lecz po chwili pogłaskał wąsa i przemówił spokojniej, siadając bez zaproszenia na krzesło.

– Jestem szlachcicem, mój panie, i basta. Zawsze nim pozostanę, bez względu na grubiaństwo ludzkie. A teraz do stu katów, jeśli chcesz wiedzieć prawdę, postaw butelkę wina. Inaczej nie usłyszysz ani słowa.

Arthur ze wzdrgnięciem rzucił pieniądze na stół i spojrzał na Cavaletta, lecz ten potrząsnął głową, widać było, że nie odstąpi zwierzyny, którą z takim trudem wytropił. Więc Pancks zbiegł ze schodów, aby spełnić polecenie.

Dzięki miejscowej kawiarni butelka szybko znalazła się na stole.

– Ha, ha, ha! – śmiał się Blandois – dużą szklanekę! Szlachcic rodzi się na to, aby mu usługiwano. – I przesunął po wąsach białą ręką. – Otwartość zawsze była cechą mego charakteru – zaczął, napełniając drugą szklanekę. – Dlaczego nie mam mówić? Użyłem podstępu? Prawda, dobry sposób, choć popsuleś go nieco, mój ciekawy panie. O co chodzi? Mam piękny towar do sprzedania, cenny, ciekawy towar. Powiedziałem o nim pańskiej szanownej mamie i nałożyłem cenę. Ale szanowna mama była w targu trochę uparta, słowem, poróżniliśmy się. Więc dla różnorodności postanowiłem... zniknąć. Zabawna myśl, nieprawdaż? Musieli się cieszyć i szanowna mama, i mój stary przyjaciel, Flintwinch!

– Do rzeczy, panie Rigaud – przerwał surowo Clennam.

Blandois zadrżał i rzucił nań spojrzenie, w którym walczyły z sobą strach i wściekłość. Lecz wychylił znów szklanekę wina i roześmiał się głośno.

– Ha, ha, ha! Pyszny koncept. Jeszcze trochę i byłbym się na pewno doczekał ogłoszenia, że wiadoma osoba może przyjść w wiadomej sprawie, gdyż jej warunki zostały przyjęte. Ale to już diabli wzięli. Ja sobie poradzę, ale czego pan więcej chcesz ode mnie?

Arthur uczuł w tej chwili cały ciężar murów więziennych, krępujących jego swobodę. Powinien był działać, a miał związane ręce.

– Jeszcze uprzedzam pana, panie filozofie, że byłoby lepiej dla ciebie nie mieszać się zupełnie do tej sprawy – dodał złośliwie Rigaud, mrużąc oczy i kryjąc nos pomiędzy wąsy.

– Jedno jest wyjaśnione – odezwał się Arthur – że pan żyjesz. To rzecz najważniejsza. Są świadkowie, którzy zaprowadzą pana do pierwszego policjanta i zagadka zniknięcia będzie wyjaśniona.

– Nikt mnie nie zaprowadzi do żadnego policjanta! – zawołał z oburzeniem Rigaud. – Niech was diabli wezmą z waszymi świadkami, bez nich przedstawię się, komu potrzeba, i dam świadectwo, o które wam chodzi. Kontrabandzista, pióra i papieru!

Cavaletto wypełnił rozkaz według wskazówek Arthura, a Blandois, uśmiechnąwszy się złowrogo i podnosząc wysoko wąsy, zaczął pisać:

*Wielmożna pani Clennam.
Czekam odpowiedzi.*

*Więzienie Marshalsea.
Pokój Arthura Clennama.*

Szanowna i droga pani. Z głębokim żalem dowiedziałem się od syna pani, który odszukał mnie z pomocą szpiega, iż szanowna pani niepokoiła się o moje życie. Pospieszam zatem stwierdzić, że jestem zdrów zupełnie.

Udałbym się na skrzydłach do szanownej pani, gdybym był przekonany, że jest zdecydowana na przyjęcie proponowanych przeze mnie warunków. Ponieważ jednak mam co do tego wątpliwości, oświadczam, iż po stanowczą decyzję zgłoszę się za dni osiem od daty dzisiejszej i jeśli nie porozumiemy się wówczas, spadną na szanowną panią wszystkie nieuniknione następstwa tego zbytniego uporu.

Odkładam zakończenie interesu, aby szanownej pani pozostawić czas do przygotowania warunków, które by zadowolily nas oboje. Ponieważ jednak niezależnie od swojej woli pozbawiony zostałem dotychczasowego schronienia, wymagam zwrotu kosztów życia hotelowego przez ten tydzień.

Proszę przyjmując, droga i szanowna pani, wyrazi głębokiego poważania

Rigaud–Blandois

Serdeczne pozdrowienie najdroższemu przyjacielowi Flintwinchowi przesyłam, całuję rączki jego przezacnej małżonki.

Odczytał ten list głośno, złożył, zaadresował i rzucił Cavaletto, aby go odniósł natychmiast. Lecz Jan Baptysta nie ruszył się z progu. Pancks wyręczył go znowu.

Blandois zapalił papierosa i puszczając kłęby dymu, usiłował zawiązać rozmowę. Arthur jednak nie odpowiadał, zanadto był zajęty własnymi myślami.

Więc zaczął znowu nucić włoską ludową piosenkę, a Cavaletto wtórował mu pomimo woli.

W kwadrans Pancks był z powrotem, prowadząc za sobą Flintwincha, ale te piętnaście minut wydawały się Arthurowi godzinami.

Na widok Jeremiaha Blandois podskoczył, chwycił go za szyję i obrócił w kółko,

zanim Flintwinch zdołał usunąć się od tych karesów.

– Odpowiedź! – wołał Rigaud – Dawaj żywo!

– Kartka do pana Arthura – rzekł starzec, podając mu kawałek papieru, na którym pani Clennam napisała:

Zrujnowałeś się sam, dlaczego chcesz rujnować innych? Jeremiah Flintwinch jest moim posłem i przedstawicielem.

Kochająca cię M. C.

Arthur przeczytał bilecik i podarł kartkę.

– No, Flintwinch, gdzie odpowiedź? – powtórzył natarczywie Rigaud.

– Pani Clennam ma ręce chore, więc przesyła odpowiedź ustną. Chciała powiedzieć, że zgadza się na pańskie warunki i prosi o przybycie za osiem dni, licząc od dzisiaj.

– Bardzo pięknie! – zawołał Rigaud, wybuchając śmiechem. – Zdaje mi się, że teraz jestem wolny. Z drogi, kontrabandzisto! Możesz sobie leżeć za mną, jeśli ci się podoba.

Jan Baptysta pytająco spojrział na Clennama.

– Owszem – rzekł Arthur – jeśli go się nie obawiasz.

– Już go się nie boję, odkąd pan wie o wszystkim – odparł wesoło Altro.

Rigaud-Blandois wyszedł z uprzejmym ukłonem, podnosząc w górę wąsy i nucąc włoską piosenkę. Za nim szedł Cavaletto, potem Flintwinch, kiwając głową, a w końcu Pancks, wzdychając i wydając dziwne odgłosy, niby psująca się lokomotywa.

Pozostawszy sam, Arthur uczuł się tak przygnębiony, złamany, opuszczony i bezsilny, jak jeszcze nigdy w życiu. Otoczyły go zupełne ciemności, w duszy zapanował niepokój i gorycz, nie widział dziś nad sobą żadnej gwiazdki.

ROZDZIAŁ XI

SMUTNE SPOTKANIE

Niepokój i sumienie – smutni towarzysze więźnia. Dzień udręczeń, a noc bezsenna – to sił nie dodaje nikomu. Nazajutrz po wizycie pana Blandois Clennam zrozumiał, że nie tylko moralne, lecz i fizyczne siły jego są wyczerpane.

Bał się dnia i własnych myśli, bał się nocy i jej widziadeł. Nie miał nigdzie ucieczki. Zdawało mu się, że dąży do śmierci, i lękał się śmierci w więzieniu. Ostatkiem pragnień łaknął powietrza i słońca, otwartej przestrzeni, ucieczki od tych murów chłodnych, wilgotnych i ciemnych.

Miewał gorączkę, dreszcze, wiedział, że jest chory, ogarniało go zupełne zniechęcenie, bał się widoku ludzi. Dlatego też napisał do Plornishów, którzy bywali tutaj dosyć często, że ma obecnie ważne zajęcie z prawnikiem i dlatego musi ich prosić, aby go nie odwiedzali w tym tygodniu, chociaż ich widok sprawia mu zawsze przyjemność.

W podobny sposób starał się pozbyć i Johna, który zaglądał często, dopytując, czy nie może mu oddać jakiejś usługi.

Arthur udawał wtedy, że jest zajęty pisaniem i odpowiadał, jak mógł najswobodniej, że dziękuje za pamięć, lecz nie ma o co prosić.

Tak pięć dni przeżył w zupełnej prawie samotności. Zaświtał wreszcie szósty dzień męczarni po nocy bezsennej, dzień gorący i duszny w ciasnych i rozgrzanych murach.

Arthur wstał z bólem głowy, spojrzął na bezbarwne niebo, na żółty krąg słońca tonącego we mgle i nie byłby się podniósł, tak był wyczerpany, gdyby nie obawa, że zwróci przez to na siebie uwagę.

Umył się z trudem, ubrał i usiadł na krześle, gdzie zaraz zaczął drzemać. Budził się i zasypiał, niezdolny już rozróżnić snu od jawy. Słyszał ruch na podwórzu, to jakieś melodie, ktoś z nim rozmawiał, ale czy w rzeczywistości?

Z wolna wydało mu się, że jest w pięknym ogrodzie. Otaczają go drzewa kwitnące i kwiaty. Czuł ich zapach rozkoszny i orzeźwiający, upajał się ich wonią, uspokajał.

Otworzył oczy, spojrzął wół przytomnie i na stole zobaczył bukiet kwiatów. Naturalnie złudzenie, miał przecież gorączkę. Zamknął oczy i z przyjemnością

oddychał tym słodkim zapachem, który mu podsuwała chora wyobraźnia. Otworzył znowu oczy, już z pewnością obawą, że kwiaty znikły – ale zobaczył je znowu.

Zdziwiony podniósł głowę, wziął je w rękę. Jakież były śliczne. Nigdy w życiu tak pięknych nie widział. Przyłożył je do twarzy i do czoła, potem umieścił w szklance, która stała obok zimnej herbaty, i rozpostarł nad nimi ręce jak człowiek, który ogrzewa dłonie nad ogniem.

Zaczął myśleć, skąd się tu wzięły, lecz wkrótce ogarnęła go znów senność. Słyszał jakąś muzykę, zdawało mu się chwilami, że widzi przesuwane się jakieś postaci. Podniósł głowę i ujrzał, że drzwi się cicho otworzyły, w progu stała figura owinięta w płaszczyk – płaszczyk spadł i zrobiła się z niej małeńka Dorrit. Klasnęła w ręce, uśmiechnęła się i rozpłakała.

Arthur krzyknął z lekka, lecz w tej właśnie chwili Amy podbiegła do niego, uklękła obok krzesła i położyła mu ręce na piersi, ażeby nie mógł wstać, łzy płynęły jej po twarzy, wymówiła cicho, słodko jego imię.

– Mój przyjacielu, drogi przyjacielu – powtarzała miękko, serdecznie – ty płaczesz? To z radości, że ujrzałeś swoje dziecko, prawda? Prawda, kochany, drogi przyjacielu?

A gdy milczał, przyciskając do serca jej ręce, dodała:

– Nie powiedziano mi, że jesteś chory.

– Nie wiedziałem... – rzekł wreszcie z jękiem Arthur – w tej sukience?

– Zdawało mi się, że w niej będę panu milsza. Zachowałam ją na pamiątkę. I widzi pan, z kim przyszłam?

Spojrzał w kierunku drzwi i spostrzegł Maggie, stojącą ze złożonymi rękami i wyrazem zdziwienia i zachwyty.

– Przyjechałam wczoraj wieczorem – opowiadała Amy. – Dziś poszłam do Plornishów i dowiedziałam się o wszystkim. Czy pan nie miał przeczucia, że dziś przyjdę? Czy pan nie myślał o mnie? O, ja myślałam często... zawsze... ciągle...

– Dużo myślałam o...

– O małeńkiej Dorrit. Czy pan zapomniał, że tak się nazywam? – dokończyła, gdy się zawahał. – Zawsze jestem ta sama małeńka Dorrit.

– Myślałem o tobie często... ale...

Przypomniał sobie, że jest bankrutem i więźniem, więc czy mu wolno dzisiaj myśleć o niej?

– Przyszłam tu od razu rano – mówiła dalej Amy – ale było za wcześnie.

Zostawiłam panu te kwiaty. Pan nie widział mojego wejścia. Więc poszłam do Chivery'ego, byłam w pokoju Johna, moim dawnym pokoiku... tyle wspomnień...

Clennam był dość przytomny, aby zauważyć, że małe Dorrit stała się więcej kobietą, stała się śmielsza, więcej pewna siebie, choć nie straciła wdzięku nieśmiałości. Jej delikatna twarzyczka nabrała zdrowej cery, opalona słońcem południa, lecz oczy nie zmieniły poważnego i słodkiego wyrazu, który działał jak balsam na cierpiącą duszę.

Wstała, zdjęła kapelusz i z pomocą Maggie zaczęła, tak jak dawniej, sprzątać pokój. Spryskała go orzeźwiająco jakąś wodą, uczuł woń lasu i świeże powietrze. Z koszyczka Maggie wyjęła lekkie galaretki, chłodzący napój, wino i pieczone kurczę. Ustawiła wszystko na stole. Sama usiadła przy oknie, otworzyła jakieś pudełko i zaczęła szyć firankę.

W pokoju robiło się jaśniej i milej. Małe Dorrit szyła w milczeniu, dla Arthura jej widok stanowił wypoczynek. Patrzył na nią i z każdą chwilą czuł wyraźniej, jakim szczęściem jest jej obecność, jakim skarbem jest serce tej drobnej istotki, jak mu jest droga, jak bardzo ją kocha.

Amy nie pozwalała mu wiele rozmawiać. Wstawała czasem, podawała mu chłodzący napój lub lekki posiłek, poprawiała poduszkę, którą umieściła mu pod głowę, uśmiechała się słodko i wracała na swoje miejsce, aby szyć znowu, szybko, zrećnie i w milczeniu.

Tak upłynął dzień cały. Słońce zaszło wreszcie za dachy i mury. Amy białą firanką zasłoniła okno, stanęła przy nim z ręką opartą o poręcz, i po długim wahaniu przemówiła cicho.

– Muszę odejść – zaczęła – ale chciałam przedtem pomówić jeszcze z panem, odkładałam ciągle... trzeba powiedzieć w końcu... Już nie wyjadę z Anglii. Edward chce podróżować, więc niech jedzie. Kocha mnie i zostawia mi swobodę. Chce, żebym była szczęśliwa, nic więcej.

Umilkła i spojrzała na bladą gwiazdeczkę, która zamigotała na wieczornym niebie. Nie odwracała oczu i zdawało się, że mówi do niej, że jej powierza swoje pragnienia, nadzieje.

– Nie wiem, ile przypadnie na mnie z majątku ojca, ale cóż mi po pieniądzach? Jakąż dla mnie miałyby wartość, gdybym nie mogła ich użyć dla tych, których kocham, przede wszystkim dzisiaj... dla pana! Byłabym najniezwyklejsza, gdybym panu nie mogła pomóc. To jest tylko pożyczka, którą mi pan zwróci. Mogę czekać... z takim wielkim szczęściem w sercu, że mi wolno spłacić część długu, jaki

zaciągnęłam niegdyś. Przecież mi pan nie odmówi tego szczęścia? Zawsze był pan dla mnie dobry, więc i teraz tak będzie. I nie chcę nawet, żeby się pan zgodził dzisiaj. Pan ułoży sobie warunki... jakie zechce. Dzisiaj pozwól mi tylko odejść z nadzieją w sercu, że przede mną tak wielkie, tak ogromne szczęście!...

Było już prawie ciemno. Arthur oparł zmęczoną głowę na jej rękę i przemówił spokojnym, chociaż cichym głosem.

– Nie, moje drogie dziecko. Nie. Tak kupiona swoboda nie miałaby dla mnie wartości. Byłbym nędzny, spodlony, nieszczęśliwy. Nie. Ale dziękuję ci z głębi serca za te słowa... nie zapomnę ich nigdy w życiu.

– A jednak – załkała Amy – nie chcesz uczynić mnie szczęśliwą...

– Nie mogę, drogie dziecko... tego jednego nie mogę. Gdybym był wolny, silny, niezależny, umiałbym dziś inaczej odpowiedzieć na twoje słowa... ale dla mnie wszystko skończone. Przebacz mi, że jeszcze nazywam cię dzieckiem. Ty jesteś silniejsza ode mnie. Jesteś kobietą, którą czczę i kocham. Niech cię Bóg wynagrodzi za to wszystko, czym byłaś dla mnie w życiu... dziś... nic mi nie zostało, nie odwracasz się jednak od nędzarza... Jesteś dobra, ale... zapomnij o mnie. Dla mnie nic tu już nie ma na ziemi... Nic nie ma.

Amy złożyła ręce i błagała wzrokiem. Arthur nie patrzył na nią.

Nagle na dole dał się słyszeć dzwonek. Clennam podniósł się jak gdyby z wysiłkiem, podał Amy płaszczyk, kapelusz i drgnął, gdy uczył jej małą rączkę w swej dłoni.

Przytrzymał ją mocno, potem podniósł do ust. Był bardzo blady.

– Jeszcze muszę cię prosić o jedno, małe Dorrit – rzekł bardzo cichym głosem. – Widzisz, jak mi ciężko, a jednak trzeba... Nie przychodź tu... często... Chciałbym powiedzieć: nie przychodź tu więcej, ale nie mam odwagi. Czasem... czasem... To nie twój świat. Inna przyszłość otwiera się przed tobą...

Nie mogli mówić dłużej. Maggie nalegała także. Arthur sprowadził Amy po schodach aż na dół, za chwilę ciężka furtka zatrzasnęła się za nią.

Z trudem wszedł po stromych schodach i rzucił się na łóżko wyczerpany. Było ciemno i cicho. Czuł dreszcz i gorączkę, myślał, że śmierć się zbliża. Wszystko się wreszcie skończy.

Około północy usłyszał skradające się kroki. Ktoś uchylił drzwi bardzo cicho i John wszedł do pokoju w pończochach, bez obuwia.

– Co się stało? – spytał Arthur przestraszony.

– Nic się nie stało, ale nie wolno chodzić o tej porze. Wszystko mi jedno. Chciałem, żeby pan wiedział, że odprowadziłem pannę Dorrit.

– Dziękuję ci, Johnnie, bardzo ci dziękuję.

– Panna Dorrit szła piechotą, żeby rozmawiać ze mną. Mówiła o panu. Powiedziała mi: „Johnnie, byłeś zawsze dobry, jeśli chcesz dzisiaj oddać mi przysługę, czuwaj tam nad nim podczas mojej nieobecności”. Przynależem jej i teraz... jestem pańskim przyjacielem aż do grobu!

Clennam wyciągnął rękę do zanego chłopca, nie mając sił przemówić ze wzruszenia.

– Jeszcze nie wszystko – rzekł John, wstrząsając głową – jeszcze kazała powtórzyć te słowa: „powiedz mu, że maleńka Dorrit kochać go będzie wiecznie”. No, teraz niech pan powie, czy postąpiłem uczciwie?

– Tak jest, Johnnie, uczciwie.

– Więc niech pan jej to powie... I oto moja ręka. Do grobowej deski jestem pańskim przyjacielem.

ROZDZIAŁ XII

BLANDOIS ZRYWA ZASŁONĘ PRZESZŁOŚCI

Nadszedł dzień, naznaczony przez Rigaud–Blandois na załatwienie handlu z panią Clennam. Dzień słoneczny i jasny, jakby na urągowisko dla posępnych mieszkańców ponurego domu. W godzinie przedwieczornej na pustej ulicy ukazały się trzy postaci: Blandois, Pancks i Cavaletto.

Blandois był czerwony, oczy miał nieco mętne, wąsy bezustannie podnosił do nosa, wyglądał na człowieka, który z pomocą wina nabrali dużo odwagi i ma zamiar zużytkować ją czym prędzej. Pancks i Altro nie odstępowali go na krok.

Rigaud zapukał mocno, raz i drugi, odepchnął Jeremiaha, który drzwi otworzył, i śmiało wszedł na schody.

Pani Clennam siedziała na swym zwykłym miejscu, a chociaż twarz jej była kamienna jak zawsze, uderzało w niej coś nowego, co trudno było jednoznacznie określić. Na parapecie otwartego okna siedziała Affery, cerując pończochy.

– Co to za ludzie? – spytała pani Clennam sucho, patrząc na towarzyszy Rigaud – i po co tutaj przyszli?

– Moje cienie z łaski Arthura Clennama – złośliwie zauważył Rigaud.

– Pan Clennam chciał, żebym tu przyprowadził tego pana – odezwał się Cavaletto. – Moja robota skończona.

I z ukłonem cofnął się ku drzwiom.

– Ja chcę tylko powiedzieć – dodał Pancks – że mi ogromnie przykro pozostawiać panią w towarzystwie tego pana, kiedy syna tu nie ma. I to wszystko z mojej winy. Zgubiłem tego człowieka i nie wiem, jak mam wynagrodzić krzywdę.

– Ach – zawołał Jeremiah, teraz dopiero uważnie spojrzawszy na Jana Baptystę – to on zajął mi tyle czasu wówczas wieczorem, kiedy był pan Casby, rozpytując o pana Blandois! Gdybym był wiedział.

– Zguba się odnalazła – przerwał Pancks – ale pan Arthur nie może tak postąpić, jakby pragnął. Pozbawiony wolności, chory, czuje się bardzo nieszczęśliwy. Dostarczył wprawdzie kryjącego się dżentelmena, lecz nie może go zmusić do

wyjaśnienia tajemnic, które panu Arthurowi zatrąły życie. Biedny człowiek, nie ma przyjaciół w tym domu!

Spojrzał na Affery jak gdyby z wyrzutem i nie czekając na odpowiedź pani Clennam, wyszedł z Włochem z pokoju.

– No, wynoś się – zawołał Jeremiah na żonę – nie jesteś tu potrzebna.

Ale na twarzy Affery rozgrywała się dziwna walka, bladła i czerwieniła się na przemian, nagle odrzuciła pończochę, uchwyciła się mocno ramy okna i krzyczała, machając drugą ręką.

– Nie pójdę stąd, nie pójdę! Nie zbliżaj się, Jeremiahu, bo wyskoczę oknem i narobię takiego krzyku, że cała ulica się zbiegnie. Dostyc tego, dostyc tajemnic! Nie chcę tak dłużej żyć. Chcę wiedzieć, co się tu dzieje koło mnie, albo wolę się zabić!

– Stój – zawołała pani Clennam na Flintwincha, który chciał podejść zniecka do okna. – Affery, wyjdź, ja ci każę.

– Nie posłucham nikogo – zawołała Affery. – Muszę tu żyć w tym domu pełnym strachów i chcę przynajmniej wiedzieć, czego się boję. Chcę wiedzieć.

Na jej twarzy malowała się taka determinacja, że pani Clennam odwróciła się do Blandois.

– Czy pan żąda, żeby usunąć tę wariatkę?

– Ja? Cóż to mnie obchodzi? To pani rzecz.

– Więc daj jej spokój, Flintwinch. Szkoda na to czasu. Zaczynamy.

Rigaud wyciągnął przed siebie nogi, podniósł wąsy do nosa i zaczął słodkim głosem.

– Jestem szlachcicem, dżentelmenem, który...

– Był więziony w Marsylii za zabójstwo – dokończyła pani Clennam.

– Ach, ach! Padam do nóżek! Całuję rączki! – śmiał się Blandois. – Kobiectwo upodobanie do plotek. Mniejsza o to. Przyszedłem tu, ażeby dzisiaj skończyć sprawę tak czy inaczej. Bez tego nie wyjdę. Po raz ostatni rozmawiamy z sobą. Wszak pani mnie rozumie?

– Tak sądzę.

– Chodzi mi o pieniądze, jakkolwiek jestem dżentelmenem, bez tego nie ma co robić na świecie. Pani rozumie, prawda?

– Proszę dalej.

– Jestem człowiekiem łagodnym, dobrze wychowanym i pełnym galanterii dla płci pięknej, lecz żartować z siebie nawet damom nie pozwalam. Wpadam

natychmiast we wściekłość i bywam wówczas mściwy. Zemsta należy także do przyjemności życia. Wszak wyrażam się jasno?

– Najzupełniej.

– Pozwoli pani, że wspomnę pokrótce, co zaszło między nami podczas dwóch poprzednich moich wizyt w tym domu.

– To zbyteczne.

– Ja sędzę inaczej i pozostaję przy swoim, do licha! Sprawa musi być postawiona jasno, inaczej nie dojdziemy do końca. A czasu niewiele, niewiele! Pierwsza wizyta nie ma wielkiego znaczenia, przekonałem się tylko, że mam do czynienia z damą, której poszukiwałem. To wszystko. Zaprzyjaźniłem się z miłym Flintwinchem i sprawdziłem okoliczności.

Umilkł na chwilę i rzucił kose spojrzenie na panią Clennam, na której twarzy można było zauważyć zsuniecie ciemnych brwi.

– Druga wizyta – zaczął – była już zupełnie jasna: zażądałem od damy, którą głęboko poważam, tysiąca funtów sterlingów za pewne papiery, które mogłyby ją skompromitować. Czy pani przeczy?

– Nie.

– Tym lepiej. Dzisiaj za te papiery żądam dwóch tysięcy funtów. Zwłoka to rzecz kosztowna! Wtedy nie doszliśmy do porozumienia, a ponieważ jestem człowiekiem wesołym, przyszło mi na myśl ukryć się tymczasem. Wyborny figiel, prawda? Dziś przychodzę po raz ostatni. Ale przedtem proszę uregulować rachunek hotelowy. Może się rozstaniemy jako wrogowie, więc to zaraz.

Wyjął rachunek. Pani Clennam odsunęła go ruchem ręki i dała znak Flintwinchowi, ażeby zapłacił. Jeremiaś ścisnął zęby, ale był posłuszny. Blandois zadźwignął złotem.

– No, a teraz? – zwrócił się do pani Clennam.

– Muszę odpowiedzieć to samo, co wówczas: nie jestem tak bogata, abym mogła wypłacić żadaną sumę. Gdybym nawet chciała, to dzisiaj nie mogę.

– To znaczy: nie chcę? Tak? Pytam po raz ostatni. Więc nie?

– Nie mam tyle. Przychodzi pan po raz trzeci i grozi. Mówi pan o papierach, które prawdopodobnie chciałabym odzyskać, ale... właściwie... pańskie słowa i groźby są tak nieokreślone... Przyjmij pan te warunki, jakie ja dać mogę, a nie... to rób, co ci się podoba. Wolę zginąć od razu, niż być w twojej mocy.

– Śmiała z pani kobieta! Nieprawdaż, przyjacielu Flintwinch?

– Nie odpowiadaj mu – rozkazała pani Clennam. – Niech powie jasno, co ma do sprzedania, a nie... to skończmy, i niech sobie idzie.

Rigaud chciał ją przeszyć pełnym wściekłości spojrzeniem, ale spotkał kamienne, nieruchome oczy i uczył się bezsilny.

– Więc życzy sobie pani – zaczął z ironicznym uśmiechem – abym w tym rodzinnym kółku opowiedział otwarcie historię pewnego domu i pewnej rodziny? Ha, może to i niezły wcale pomysł. Bardzo pięknie! Był sobie niegdyś pewien stryj i bratanek. Stryj, człowiek surowy i twardego charakteru, synowiec nieśmiały, cichy, zafukany...

– Nie zbliżaj się, Jeremiahu! – krzyknęła nagle Affery. – Nie zbliżaj się, bo wyskoczę! Wiem o tym stryju i o tym brataniku, chociaż mnie tu jeszcze nie było w tych czasach. Wiem o ojcu Arthura, że go morzono głodem, że nie śmiał odezwać się w obecności stryja, wiem, jak go ożeniono!

Blandois posłał jej całusa i z uśmiechem zwrócił się do pani Clennam.

– Nadzwyczajna domyślność! – rzekł, skłaniając głowę jakby na znak uznania. – Rzeczywiście ożenienie się bratanika było... zdaje się... dosyć oryginalne. Stryj powiedział: „Wybrałem ci żonę, kobietę z charakterem, jakiej potrzebujesz, ponieważ nie masz własnej woli. Ubieraj się do ślubu”. Coś w tym rodzaju. I bratanek się ubrał, wziął ślub i wprowadził do domu małżonkę, kobietę z charakterem!

Mrugnął na panią Clennam, której brwi zbiegły się już w jedną linię, a między nimi zarysowała się na czole zmarszczka, głęboka i surowa.

– Moja powieść zaczyna interesować panią – zaśmiał się nagle, podnosząc w górę wąsy. – Dalszy ciąg jest bardzo ciekawy. Nadzwyczajne odkrycie! Kobieta z charakterem przekonuje się, że jej mąż był już przedtem żonaty i ma syna, tylko... nie śmiał się przyznać do tego przed stryjem, ha! ha! ha!

– Nie zbliżaj się, Jeremiahu! – krzyknęła znów Affery. – Już wiem! Wiem! Ha, rozumiem. Arthur...

Rozległ się krzyk, Jeremiah chciał pochwycić żonę, lecz Rigaud stanął nagle między nimi.

– Ani kroku, najdroższy przyjacielu! – krzyknął. – Nie rozumiem, dlaczego ta domyślna dama nie ma wiedzieć wszystkiego, co my wiemy? Biorę ją pod opiekę i chcę mieć w niej świadka.

Wziął Flintwincha za kołnierz i z największą gracją doprowadził go do stolika pani Clennam.

– A zatem Arthur? – zwrócił się do pani Clennam. – Kto jest matką Arthura?

– Nie ja! – zawołała pani Clennam w uniesieniu. – Tak, nie jestem jego matką. Przekonawszy się o zbrodni męża, postąpiłam tak, jak mi nakazywało sumienie. Nie wolno mieć dwóch żon. On musiał stracić obie i pojechał pokutować w obce i dalekie kraje. Ja wychowałam dziecko jak swoje. A szalona dziewczyna, która bez wiedzy rodziny zaślubiła tego słabego człowieka, dostała pomieszania zmysłów. Czy to moja wina? Zrobiłam wszystko, aby uratować Arthura od hańby. A czymże odtąd było moje życie? Może słodką drogą po różach i szczęściu?

– Wspaniale! – zawołał Rigaud. – To się nazywa stanowczość i czyste sumienie. Jestem pełen podziwu, choć znam tę historię z nieco innej strony. Zresztą wszystko jedno, przejdźmy teraz do sprawy przywłaszczonych pieniędzy i ukrytego zapisu...

Pani Clennam schwyciła się nagle za głowę, zdawało się, że wstanie ze swego fotela, twarz kamienna straciła nieruchomość, wstrząsały nią nerwowe drgania.

– Flintwinch – syknęła wreszcie – ten papier spalony...

– Jest w moim posiadaniu wraz ze szkatułką, pełną listów matki Arthura i innych pamiątek rodzinnych.

– To kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! – zawołała gwałtownie pani Clennam. – Gibert Clennam na łożu śmierci dopisał w testamencie, że przeznacza tysiąc funtów dla matki Arthura i tysiąc funtów dla urodzonej w więzieniu siostrzenicy niedołęznego człowieka, który się nią opiekował, który był sprawcą jej szalonego małżeństwa. Nie oddałam od razu tych pieniędzy, bo matka Arthura była już umierająca, a niedołęzny starzec zmarnowałby je niezawodnie. Nie oddałam ich do ręki owej siostrzenicy, bo wydarłaby jej rodzina i także zmarnowała. Ale nie zniszczyłam zapisu, chowałam go do czasu, a maleńką Dorrit wspomagałam w inny sposób, skuteczniejszy i trwalszy. Nie chciałam skrzywdzić tego dziecka, to nieprawda! Byłabym jej oddała owe tysiąc funtów chociażby wprost od siebie. Mogłam dać jej i dwa tysiące, jak było w testamencie, nie wyciągając starego szpargału.

– I dlatego zapewne został w końcu spalony? – zaśmiał się Blandois z zuchwałą miną.

– Został spalony – powtórzyła głucho. – Teraz dopiero rozumiem nikczemny podstęp Flintwincha. W dzień przyjazdu Arthura on mnie do tego skłonił, ażeby mnie oszukać i mieć nade mną władzę. Teraz rozumiem. Skorzystał z mojej dumy czy słabości, że obawiałam się jedynej rzeczy, aby ten zapis nie dostał się w ręce Arthura... Arthura, który przysłał ten zegarek z dewizą: „Nie zapomnij!...”. Arthura, który powziął jakieś podejrzenia... Nie o papier chodziło, ale o pieniądze, które

zawsze zamierzałam oddać... więc kazałam mu w mojej obecności...

– Tak – odezwał się Flintwinch, wcale niezmięszony – spaliłem inny papier, chciałem mieć panią w rękę. A dlaczego? Boś pyszna jak szatan i chciałaś mną rządzić. Nikt nie będzie rządził Flintwinchem. Chciałem cię przekonać o tym i dlatego...

– Wiem... – zawołała Affery – to... nie był sen, widziałam! Widziałam, jak oddał bratu tę szkatułkę, tak, widziałam! Po przyjeździe Arthura... ach, rozumiem...

– Rozwijają się wspaniale historia rodzinna – zauważył Blandois, gładząc białą ręką wąsy i podnosząc je aż do nosa. – Wiele skorzystałem, słuchając tych wyjaśnień i obecnie rzecz cała nie ma dla mnie żadnych tajemnic. Brat przeczajnego mego przyjaciela, obecnego tu Flintwincha Jeremiaha, zamieszkał w Antwerpii, gdzie miałem przyjemność go poznać. Czas spędzał przy fajeczce i szklaneczce, często dla wypoczynku pogrążając się w sennych marzeniach, co było zapowiedzią pogrążenia się wkrótce w sen wiecznotrwały. Pokochałem gorąco tego dżentelmena, który mi płacił równo zaufaniem i opowiadał o swoich kłopotach, a ponieważ w tym czasie skończył swą ziemską wędrówkę, zostałem jego spadkobiercą.

Triumfująco spojrział na wzburzoną panią Clennam, która drżała widocznie, przyciskając do czoła prawą rękę.

– Skończmy – przemówiła wreszcie – ta rzecz ma wartość dla mnie i zapłacę... ile mogę. Tyle pieniędzy nie mam. Mogę jednak płacić ratami, jeśli się ułożymy...

– Mój aniele! – przerwał jej Rigaud z szyderstwem. – Powiedziałem od pierwszej chwili, że jestem tu po raz ostatni. Należę także do ludzi przezornych. Przezorność jest cechą mego charakteru. Szkatułka znajduje się w miejscu bezpiecznym i zostanie wydana w chwili złożenia sumy całkowitej. Na wypadek zaś, gdyby mnie tu coś spotkało... dziś przed zamknięciem więzienia Marshalsea kopie najważniejszych dokumentów, złożone w rękę małej Dorrit, doręczone zostaną panu Arthurowi, którego ona pielęgnuje. I wypełni to wszystko skrupulatnie, gdyż jest pewna, że chodzi o dobro Arthura Clennama. Czy pani sądzi, że panna Dorrit nie zapłaci dwóch tysięcy za tę szkatułkę?

Pani Clennam krzyknęła nagle i powstała. Chwiejącym się krokiem, z błędnymi oczyma szła przed siebie kobieta, która od lat piętnastu nie wstawała z miejsca. Rigaud i Flintwinch cofnęli się przed nią. Ona szła dalej. Zbliżyła się do szafy i wyjęła z niej czarną chustkę, zarzuciła na siebie i skierowała się ku drzwiom.

– Pani, pani! – krzyknęła Affery, podbiegając i padając przed nią na kolana. – Niech pani nie chodzi!... Ach, gdzie pani idzie! Ja tutaj nie zostanę! Tu pokutuje jej

dusza! Może szuka ojca Arthura...

Lecz pani Clennam miała znowu twarz kamienną. Silnym ruchem uwolniła spódnicę z rąk Affery i odwróciwszy się, wyrzekła tylko:

– Zaczekajcie tu na mnie.

Potem sama zeszła ze schodów, otworzyła drzwi na dole i znalazła się na ulicy.

Affery pierwsza jakby zbudziła się ze snu. Krzyknęła przeraźliwie i wybiegła za swoją panią. Jeremiaś spojrział z ukosa na Blandois i zaczął także cofać się ku drzwiom plecami, wreszcie jak wąż wysunął się z pokoju.

Rigaud, zostawszy sam, usiadł w otwartym oknie, wyciągnął nogi i zapalił papierosa.

– Gdzież ona mogła iść? – zapytał głośno. – Chyba po pieniądze. Trzeba poczekać, chociaż diabli wiedzą, kiedy wróci. Ale zaczekam. Cóż mi to szkodzi? Tu... czy tam... W końcu wróci. Rigaud–Blandois, zdobyłeś piękną sumkę! Udało ci się, chłopcze!

Podniósł głowę i ujrzał nad sobą grubą belkę. Jednocześnie usłyszał cichy szelest. Obejrzał się, ale nikogo nie było.

– Strachów się nie obawiam, jak ta stara – mruknął pod nosem i puścił kilka wielkich kłębow dymu.

Pani Clennam tymczasem szła o własnej sile przez ciche ulice, na których zmrok wieczorny zaczął już zastępować światło dzienne. Chuda, blada, z błędnym spojrzeniem i surowym wyrazem twarzy, w czarnej sukni i czarnej chustce, narzuconej na głowę, wyglądała jak widmo i skoro się znalazła w ludniejszej dzielnicy, ludzie oglądali się za nią.

Nie zwracała na to uwagi i szła szybko niepewnym krokiem, zdumiona wszystkim, co ją otaczało, a tak różniło się od tego świata, który w jej pamięci pozostał. Podniecona wstrząśnieniem ostatniej godziny, poczuciem władzy ruchu w martwych nogach, upojona powietrzem, którym nie oddychała od lat tyłu, szła prawie machinalnie, na wpół zaledwie przytomna.

Wtem przypomniała sobie, że musi zapytać o drogę. Stanęła i obejrzała się dokoła. Otaczał ją tłum gapiów, uliczników, którego dotąd nawet nie widziała.

– Czego chcecie ode mnie? – spytała, drżąc gwałtownie.

– Wariatka! Wariatka! – rozległy się okrzyki.

– Taka jestem wariatka, jak i wy. Szukam więzienia Marshalsea.

– Wariatka! – zawołano jeszcze głośniejszym głosem. – Stoi przed Marshalsea i pyta!

Nagle zbliżył się do niej szczupły i wątlý młodzieniec o łagodnym wyrazie twarzy i przemówił spokojnie.

– Idę do Marshalsea na służbę, może pani pójdzie ze mną.

Przeprowadził ją przez ulicę i weszli razem na ciemny dziedziniec, który wydał się cichą przystanią po ulicznym rozgwarze.

– Z kim pani chce się widzieć? – zapytał młodzieniec.

– Czy panna Dorrit jest jeszcze?

W większym oku młodziana odmalowało się wielkie zdziwienie.

– Jest – potwierdził. – Co mam jej powiedzieć?

– Jestem Clennam. Chcę się z nią widzieć.

– Matka pana Arthura! – szepnął młody człowiek. – Proszę pani, panienska Dorrit mieszka tu obecnie. Dyrektor wraz z rodziną wyjechał na letnie mieszkanie i prosił ją, aby zajęła pokój w jego domu. Może pani tam pójdzie, a potem sprowadzę pannę Dorrit.

Pani Clennam skinęła głową. John przeprowadził ją przez podwórze i zostawił w ciemnym pokoju, sam zaś udał się po pannę Dorrit.

W pokoju panował mrok; przez otwarte okna widać było na dziedzińcu przechadzających się więźniów i słycać ich rozmowy. Wtem cichy głos przemówił obok pani Clennam:

– Czy to podobna, aby zdrowie pani pozwoliło...

Umilkła, spojrzawszy na twarz pani Clennam, która odwróciła się do niej.

– Nie zdrowie pozwoliło mi przyjść tutaj – odparła. – W pani ręku są papiery, które masz doręczyć Arthurowi, jeśli przed zamknięciem Marshalsea nikt się po nie zgłosi.

– Tak, mam te papiery.

– Przyszłam po nie.

Amy wyjęła dużą kopertę zza stanika i wręczyła ją pani Clennam.

– Czy wiesz, co w nich jest? – spytała starszka.

– Nie.

– Przeczytaj.

Rozerwała kopertę, wybrała jeden spomiędzy kilku arkuszy i podała Amy.

Było tak ciemno, że aby przeczytać, Amy musiała zbliżyć się do okna. Czytała długo. Widać, nie mogła zrozumieć od razu. Z ust jej wyrwały się czasem okrzyki zdumienia, przerażenia, bólu. W końcu zamknęła oczy i stała przez chwilę, jakby

zbierając myśli. Kiedy się odwróciła, spostrzegła klęczącą przed sobą panią Clennam.

– Wiesz teraz wszystko – rzekła ta ostatnia.

– Może... tak mi się zdaje... choć zaledwie mogę zrozumieć – mówiła małeńka Dorrit drżącym, wzruszonym głosem.

– Przebacz mi i uwierz, iż zawsze miałam zamiar oddać ci to, co było dla ciebie przeznaczone. Czy możesz mi przebaczyć?

– Bóg widzi – rzekła Amy, kładąc rękę na sercu – że z całej duszy pani przebaczyłam. Niech pani wstanie! Niech pani nie całuje mojej sukni! Nie, nie... ja do pani nie mam żadnego żalu.

– Muszę cię o coś prosić.

Małeńka Dorrit podniosła panią Clennam z kolan i łagodnie trzymała ją za rękę.

– Co mogę dla pani zrobić? – spytała.

– Pierwsza prośba... błagam cię o największą łaskę... bo wiem, że masz dobre i szlachetne serce... niech to wszystko zostanie tajemnicą dla Arthura... aż do godziny mojej śmierci.

– Tak... jak najchętniej – zaczęła Amy – ale... jeżeli dla dobra Arthura powinnam... ja sama jeszcze nie wiem... nie mogę zebrać myśli...

– Nie wymagam od ciebie słowa natychmiast – przerwała jej pani Clennam – zastanów się i osądź, czy dobro Arthura wymaga, aby o tym wiedział. A jeśli się przekonasz, że nic na tym nie skorzysta, czy przyrzekasz? Na ten krótki czas życia, jaki mi jeszcze pozostał.

– Na ten czas i na zawsze, jeśli dobro Arthura nie będzie wymagało, abym mówiła o tym – rzekła Amy łagodnie.

– Niech cię Bóg błogosławił

Małeńka Dorrit usłyszała łzy w jej głosie, a w oczach był wyraz tak im obcy, jak swoboda ruchu jej zmartwiałym członkom.

– Dziwisz się pewnie – mówiła znów pewniejszym głosem – że wolałam upokorzyć się przed tobą, wyznając ci tę straszną prawdę, niż przed nim. Ale przypomnij sobie, że on nie jest moim synem. Że pozbawiłam go matki, a matką dla niego być nie mogłam. Nie. Między nami stała ta krzywda, którą mi wyrządzono, choć bez jego winy. Bo pomyśl, czymże było moje życie? Co ja miałam? Lecz mniejsza o to, niech nas Bóg rozsądzi. Tylko ze wszystkich ludzi najbardziej boję się sądu Arthura. On mnie nie zrozumie i nie uwierzy. Nie, nie! Gdy się przekonasz,

że nic nie straci na tym, jeśli nie pozna tej bolesnej tajemnicy, niech nie wie się o tym nigdy!

– Obiecałam to pani.

Rozległ się głos dzwonka zapowiadającego bliskie zamknięcie więzienia i pani Clennam drgnęła.

– Już! – zawołała. – Jeszcze jedna prośba. W moim domu czeka człowiek posiadający oryginały tych papierów. Żąda za nie sumy, jakiej zapłacić nie mogę. Grozi, że w takim razie uda się do ciebie. Czy nie poszłabyś ze mną powiedzieć mu, że wiesz o wszystkim? Czy nie zechcesz mnie wybawić z jego szponów? Nie śmiem prosić cię w imię Arthura.

Małeńka Dorrit zgodziła się natychmiast i zarzuciwszy płaszczyk, wyprowadziła panią Clennam na ulicę wprost z mieszkania dyrektora, omijając wewnętrzne podwórze.

Był śliczny letni wieczór. Na niebie migotały jasne gwiazdy, po dziennym skwarze powietrze stawało się orzeźwiające. Ludzie siadali na progach swych domów, odpoczywając po pracy i upale. Nikt teraz nie zwracał uwagi na panią Clennam, ponieważ nie szła sama i mniej było ludno.

Idąc pośpiesznym krokiem, znalazły się na koniec obie przed ponurym domem Clennamów. Ale właśnie w tej chwili, gdy stanęły przed nim, rozległ się jakby grzmot.

– Co to jest? – zawołała pani Clennam, ruszając w stronę drzwi.

Nagle Amy chwyciła ją za ramię. Dom zakołysał się, skrzywił jeszcze bardziej i z hukiem gromu runął, zasypując obie kobiety tumanem pyłu i gruzów.

Amy i pani Clennam krzyknęły z przerażenia. W chmurze pyłu ujrzały na chwilę sterczący komin, lecz i ten zachwiał się i runął także z ogłuszającym łoskotem.

Pani Clennam po raz ostatni cofnęła się z tłumionym jękiem. Chciała biec przed siebie, lecz upadła na ulicy.

Affery, która czekała na nią przed Marshalsea, a następnie podążyła za swą panią, podbiegła teraz do niej. Pani Clennam żyła, ale nie mogła zrobić żadnego ruchu, nie mogła wydać żadnego dźwięku. Affery załamała ręce.

Dokoła gruzów zburzonego domu zebrał się tłum, nadbiegli strażacy, kopacze, zajęto się poszukiwaniem pogrzebanych. Rozpowiadano sobie, że zginęło stu ludzi, potem liczba malała, wyjaśniło się wreszcie, że mogło być tylko dwóch.

Lecz daremnie kopano przez noc całą i dzień następny, i znowu noc, dopiero po

trzydziestu sześciu godzinach odnaleziono zwłoki cudzoziemca, który niegdyś nazywał się Rigaud–Blandois.

Flintwincha wciąż nie było. Rozchodziły się wprawdzie wieści, że poszedł po butelkę wina do piwnicy, że został tym sposobem ocalony, że się odzywa, że przez rurę żywią go mlekiem i wódką, że podobno obojczyk tylko ma złamany.

Tymczasem straż odeszła, zaprzestano kopać, Jeremiaha Flintwincha pod gruzami nie znaleziono.

Zaczęły wówczas krążyć inne wieści: w ciągu ostatniego tygodnia wymienił na gotówkę wiele weksli. Affery przypomniła sobie, iż wybierał się jakby w podróż, chociaż o tym nie wspomniał ani razu.

ROZDZIAŁ XIII

ODZYSKANA

Małeńka Dorrit troskliwie czuwała nad chorym, pomagała jej Maggie, Baptysta i Plornishowie, ale choroba była uporczywa, gdyż źródło jej tkwiło w duszy Arthura Clennama. Czuł się na dnie przepaści i nie widział drogi i nie widział celu, aby się z niej dźwigać. Straszny jest stan człowieka, kiedy powie sobie: wszystko skończone.

Jednak Amy nie ustawała, nie wątpiła i nie odstępowała chorego. Dyrektor więzienia ofiarował jej mieszkanie, wszyscy ją otaczali życzliwością, wszędzie znajdowała w tej sprawie poparcie.

Ale nie mogła zająć się wyłącznie zdrowiem Arthura, życie nie jest jedną koleją na drodze, tysiąc nitek stanowi siatkę, w której płaczą się nasze chęci i zamiary.

Troszczyła się o Fanny i jej zmartwienia, troszczyła się o Tipa i jego zrujnowane życie. Fanny wojowała ze świekrą, rządziła mężem, narzekała lub pyszniła się swym stanowiskiem, które dzięki stosunkom Edmunda Sparklera zapewniało jej swobodne życie w świecie zabaw i walk towarzyskiej próżności.

Pani Merdle, jako nieszczęśliwa wdowa, oszukana przez niegodziwego spekulanta, znalazła wyrozumiałość i współczucie, świat uznał za właściwe nie zrywać z nią stosunków, ponieważ urodziła się w tej sferze i zawsze do niej należała. Ocalone klejnoty i pomoc Sparklera zapewniały jej byt wygodny.

Tip rozpił się, zmarnował zdrowie i wiódł próżniacze życie, lecz był do Amy szczerze przywiązany i miał dla niej prawie dziecięcy szacunek.

Myślała także o sprawach Arthura. Szukając dobrej rady, napisała do pana Meagles, malując mu smutny stan moralny więźnia, a zarazem nie wchodząc w treść zaginionych papierów, zawiadomiła o ich kradzieży przez Blandois-Rigaud i prosiła o pomoc w odszukaniu. Może owa szkatułka znajduje się u pana Gowan, może pan Meagles da jej wskazówki, gdzie szukać. Arthur nic o tym nie wie, i nie chce go naturalnie niepokoić.

Pan Meagles rozumiał lepiej od małeńkiej Dorrit, jak ważne jest odszukanie takiej zguby, i zajął się tym od razu na miejscu. Łatwo mógł się przekonać, że Gowan nie ma tego depozytu, lecz zgłaszał się do zajazdów i hoteli, w których Blandois

mieszkał, przypuszczając, że ją w podróży zastawił.

W powrotnej drodze do Anglii miał tę sprawę ciągle na myśli, znajdował wszędzie długi Blandois, lecz nigdzie poszukiwanego depozytu. Zachodziły przy tym komiczne rozmowy, gdyż pan Meagles władał tylko ojczystym językiem i żadnego innego nie rozumiał. Nazwisko Blandois sprowadzało na niego często burzę wymysłów i podejrzeń, lecz on przyjmował je z najlepszą miną i śmiał się uprzejmie, nie posądzając wcale cudzoziemców o niegrzeczne zamiary i wrogie uczucia.

W Paryżu zastał list od maleńkiej Dorrit. Miała sposobność rozmawiać z Arthurem o Blandois i o tym, że pan Meagles szuka jego śladów, przy czym Arthur wspomniał, że znała go panna Wade, i podał jej adres w Calais.

Pan Meagles z zadowolenia zatarł ręce.

Po przybyciu do Calais odszukał wskazany dom i pełen nadziei oczekiwał na pannę Wade w znanym nam już pokoju, do którego został wprowadzony.

Powitał ją uprzejmie, pytając o zdrowie.

Panna Wade zmierzyła go zimnym spojrzeniem: nie po to tu zapewne przyszedł, poprosiła więc, ażeby przystąpił od razu do celu swych odwiedzin.

Zacny staruszek z całą naiwnością wspomniał wówczas o córce, jej szczęśliwym małżeństwie, nowo narodzonym synku.

Panna Wade przerwała znowu przypuszczeniem, że nie przybył tu prawdopodobnie w zamiarze dostarczenia jej tych wiadomości.

Wówczas wyobrażając sobie, że gra rolę zręcznego dyplomaty, oznajmił, że w interesie drogiej Mini poszukuje szkatułki z ważnymi dokumentami, którą przywłaszczył sobie niejaki Blandois i ukrył przed właścicielem.

– Wiem od Clennama – mówił – że pani znała Blandois. Wiem dokładnie, że to był stosunek daleki, a jednakże uważałem za konieczne sprawdzić, czy pani nie wie o tym depozycie. Blandois nie żyje, szkatułka jest skradziona, przechowywanie jej grozi odpowiedzialnością, a zwrócenie właścicielowi jest prostym obowiązkiem. Może zresztą to nie szkatułka, mógł złożyć papiery w kopercie.

– Zdumiewa mnie – odparła panna Wade z oburzeniem – iż po raz drugi zwracacie się panowie do mnie, niby do biura informacyjnego, w rzeczach dotyczących człowieka, z którym rozmawiałam parą razy na ulicy, lecz który nie przestąpił progę mego domu!

– Niech się pani nie gniewa! – zawołał pan Meagles – moje poszukiwania nie mogą być obrażą. Pytałem o to samo setek ludzi. Nie opuszczam żadnego śladu

i żadnej możliwości. Więc Blandois nie zostawił tutaj depozytu?

– Nie.

– I nie może mi pani dać żadnych wskazówek co do dalszych kroków w tej sprawie?

– Nie mogę. Zdaje się, że rozmowa nasza wyczerpana.

– Niestety! Proszę się nie gniewać na mnie. Bardzo żałuję teraz, że panią niepokoiłem. Czy Tattycoram zdrowa?

– Henryka? Zupełnie zdrowa.

– Znów panią podrażniłem bez złej chęci. Gdybym się nad tym dawniej zastanowił, być może, iż nie dałbym jej tego imienia, ale kto dzieci lubi i żartuje z nimi, nie obmyśla każdego słowa. Może pani będzie łaskawa pozdrowić ją od starego przyjaciela.

Panna Wade nawet nie odpowiedziała.

– Przegrana sprawa – rzekł pan Meagles do żony, wróciwszy do hotelu, gdzie na niego oczekiwała. – Z niczym powracamy do Anglii.

Odплыnęli tegoż wieczoru, następnego dnia byli w Londynie i wprost z dworca udali się do Marshalsea.

Było to przed wieczorem. John oznajmił, że panna Amy od rana udała się dzisiaj do miasta, więc na pewno wkrótce powróci. Pan Clennam ma się lepiej. Jeśli państwo się nie śpieszą, może zaczekają na pannę Amy w mieszkaniu dyrektora, które obecnie zajmuje.

Pan Meagles zgodził się chętnie. Nie chciał wejść do Arthura bez porozumienia się z Amy, obawiał się, że wzruszenie mu zaszkodzi.

W pokoju Amy było pośpiesnie i duszno, brak powietrza w tej ciasnej, zamurowanej przestrzeni przygnębiająco działał na pana Meagles. Chłodził się chustką i narzekał głośno.

Wtem drzwi się otworzyły.

Odwrócił się pospiesznie, pewny, że ujrzy maleńką Dorrit, i stanął z otwartymi ustami, jak zadziwione dziecko.

– Mamo, mamó! – zawołał nagle. – Tattycoram!

Tattycoram klęczała już przed nimi, pochylona nad małą drewnianą szkatułką z misternym okuciem i dwoma zamkami.

– Przebaczcie, dobrzy państwo! Weźcie mnie do siebie! – wołała, płacząc i śmiejąc się razem. – Zabrałam jej szkatułkę!

– Tatty! – zawołała pani Meagles serdecznie. – Co to jest, moje dziecko?

– Byłam w drugim pokoju. Nie pozwoliła mi pana zobaczyć, ale słyszałam wszystko. Słyszałam, że skłamała. Przy mnie Blandois oddał jej szkatułkę. Nie chciała wziąć, to prawda, ale jej zostawił. Oto ona!

– Moja Tatty – rzekł pan Meagles, kładąc jej rękę na głowie. – Skądże, moje dziecko, wzięłaś się tu razem z nami?

– Płynęliśmy na jednym statku, tylko bałam się jeszcze pokazać. Potem w przystani wsiadłam do dorożki i kazałam jechać za państwem. Ona nie oddałaby nigdy tej skrzyneczki, skoro raz powiedziała, że jej nie ma. Wolałaby rzucić ją w morze. A ja zabrałam i jest! To ta sama! Może za to państwo przebaczą mi moją głupotę. Teraz wiem, jak źle zrobiłam, jaka byłam niemądra i niewdzięczna.

Pani Meagles podała rękę Tattycoram, żeby ją podnieść z kolan, pan Meagles zacierał ręce, oboje okazywali szczerą radość, obsypując skruszoną Tatty pieścotami, wypytyując o szczegóły ich krótkiej rozłąki.

– Byłam nieszczęśliwa – powiedziała szczerze, zalewając się łzami. – O, dawno żałowałam tego, co się stało, coraz bardziej. Ona dawniej umiała podburzać mnie do złości, często jednym spojrzeniem. A jak mnie złość ogarnie, to już sama nie wiem, co mówię. Wierzyłam jej. Ale potem... Potem ją poznałam. Potem zrozumiałam, jaka to dziwna natura. Wszędzie widzi zło tylko, wszystko dobre na zło tłumaczy. Chciała mnie przekonać i dała mi swój pamiętnik, a ja wtedy dopiero zrozumiałam, jaka ona jest i jak zawiniłam. Teraz już jestem inna. A jeśli mnie złość weźmie, będę liczyć do pięćdziesięciu! Do tysiąca!

Drzwi otworzyły się znowu i weszła maleńka Dorrit. Pan Meagles w milczeniu wskazał jej szkatułkę i twarz Amy rozjaśniła się radością. Teraz mogła być spokojna o tajemnicę, mogła ukryć ją przed Arthurem. Może mu powie kiedyś to, co jego dotyczy, ale resztę zapomniała już na zawsze.

– Droga panno Dorrit – rzekł pan Meagles serdecznie – chciałbym natychmiast zająć się sprawą Clennama. Czy można go dziś widzieć?

– Wolałabym go wcześniej przygotować. Zresztą... zobaczę, jak się teraz miewa.

Wyszła. Pan Meagles stał w otwartym oknie i widział, jak przechodziła przez więzienne podwórze. Skinął na Tatty.

– Chodź no, spojrzysz, moje dziecko, na tę drobną dziewczynkę, która idzie przez brzydkie i ciemny dziedziniec tego szkaradnego więzienia. Patrz: wszyscy ustępują jej z drogi, mężczyźni się kłaniają i zdejmują czapki, widzisz na wszystkich twarzach życzliwość i szacunek. Nieprawdą?

– Tak, panie.

– A wiesz, kto to? Córka więźnia. Urodziła się tutaj, wychowała w nędzy, nazywano ją dzieckiem więzienia. Ja nie mam tu czym oddychać, duszę się, a ona żyła długo, całą młodość.

– To bardzo smutne – szepnęła cicho Tattycoram.

– Ale teraz uważaj. Gdyby przez te wszystkie lata ta dziewczynka myślała tylko o swoim nieszczęściu, gdyby sobie wyobrażała, że ludzie patrzą na nią z pogardą i lekceważeniem, jakie byłoby jej życie i czy mieliby za co ją szanować? Ale ona o sobie nie myślała wcale. Żyła dla ojca, rodzeństwa. Obowiązek, poświęcenie, zapomnienie o sobie, były treścią jej życia i zjednały jej miłość ludzką i szacunek. Czy rozumiesz, moje dziecko?

– Tak – szepnęła Tatty i stali w oknie wszystko troje, póki Amy nie powróciła.

Arthur miał się nieźle, lecz bała się pod wieczór nowych wrażeń dla chorego i prosiła, żeby pan Meagles odwiedził go kiedykolwiek przed południem.

– Bardzo dobrze. Niech pani pozdrowi go ode mnie, bo tak prędko go nie zobaczę. Wyjeżdżam jutro. Niech się pani nie dziwi. – Uśmiechnął się, widząc jej ruch i spojrzenie. – Jestem tu godzinę i duszę się z braku powietrza. Nie odetchnę odtąd swobodnie, póki go stąd nie uwolnię.

– I dlatego pan wyjeżdża?

– Tak, dlatego. Matka z Tattycoram wróci sobie jutro do domu, a ja pojedę po Doyce’a. Bez Doyce’a nic nie zrobimy. Można pisywać listy przez rok cały i nic z tego nie będzie. Znam się na interesach. Dlatego jadę jutro po Daniela. Tu nie ma czym oddychać! Do widzenia.

Małeńka Dorrit poniosła do ust rękę pana Meagles.

– Co robisz, dziecko! – zawołał wzruszony. – Przepraszam panią, to przyzwyczajenie. Tak nie można.

Wtedy objęła go za szyję i pocałowała w twarz, jak niegdyś ojca.

– Dobre dziecko... jak tamta – szeptał starzec zdławionym głosem. – No, ma swego Henryka, trudno!

ROZDZIAŁ XIV

Z PAMIĘTNIKA PANNY WADE

Pani Meagles i Tattycoram powrócili do Twickenham, wywołując w domu radosne zdziwienie. Tatty czuła się szczęśliwa. Nigdy dotąd jej stosunek z opiekunką nie był tak serdeczny, nigdy z taką delikatnością nie uprzedzała jej życzeń, nigdy nie rozmawiały tak długo i szczerze.

Pewnego dnia przyniosła pamiętnik panny Wade, dany jej dla nauki, który sprowadził skutek wręcz przeciwny życzeniom autorki. Panna Wade chciała w oczach Tattycoram usprawiedliwić siebie i swój stosunek do ludzi. Tattycoram oceniła go inaczej, zrozumiała chorobliwość swej uwodzicielki. Teraz pragnęła przeczytać go z panią Meagles, która zadawała jej nieraz pytania świadczące, iż zaciekawiała ją postać tej nieznannej kobiety.

Więc czytały razem.

Na szczęście czy nieszczęście nie byłam nigdy głupia – pisała panna Wade. – Głupim zawsze dobrze. Ale ja zauważyłam bardzo wcześnie, że przede mną ukrywają wiele rzeczy, i nie chciałam być oszukiwana.

Wychowałam się u pewnej damy, która pozwalała nazywać się babcią, prędko jednak odgadłam, że tak naprawdę moja babką nie była. Oprócz mnie były w domu jej wnuczki, siostrzenice i kilka obcych panienek, uczyłyśmy się razem u tych samych nauczycieli.

Miałam może lat dwanaście, gdy zaczęłam spostrzegać, że wszyscy otaczają mnie jakąś opieką, jakimś współczuciem, wyrozumiałością, dlatego niby, że jestem sierotą. Prędko zrozumiałam przecież, że to było z ich strony pychę i że upokarzały mnie na każdym kroku, okazując w tej niby dobroci swą wyższość.

Wtedy zaczęłam wystawiać je na próbę, lecz ile razy udało mi się którąś z nich rozgniewać, zawsze przeproszała mnie pierwsza, przebaczącą wspaniałomyślnie moje winy. Wiedziałam, że to próżność i pogarda, więc nie mogłam być wdzięczna za tak piękne uczucia.

Jednej tylko udało się pozyskać moją przyjaźń. Przyznaję, że pokochałam ją serdecznie. Byłam jeszcze tak młoda i niedoświadczona! A ona miała anielską twarzyczkę, słodki uśmiech, spojrzenie, w którym malowało się gorące serce. Tymczasem była to wszystko obłuda, aby mnie upokorzyć i podeptać.

Inne tego nie rozumiała. I ja z początku nie mogłam zrozumieć. Kochałam ją prawdziwie, a widziałam, że ona gotowa kochać każdą. Więc otwarcie wyrzucałam jej przewrotność, wiarołomstwo, a ona triumfowała, bo wszyscy ujmowali się za nią, uspokajali w płaczu, pocieszali, twierdząc, że ja ją zamęczam.

Pomimo to ulegałam jej podstępny prośbom i pojechałam do jej rodziców na wakacje. Tu dopiero zaczęła się moja męczarnia. Miała mnóstwo kuzynek, kuzynów, przyjaciółek, cały dwór, któremu rozdawała słodkie uśmiechy, spojrzenia, pieszczoty, wystawiając mnie bezustannie na męki zazdrości. Kiedy zostawszy z nią sama wieczorem, wyrzucałam jej szczerze to postępowanie, zaczynała się mazać, nazywała mię okrutną, zapewniała, że kocha mnie gorąco. A ja wierzyłam. Kochałam ją znowu i tuliłam w objęciach aż do rana, myśląc nieraz, że byłoby może najlepiej, abyśmy się nie obudziły więcej.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy wyjaśniło się wszystko. Była w tym domu ciotka, która mnie nie lubiła.

Prawdę mówiąc, nikt mnie tam nie lubił, a nie dblałam o to, chodziło mi jedynie o miłość tej wybranej przyjaciółki. Lecz ta ciotka szczególnie mnie drażniła pełnem obłudnym współczucia spojrzaniem, które spotykałam ciągle. Raz po scenie z Carol pobiegłam do ogrodu i usiadłam w altance, gdzie nikt mnie nie widział. Wtem nadeszła ciotka z moją przyjaciółką. Usłyszałam, że mówią o mnie.

– Na to nie można pozwolić, Carol – mówiła ta obłudna dama – panna Wade cię zamęcza. Z tym trzeba raz skończyć.

Byłam bardzo ciekawa, co odpowie ukochana przyjaciółka, czy przyzna się otwarcie, że ona jest katem, a ja pomimo wszystko kocham ją wiernie i szczerze. Ale ona – zaczęła płakać! Tak, zaczęła płakać, ażeby mnie oskarżyć i wzbudzić współczucie dla siebie. Na koniec przemówiła. Pamiętam każde słowo.

– Droga ciociu, ona ma taki nieszczęśliwy charakter. Wszyscy tam w szkole pracujemy nad nią, wszyscy pragniemy ją poprawić, to nasza największa troska, bo ona będzie całe życie nieszczęśliwa.

– I ja myślę to samo, moje dziecko, ale nie można pozwolić, aby cię zamęczała. To jej nic nie pomoże.

– Dlatego proszę zaraz odesłać mnie do domu – powiedziałam, wychodząc z altanki. – Odeślijcie mnie zaraz, bo pójdę piechotą.

Powróciwszy do babki, oświadczyłam jej natychmiast, że jeśli mnie nie odda między obcych ludzi, zanim wrócę te intrygantki, to wyskoczę oknem, spalę się albo utopię.

Tym sposobem znalazłam się między obcymi, lecz przekonałam się wkrótce, że to wszystko jedno. Ta sama obłudna grzeczność i udawana dobroć, kryjąca wysokie pojęcie o sobie, lekceważenie dla mnie, ponieważ nie miałam rodziców. Tym sposobem rozumiałam swoją drogę życia i wiedziałam na koniec, jak mam postępować.

Skończyło się dzieciństwo. Dowiedziałam się, że po rodzicach pozostała mi niewielka sumka i muszę pracować na chleb. Zrobiono ze mnie nauczycielkę.

Pierwsze miejsce było w rodzinie niezamożnego dżentelmena, gdzie oddano mi pod opiekę dwie dziewczynki. Pani domu, młoda kobieta, zaczęła zaraz udawać, że się obchodzi ze mną bardzo delikatnie, ażeby popisywać się swoją dobrocią. Rozumiałam ją dobrze i panując nad gniewem, z zimną krwią, okazywałam jej na każdym kroku, że mnie nie oszukała, że rozumiem ją dobrze i potrafię się bronić. Jeśli przysyłała mi wino, nalewałam sobie wody, jeśli mnie czestowała jakimś przysmakiem przy stole, dziękowałam i brałam, co było najłepszego. Tym sposobem zachowałam swoją niezależność.

Dzieci były miłe i mogły przywiązać się do mnie, gdyby nie stara niania. Ta obłudna kobieta nie dała mi chwili wytchnienia. Pierze moje suknie, naprawia bieliznę, ustawia kwiaty na moim stoliku, uczy dzieci, jak mają mnie kochać i szanować.

W takich warunkach długo nie mogłam wytrzymać. Oświadczyłam to pani domu, zostawiając jej do wyboru pracę lub niankę. Stała w jej obronie. Usiłowała mnie przekonać, że ta kobieta służy mi z całego serca, że oni oboje z mężem mają dla mnie taką życzliwość.

Otwarcie powiedziałam, co o tym wszystkiem myślę, i porzuciłam tych obłudnych ludzi.

Kilkakrotnie zmieniałam miejsce, wreszcie znalazłam się w domu bogatym, gdzie miałam jedną tylko, starszą wychowankę, panienkę piętnastoletnią. Ich krewny, młody człowiek, zdobył moje zaufanie, zostaliśmy zaręczeni, ślub miał odbyć się za pół roku, a potem czekał nas wyjazd do Indii, gdzie mój narzeczony miał piękne stanowisko.

W ciągu tego półrocza oceniałam lepiej nasz stosunek. On uważał, że jestem piękna, że niedrogo kupuje taki towar, i chciał tym popisywać się przed przyjaciółmi. Zrozumiałam to zaraz i postąpiłam, jak należy. Nie myślałam o stroju, który by uwydatnił moje zalety, w towarzystwie milczałam jak zakłeta. Zaczęły się spory. Powiedziałam mu, że nie będę jego lalką, że zabraniam zbliżać się do mnie przy ludziach.

Wówczas całe wieczory rozmawiał gdzieś z daleka z moją uczennicą, a ja byłam samotna pomiędzy obcymi. Potem ona i matka wychwalały go przede mną, żeby mnie upokorzyć, żebym się zastanowiła, czy jestem warta takiego męża.

Panowałam nad sobą, bo kochałam go bardzo, lecz wybuchnęłam w końcu i otwarcie powiedziałam mu, że je rozumiem. Pragnę mnie upokorzyć, gdyż nikt nie znał moich rodziców, ale ja upokorzenia nie

zniosę. Nie jestem niewolnicą, którą się kupuje na rynku, żeby obwozić po świecie, pokazywać za biletami i rzucić, kiedy się znudzi.

Opuściłam ten dom i nie widziałam ich odtąd. Poznałam ludzi i unikam ich. Lituję się nad biednymi dziewczętami, które nie mają rodziców, gdyż rozumiem ich położenie. Dlatego zajęłam się tobą, Henryko, dlatego postanowiłam cię wyrwać ze szponów tych mniemanych dobroczyńców, których pychę i wzgardę czytałam w każdym słowie.

Tattycoram skończyła i milczała długo, zamglonymi oczami patrząc na panią Meagles. Ta położyła jej rękę na głowie.

– Wiele się nauczyłaś z tego, moje dziecko – powiedziała łagodnie. – Widziałaś córkę więźnia, w więzieniu urodzoną, wychowaną, cichą, skromną, przez długie lata pracującą na kawałek chleba jako szwaczka za lichą zapłatą, a jednak otoczoną powszechną miłością i szacunkiem, pełną miłości ludzi, w których widzi braci. Tu nieszczęśliwa truje się przez całe życie podejrzeniami, urojoną wzgardą, upokarza się, zabija własną myślą. Dlaczego? Bo ona jest dla siebie głównym celem myśli i uczuć. Zdaje jej się, że cały świat nią jest zajęty: jej rodzicami, o których nikt nie wie, i nie troszczy się stanowiskiem, stosunkiem do ludzi. Ona sama stwarza sobie piekło, bo nikogo nie kocha oprócz siebie. Małeńka Dorrit o sobie zapomniała i ludzie widzą, czym jest dla innych. Wartość człowieka jest w nim, w jego postępowaniu, charakterze.

Gorące usta Tatty przycisnęły się do ręki pani Meagles. Bolesnym doświadczeniem zdobyta nauka stała się jej własnością, podniosła jej duszę, uczyniła ją szczęśliwą. Więc dobrze się stało, że przez tę próbę przeszła.

ROZDZIAŁ XV

POCZĄTEK SZCZĘŚCIA

Był piękny dzień jesienny. W otwartym oknie więziennego pokoiku siedział blady i wychudły Arthur Clennam, z wolna powracający do zdrowia, małe Dorrit głośno czytała.

Zbliżał się wieczór. Tam gdzieś na dalekim świecie zieleniły się pola młodą, świeżą runią, złościły się sady dojrzałym owocem, lasy stroiły się w purpurę i złoto – a tu, w obrębie murów, nie ma właściwie pór roku, zawsze te same posępne kamienie, zimne cegły, powietrze wilgotne lub duszne, gorące albo mroźne – to cała różnica.

Ale cichy, słodki głos Amy stawał przed oczy więźnia te obrazy piękne, które tak kochał niegdyś, które pokrzepiały mu duszę. Wywoływała je słowami książki, głosem dawała życie.

Gdy umilkła, Arthur ocknął się jak ze snu, zasłonił ręką oczy i wyszeptał, że światło wzrok mu razi.

Amy zasunęła firankę, przybliżyła do niego swoje krzesło i zaczęła mówić spokojnie, łagodnie. Zbliża się koniec tej smutnej pokuty, Doyce pisze o tym, i Rugg pełen jest nadziei, jeszcze troszeczkę tylko cierpliwości.

Arthur ujął jej rękę i przycisnął do ust.

– Często bywałaś tutaj w czasie mej choroby? – spytał. – Co dzień? Prawda? Chociaż nie mogłem cię widzieć. Byłaś i jesteś dla mnie aniołem pocieszycielem, a jednakże... czy pamiętasz rozmowę naszą przed chorobą?... Nie zmieniło się moje serce, ty wiesz o tym, lecz drogi nasze inne... musimy się rozjeść...

Na twarzy małej Dorrit pojawił się lekki uśmiech, patrzyła na Arthura, który miał głowę spuszczoną, i zapytała cicho:

– Jak się pan dzisiaj czuje? Chciałabym pomówić o sobie, gdy będziesz miał dość siły.

– Jestem spokojny, drogie moje dziecko, możesz mówić o wszystkim, bo o wszystkim myślę codziennie.

– W takim razie, pan odrzuca mój majątek?

– On nas dzieli... na zawsze.

– Chciałam panu powiedzieć – zaczęła po chwili milczenia – że Fanny straciła

wszystko. Żyją z pensji Sparklera. Wszystko utonęło w tej samej przepaści.

– Nie spodziewałem się tego – rzekł Arthur. – Pasierb Merdle’a. Więc nie ocalił i swoich...

– Ojciec umieścił jej posag w banku. Tym sposobem Tip także stracił wszystko.

– O! – szepnęła Arthur, podnosząc zadziwione oczy – a... a...

– A ja? Prawda? Czy pan się nie domyśla teraz, jaka jestem bogata? Mam tyle, ile miałam, mieszkając tu z ojcem. Czy musimy się rozstać?

Arthur z krzykiem radości wyciągnął do niej ręce, a łzy szczęścia popłynęły mu po twarzy. Amy cicho oparła mu głowę na piersi.

Nagle rozległ się wybuch śmiechu: to Maggie, zajęta przy kominku, zrozumiała i klaszcząc w ręce, rzuciła się na szyję swej matusi. Trzeba było ją uspokajać, co nie dało się tak łatwo, wreszcie z głośnym śmiechem zbiegła na podwórze podzielić się z kimkolwiek radosną nowiną.

Odtąd w pośepnym, ciasnym pokoiku zagościło ciche, tajemnicze szczęście. W sercu Arthura zbudziła się wola, krzepiła je nadzieja, wypełniało pragnienie czynu. Panienska Dorrit odwiedzała go codziennie, zachęcała do cierpliwości, osładzała ciężkie godziny czekania.

Wszystko zresztą zapowiadało bliską zmianę: i mina Rugga nieco tajemnicza, lecz uśmiechnięta i zadowolona, nawet „prawdę mówiąc”, słowa Plornishowej, która z rozjaśnioną twarzą zdawała się za każdym razem zapowiadać, że więcej tu nie przyjdzie.

Ona to opowiedziała Arthurowi nadzwyczajny postępek pana Pancksa, który wywołał na bladą twarz więźnia pierwszy wesoły uśmiech dobrego humoru.

Pancks istotnie zmienił się w ciągu ostatnich lat paru. Niestrudzony motor parowy i wierny sługa pana Casby, który żył po to tylko, aby pracować, zaczął mieć jakieś zdania i poglądy, niezupełnie się zgadzające z zamiarami szanownego właściciela o długich białych włosach i dobrodusznej twarzy. Szanowany ojciec rodziny chciał mieć w nim twarde narzędzie do wyciskania groszy z lokatorów: „Niech płacą, bo ja ci przecież za to płacę, za to ci płacę, żeby ci oni płacili” – powtarzał ten mocny człowiek przy każdym spotkaniu, z coraz kwaśniejszą miną wyrzucając mu zaniedbywanie obowiązków.

Więc Pancks powracał, wybierał po groszu, lecz brzydła mu ta rola coraz bardziej i nie mógł jej pogodzić z przyjaźnią Clennama, życzliwością dla mieszkańców „szczęśliwej chaty” ani sympatią dla Jana Baptysty. Zbudziły się w nim nowe, zbuntowane jakieś uczucia, i domagały się czegoś innego, szeptały mu o pracy

samodzielnej, pożytecznej dla ogółu ludzi, a nie obłudnej jednostki. Czyż to go nie stać na inną pracę?

Wrzało w nim i burzyło się to wszystko, aż na koniec wybuchnął wobec świadków, gdy białowłosy ojciec rodziny z dobrotliwym uśmiechem zjawił się w Rozdartym Sercu, najłaskawiej słuchając prośb biedaków i skarg na dręczyciela.

Pancks powiedział mu wtedy w oczy gorzką prawdę, nazwał go obłudnikiem i porzucił służbę, a kiedy szanowany ojciec rodziny chciał jeszcze pozować na łaskawcę, obciął mu kiedyś w złości długie włosy i tak zupełnie zmienił przez to fizjonomię, że rodzona córka poznać go nie mogła. Spadła maska i z pocziwego filantropa zrobił się prosty kołek czy worek do pieniędzy.

– Dzielny chłopak z tego Pancksa – mówił Clennam – wart lepszego użytkowania. Nieocenionych przymiotów pracownik.

I westchnął, że tej pracy już nie spożytkuje, bo nie ma dla niej pola. I zapewne mieć już nie będzie.

Pewnego razu, gdy jak co dzień rano nadśluchiwał na schodach kroków maleńkiej Dorrit, usłyszał, że ktoś jeszcze z nią idzie. I rzeczywiście obok uśmiechniętej drobnej twarzyczki Amy ujrzął zadowolone ogorzałe oblicze pana Meaglesa.

Zacny ten człowiek objął go serdecznie i ścisnął ze wzruszeniem.

– Długo czekałeś na mnie? Prawda? – mówił ze śmiechem. – Robiło się, co się dało. Teraz koniec. Byłem u Doyce’a.

– Doyce! – jęknął Arthur, przygryzając usta aż do krwi.

– No, Doyce! Cóż takiego? Nie masz nad kim płakać. Szczęśliwy człowiek. Powiodło mu się, jak na to zasłużył. Szkoda tylko, że tak trudno być prorokiem pomiędzy swymi. Ale tam... trzeba wiedzieć, czym zarządza, jak go cenią! Może myślisz, że dla niego wielkie rzeczy te kilka tysięcy funtów, które stracił? Śmieje się dzisiaj z tego.

– O Boże, jakież ciężar zdjąłeś mi pan z duszy! – zawołał Clennam, głęboko wzruszony. – Jakże jestem szczęśliwy, że to nie ruina. O, chciałbym go zobaczyć i powiedzieć...

– Bardzo słusznie. Dlatego też przyjechał ze mną.

– Doyce w Anglii? – zawołał Arthur.

– Wróciliśmy dwa tygodnie temu. Czeka tam za drzwiami na łaskawę pozwolenie wejścia tutaj.

– Doyce! – zawołał Clennam, zrywając się z miejsca.

Padli sobie w objęcia.

– Kochany panie Arthurze – rzekł Doyce – trzy rzeczy tylko pragnę ci powiedzieć. Pierwsza: ani słowa o tym, co się stało. Pomyliłeś się pan w rachunku i basta. Ja także się myliłem i wiem, co to znaczy. Takie pomyłki uczą. Druga rzecz: przepraszam cię, że nie przyjechałem natychmiast. Nie mogłem. Dowiedziawszy się, jak wzięłeś to do serca, chciałem wyruszyć w drogę jak najprędzej, ale zanim urządziłem się w ten sposób, że mogłem pozostawić wszystko, przyjechał po mnie ten oto przyjaciel. Może poświadczyć, że byłem już gotów do drogi. A trzecie: jesteśmy tu od dwóch tygodni, lecz nie chcieliśmy ci się pokazywać, póki wszystko nie będzie załatwione. Zdawało nam się, że tak dla ciebie lepiej. W tej chwili, panie Clennam, jesteś wolny. Możesz wyjść stąd natychmiast. Tam w warsztatach czeka na ciebie twoje biurko i większa może, niż poprzednio, praca. Ogromna praca, w której ci pomoc nie mogę, bo śpieszę się z wyjazdem. A zatem, wspólniku?...

Ścisnął mu rękę i patrzył z uśmiechem. Arthur nie mógł przemówić, podszedł do okna i wyglądał na podwórze, usiłując zapanować nad wzruszeniem i uspokoić myśli. Amy stanęła przy nim.

– A może byś pan wolał zostać tu do jutra rana? – odezwał się po chwili pan Doyce, obejmując Arthura wesołym spojrzeniem. – Jest pewna kombinacja, która... jeśli zgaduję...

– Domyślasz się pan słusznie – odparł Arthur – byłoby to dla mnie przyjemniej.

– Doskonale! – zawołał Doyce. – W takim razie ośmielam się prosić pannę Dorrit, aby była łaskawa udać się ze mną zaraz do kościoła Świętego Pawła. Załatwimy i przygotowujemy, co trzeba.

Pan Meagles milczał, roztargnionym wzrokiem wodząc po ścianach i wybiegając za okno. Gdy został sam z Arthurem, zaczął mówić o interesach, o warsztatach, lecz widać było, że coś ciąży mu na sercu.

– Nie weźmiesz mi pan za złe – rzekł na koniec, wstając – że nie stawię się jutro jako świadek... Ani żona... Rozumiesz, że to dla nas... jeszcze... bardzo smutne... Ona go kocha... ona jest szczęśliwa... ale my... Tak być musi, tylko... wolę jutro... nie patrzeć.

Arthur uścisnął mu rękę w milczeniu.

Nadszedł oczekiwany poranek. W skromnej, lecz jasnej sukience zjawiała się maleńka Dorrit w Marshalsea. Arthur oczekiwał już na nią. Powitał ją wzruszony i weszli razem do pokoju, którego ściany mogły opowiedzieć całe życie dziecka

więzienia.

– Maggie rozpała ogień? – zapytał zdziwiony. – Dlaczego? Nie powrócimy tu przecież.

– Kazałam jej rozpałić – powiedziała Amy – gdyż mam do ciebie prośbę. Pragnę, żebyś coś spalił, nim stąd odjedziemy.

– Cóż takiego?

– Papier. Zrobisz mi przyjemność, jeśli go rzucisz w ogień.

– Przesąd czy jakieś czary? – żartował z uśmiechem.

– Czary – odpowiedziała mu z dziwnym spojrzeniem. – Ufasz mi, drogi, więc zrobisz to dla mnie.

– Może trzeba wymówić przy tym tajemnicze słowa zaklęcia?

– Jeżeli chcesz, wolno powiedzieć: Kocham cię.

Papier spłonął. Złote iskierki przebiegły po nim w zygzak i zagasły. Amy podała Arthurowi rękę i wyszli na podwórze.

Było jeszcze puste i ciche. W oknach więźniowie spoglądali na nich spoza firanek i przesyłali maleńkiej Dorrit pozdrowienia. John czekał przy furtce, aby uścisnąć im ręce.

Daniel Doyce powitał ich w kościele. Była Flora i Plornishowie, uśmiechnięty i wzruszony Cavaletto, garstka dalszych znajomych i życzliwych. Zakrystian przyniósł książki, na których po bezsennej nocy Amy oparła głowę. Teraz wpisała tutaj swoje imię obok imienia Arthura. Była już panią Clennam.

Wychodząc, przystanęli na chwilę w przedsionku. Każdy pragnął powiedzieć im życzliwe słowo. Niebo uśmiechało się jasnym błękitem, a złote słońce spoglądało dobrotliwie, jakby obiecywało przyjaźń i opiekę. W duszy czuli pogodę, w sercach głębokie szczęście.

Z wolna po schodach zeszli na ulicę i zanurzyli się w potoku życia jako mąż z żoną, ogniuwo społeczne, nowe gniazdo przyszłej rodziny.

I potok życia niósł ich spokojnie i równo, choć spotykali na drodze kamienie rozdzierające fale ostrym kantem, choć dźwigać trzeba było poważne ciężary. Ale ich domek stał się też „szczęśliwą chatą”, gdzie prócz własnej gromadki tuliły się zaniedbane dzieci Fanny, a przyjaciele szukali pogody, wypoczynku i ciepła serdecznego.

Zacni ludzie dzielili się z każdym, czym mogli. Otoczyli opieką Tipa, który przez swój nałóg zrujnował zdrowie i nie był zdolny do niczego, pomagali Plornishom

ratować się z powodzi długów, spożytkowali Pancksa z korzyścią wzajemną, wywdzięczali się cudzoziemcowi Cavaletto za bezgraniczne prawie przywiązanie, czuwali nad Maggie i zestarzała już zupełnie Affery, którą śmierć pani Clennam uwolniła wreszcie od trudnych i uciążliwych obowiązków, jakie przez trzy lata po pamiętnej katastrofie pełniła przy swej pani, sparaliżowanej zupełnie i nawet pozbawionej mowy.

Los nie pieścił ich i nie oszczędzał, a jednakże byli szczęśliwi, gdyż szczęście mieli w sobie.

